

# Odyseja 2061

*Pamięci niezwyklej Judy-Lynn Del Rey,  
która jako wydawca kupiła tę książkę za jednego dolara  
– nie mając pewności, czy nawet tyle jest warta.*

## Od Autora

*Odyseja kosmiczna 2010* nie była dalszym ciągiem powieści <MI>Odyseja kosmiczna 2001<D>; również ta książka nie jest zwykłą kontynuacją wątków <MI>Odysei 2010<D>. Wszystkie trzy powieści należy traktować jako wariacje na ten sam temat, powiązane wielu postaciami i sytuacjami, niekoniecznie jednak rozgrywające się w tym samym Wszechświecie.

Nowe wydarzenia zachodzące od roku 1964 – właśnie wtedy Stanley Kubrick zaproponował mi (na pięć lat przed wylądowaniem człowieka na Księżycu!) wspólną pracę nad „przysłowiowym dobrym filmem science fiction” – uniemożliwiły logiczną kontynuację wątków powieści, późniejsze bowiem historie opierają się na odkryciach i zdarzeniach, których trudno się nawet było spodziewać, kiedy pisałem wcześniejsze książki. <MI>Odyseja 2010<D> mogła powstać dzięki olśniewającym, szeroko znanym przelotom „Voyagera” nie opodal Jowisza, ale nie zamierzałem powracać na to terytorium – aż do momentu otrzymania wyników jeszcze ambitniejszej misji sondy „Galileusz”.

„Galileusz” miał umieścić próbnik w atmosferze Jowisza, sam krążąc niemal przez dwa lata wśród wszystkich większych satelitów tej planety. Próbnik zamierzano wystrzelić z promu kosmicznego w maju 1986 roku, a cel miał być osiągnięty w grudniu 1988. Miałem więc nadzieję, że około roku 1990 będę mógł skorzystać z powodzi nowych informacji o Jowiszu i jego księżycach.

Niestety, wskutek tragedii „Challengera” ów scenariusz okazał się niewykonalny; „Galileusz” obecnie znajduje się w osobnym pomieszczeniu w Laboratorium Napędów Odrzutowych – musi poczekać na nowy statek-wyrzutnię. Będzie dobrze, jeśli znajdzie się w strefie Jowisza siedem lat po wyznaczonym terminie.

Postanowiłem nie czekać.

*Arthur C. Clarke*

Colombo, Sri Lanka

kwiecień 1987 r.

I

Zaczarowana góra

### 1. Lata hibernacji

– Trzymasz się doskonale jak na siedemdziesięciolatka - zauważył doktor Głazunow spoglądając znad ostatniego wydruku Medcomu. – Nie dałbym ci więcej niż sześćdziesiąt pięć lat.

– Miło mi to słyszeć, Oleg. Zwłaszcza że liczę już sobie sto trzy wiosny, o czym doskonale wiesz.

– Znow to samo! Mógłby kto pomyśleć, że nie czytałeś książki profesor Rudenko!

– Przemiła, stara Katierina! Planowaliśmy spotkanie z okazji jej setnych urodzin. To takie przykre, że nie doczekała... Stało się tak dlatego, że spędzała za dużo czasu na Ziemi.

– Co za ironia losu! I pomyśleć, że to właśnie ona ukuła słynny slogan: „Grawitacja sprowadza starość”.

Doktor Heywood Floyd spojrział w zamyśleniu na wciąż zmieniającą się panoramę przepięknej planety, oddalonej zaledwie o sześć tysięcy kilometrów – planety, na której jego noga nie postanie już nigdy. Istotnie, na prawdziwą ironię zakrawał fakt, że mimo najbardziej absurdalnego wypadku, jaki przydarzył mu się w życiu, nadal cieszył się wspaniałym zdrowiem, podczas gdy niemal wszyscy jego przyjaciele poumierali.

Był wówczas na Ziemi dopiero od tygodnia. Wbrew wszelkim ostrzeżeniom i własnemu przekonaniu, że jemu nic takiego nie może się przytrafić, spadł, a raczej „zszedł” przypadkowo z balkonu drugiego piętra. (Owszem świętował, ale zasłużył sobie na to – był bohaterem nowego

świata, na który wrócił „Leonow”). Złamania w wielu miejscach doprowadziły do komplikacji, z którymi mógł sobie poradzić jedynie personel Szpitala Kosmicznego im. Pasteura.

Wydarzyło się to w 2015 roku. A teraz – z trudem temu wierzył, ale na ścianie wisiał kalendarz – był już rok 2061.

Biologiczny zegar Heywooda Floyda spowolniał dzięki jednej szóstej ziemskiej grawitacji w kosmicznym szpitalu, ale to jeszcze nie wszystko – zegar ów dwukrotnie biegł w przeciwną stronę. Obecnie powszechnie sądzono, choć nie zgadzały się z tym niektóre autorytety, że hibernacja powstrzymuje proces starzenia, a nawet pozwala odmłodzić. Floyd stał się młodszy dzięki podróży na Jowisza i z powrotem.

– Myślisz więc, że całkiem bezpiecznie mogę lecieć?

– W tym Wszechświecie nic nie jest bezpieczne, Heywoodzie. Mogę ci tylko zagwarantować, że nie istnieją żadne przeciwwskazania natury fizjologicznej. Poza tym na pokładzie „Wszechświata” znajdziesz się w środowisku podobnym do tego, w którym obecnie przebywasz. Może nie będzie tam tak... hm... doskonałej opieki medycznej, jaką mamy tutaj u Pasteura, ale doktor Mahindran jest naprawdę dobry. W przypadku problemów, z którymi nie dawałby sobie rady, może cię znów zahibernować i przysłać z powrotem do nas <MI>franco loco<D>.

Floyd bardzo chciał usłyszeć taką diagnozę, mimo to jego radość dziwnie mieszała się ze smutkiem. Całymi tygodniami będzie daleko od domu, w którym spędził niemal pół wieku, nie mówiąc już o wszystkich przyjaciółach z ostatnich lat. I choć „Wszechświat” był luksusowym liniowcem w porównaniu z prymitywnym „Leonowem” (unoszącym się teraz wysoko nad Dalą jako jeden z głównych eksponatów Muzeum Lagrange'a), w każdej dłuższej wyprawie kosmicznej nadal krył się pewien element ryzyka. Szczególnie w podróży o tak pionierskim charakterze jak ta, do której się właśnie teraz przygotowywał...

Z drugiej strony, może naprawdę tego chciał od życia, mając swoje sto trzy lata na karku (lub tylko wesołe i szczęśliwe sześćdziesiąt pięć – według kompleksowej diagnozy geriatrycznej nieżyjącej już profesor Rudenko). Przez całą ostatnią dekadę gnębił go narastający niepokój i niezrozumiały brak zadowolenia z życia, które stało się zbyt wygodne i poukładane.

Pomimo wszystkich ekscytujących, podejmowanych w całym Układzie Słonecznym projektów – odnowy Marsa, stworzenia pierwszej bazy na Merkurym, zazielenienia Ganimedesa – Floyd nie mógł znaleźć dla siebie celu, na którym byłoby warto skoncentrować zainteresowania i wciąż

niemałą energię. Stan jego uczuć najlepiej oddawał wiersz jednego z pierwszych poetów Ery Naukowej, który głosił ustami Odyseusza/Ulissesa:

Życie kłębiące się na życiu

To wszystko za mało, bo cóż zostanie po mnie  
Choćbym miał ich milion; wybawiam każdą godzinę  
Z wieczystej ciszy. I coś jeszcze...  
Ofiarodawcę nowości – choć złe są jego zamiary  
Bowiem dał mi trzy słońca na zapas i przechowanie  
I ponurego ducha skamlącego w pragnieniu  
Pójścia tropem wiedzy, która jak spadająca gwiazda  
Znika za horyzontem najdalszej ludzkiej myśli.

„Trzy słońca” – zaiste! Było ich więcej niż czterdzieści; Ulisses powinien się za niego wstydzić.  
Ale następny wiersz – który Floyd tak samo dobrze pamiętał – wyrażał to lepiej:

Być może zmyją nas morskie prądy:  
I postawimy stopę na Wyspach Szczęśliwych,  
Gdzie ujrzymy wielkiego Achilla, którego znaleźmy.  
Choć wiele nam zabrano, nie mniej pozostało; i choć  
Brakuje nam tej siły, która w dawnych czasach  
Poruszała niebo i ziemię, jesteśmy, jacy jesteśmy;  
Jeden pozostał w nas duch heroicznym serc,  
Rwanych zębem czasu i losu, lecz silnych wolą,  
By walczyć, by szukać, by znaleźć  
I nigdy się nie poddawać.

„By szukać, by znaleźć...” No cóż, teraz wiedział, czego ma zamiar szukać i co znajdzie –  
dokładnie bowiem zdawał sobie sprawę, gdzie to jest. Pominąwszy jakąś niewyobrażalną  
katastrofę, ten obiekt nie mógł przed nim umknąć.

Nie był to cel, o którym marzyliby od dawna, ba, nawet teraz nie wiedział jeszcze do końca,  
dlaczego cel ów stał się nagle tak ważny. Floyd wyobrażał sobie, że nie zarazi się gorączką,

która po raz kolejny ogarniała ludzkość – już po raz drugi za jego życia! – i bardzo się pomylił. A może to niespodziewane zaproszenie do udziału – pośród szczupłej elity znakomitości - w misji „Wszechświata” rozпалиło jego wyobraźnię i obudziło w nim entuzjazm, z czego nawet nie zdawał sobie sprawy.

Była jeszcze jedna możliwość. Ciągłe pamiętał, po tylu latach, jakim rozczarowaniem w oczach ludzi stało się poprzednie zbliżenie, w roku 1985-1986. Teraz nadarzała się okazja – dla niego ostatnia, a pierwsza dla ludzkości – do powetowania strat i rozczarowań.

W dwudziestym wieku jedynie przeloty sond umożliwiały obserwację obiektu z bliska. Tym razem ma dojść do prawdziwego lądowania, nie mniej pionierskiego aniżeli pierwsze kroki Armstronga i Aldrina na Księżycu.

Doktor Heywood Floyd, weteran misji do Jowisza z lat 2010-2015, ulatywał myślą ku upiornemu przybyszowi, który znowu wraca z głębin kosmosu, przyśpieszając z sekundy na sekundę wraz ze zbliżaniem się do okrążanego Słońca. Pomiędzy orbitami Ziemi i Wenus najślynniejsza ze wszystkich komet spotka się z – nie ukończonym jeszcze teraz – liniowcem kosmicznym „Wszechświat” podczas dziewiczego lotu tego statku.

Nie ustalono jeszcze dokładnie punktu rendez-vous, ale Floyd podjął już decyzję.

– Halley... lecę do ciebie – szepnął.

## 2. Ujrzana po raz pierwszy

Nieprawdą jest, że trzeba opuścić Ziemię, by w pełni docenić piękno niebios. Rozgwieżdżone niebo oglądane ze szczytu wysokiej góry w bezchmurną noc, z dala od sztucznych źródeł światła, nawet w kosmosie nie może wydać się wspanialsze. Choć gwiazdy oglądane poza atmosferą sprawiają wrażenie jaśniejszych, oko ludzkie nie jest w stanie ocenić różnicy; żaden zaś pokład obserwacyjny nie zastąpi jednego spojrzenia na przejmujący widok połowy gwiazdnej sfery.

Heywood Floyd był więcej niż zadowolony ze swego prywatnego punktu obserwacyjnego, zwłaszcza gdy część mieszkalna wolno obracającego się kosmicznego szpitala pozostawała w cieniu. W prostokątnym polu widzenia oglądał wówczas gwiazdy, planety, mgławice, a czasami – przyćmiewającego wszystko swym blaskiem Lucyfera, nowego rywala Słońca.

Mniej więcej dziesięć minut przed rozpoczęciem swojej sztucznej nocy Floyd wyłączył wszystkie światła w kabinie – nawet rezerwowe czerwone lampki, by przywyknąć do zupełnych ciemności. Trochę późno w swym życiu inżyniera kosmicznego nauczył się doceniać przyjemności wynikające z przyglądania się niebu nie uzbrojonym okiem astronoma, lecz potrafił już rozpoznać prawie każdą konstelację, nawet jeśli widział tylko mały jej wycinek. Niemal każdej „nocy” owego maja, gdy kometa przelatywała wewnątrz orbity Marsa, sprawdzał jej pozycję na mapach gwiazdnych. Co prawda łatwo można ją było dostrzec za pomocą dobrej lornetki, ale Floyd uparcie wzbierał się przed sięganiem po sprzęt optyczny; prowadził ze sobą małą grę, sprawdzając, jak jego starzejący się wzrok sprosta wyzwaniu. Dwaj astronomowie z obserwatorium w Mauna Kea twierdzili, że już im się udało dostrzec kometa gołym okiem, ale nikt temu nie wierzył; podobne rewelacje zgłaszane przez pacjentów Pasteura traktowano z jeszcze większą rezerwą.

Na dziś przewidywano co najmniej szóstą wielkość, może więc mu się poszczęści... Wytyczył linię od Gammy do Epsilonu i spojrzał w kierunku wierzchołka wyimaginowanego, opartego na niej trójkąta równobocznego – zupełnie tak, jakby dzięki wysiłkowi mógł przeniknąć wzrokiem cały Układ Słoneczny.

I zobaczył ją! Tak samo, gdy ją widział po raz pierwszy przed siedemdziesięciu sześciu laty, niezbyt rzucała się w oczy, ale nie można jej było pomylić z niczym innym. Jeśliby nie wiedział, gdzie patrzeć, zapewne by jej nie zauważył albo zlekceważył jako odległą mgławicę.

Gołym okiem widział jedynie maleńki, idealnie okrągły punkcik mgły; mimo wysiłku źrenic nie był w stanie dostrzec zarysu ogona. Lecz mała flotyła próbników, eskortujących kometa od miesięcy, odnotowała już pierwsze wybuchy gazowo-pyłowe, które niedługo stworzą jaśniejący ogon pośród gwiazd, zwrócony w kierunku dokładnie przeciwnym do Słońca – twórcy owego ciała niebieskiego.

Heywood Floyd, jak niemal wszyscy mieszkańcy Ziemi, obserwował transformację zimnego, ciemnego – nie, niemal czarnego – jądra zbliżającego się do wewnętrznej części Układu Słonecznego. Po siedemdziesięciu latach zamrożenia skomplikowana mieszanina wody, amoniaku i innych substancji zaczynała topnieć i wrzeć. Latająca góra, kształtem i rozmiarami przypominająca z grubsza wyspę Manhattan, co pięćdziesiąt trzy godziny obracała się na kosmicznym roznie; gdy ciepło Słońca przedostało się przez izolację zmarzliny, skroplone gazy

sprawiały, że kometa Halleya zaczęła się zachowywać jak przeciekający kocioł parowy. Strumienie pary wodnej przemieszanej z pyłem i piekielną ambrozją związków organicznych wybuchały z przynajmniej sześciu małych kraterów; największy z nich – rozmiarami zbliżony do boiska piłkarskiego – wybuchał regularnie na dwie godziny przed lokalnym świtem. Wyglądał identycznie jak ziemski gejzer, toteż od razu nazwano go „Stary Wierny”\*

Old Faithful – nazwa najbardziej znanego gejzeru w amerykańskim Parku Narodowym Yellowstone (przyp. tłum.).

Floyd fantazjował już, że stoi na krawędzi krateru, czekając na wschód Słońca ponad ciemnym, zwichrowanym krajobrazem komety, który znał doskonale dzięki zdjęciom z kosmosu. Niestety, w kontrakcie nie było ani słowa o pasażerach opuszczających statek po jego wylądowaniu na Halleyu. Przywilej ten został zarezerwowany dla załogi i personelu naukowego.

Z drugiej strony, mały druczek nie zawierał niczego, co absolutnie wzbraniałoby wyjścia! Nieźle się namęcza, żeby mnie od tego odwieść – pomyślał Heywood Floyd. – Z pewnością dam sobie jeszcze radę w skafandrze. A jeśli nie...

Przypomniał sobie przeczytane niegdyś słowa kogoś ze zwiedzających Tadz Mahal: „Gotów byłbym jutro umrzeć za taki monument jak ten”.

Floyd z radością przeniósłby życie na komętę Halleya.

### 3. Nowy początek

Pomijając nawet ten żenujący wypadek, jaki mu się zdarzył, powrót na Ziemię nie byłby dla niego łatwy.

Pierwszy szok przeżył zaraz po rewitalizacji, kiedy doktor Rudenko wybudziła go z długiego snu. Obok niej falowała sylwetka Waltera Curnowa i chociaż Floyd nie doszedł jeszcze całkiem do siebie, wiedział już, że coś było nie tak; powitania po przebudzeniu wydały mu się nieco przesadne i niezbyt dobrze maskowały skrywane napięcie. Dopiero gdy odzyskał pełnię świadomości, poinformowali go, że doktora Chandry nie ma już wśród żywych.

Gdzieś w okolicach Marsa po prostu wyzionął ducha tak dyskretnie, że nawet monitory nie potrafiły dokładnie określić czasu jego śmierci. Pozostawione w kosmosie ciało Chandry podążyło własnym torem po orbicie „Leonowa”, aby później pochłonęły je słoneczne ognie. Przyczyna śmierci pozostała nie znana, lecz Maks Brajlowski wyraził pewien pogląd, którego – mimo jego nienaukowości – nie odważyła się kwestionować nawet doktor Rudenko.

– Nie mógł żyć bez Hala.

Walter Curnow, tak, właśnie Walter, dorzucił kolejną myśl:

– Ciekawe, jak Hal to przyjmie. Przez cały czas coś przecież nasłuchuje naszych komunikatów. Dowie się prędzej czy później.

A teraz Waltera też nie było wśród żywych, podobnie jak całej reszty – oprócz małej Żeni. Floyd nie widział jej od dwudziestu lat, lecz co roku dostawał od niej kartkę przed Gwiazdką. Ostatnia wciąż jeszcze wisiała przypięta nad biurkiem. Przedstawiała trojkę ciągnącą przez kopne rosyjskie śniegi sanie pełne prezentów, a zaprzęg obserwowały – z wyglądu bardzo wygłodniałe – wilki.

Czterdzieści pięć lat! A czasem wydawało się, że „Leonow” dopiero wczoraj powrócił na ziemską orbitę ku radości całego rodzaju ludzkiego. Radości dziwnie wyciszonej – pełnej szacunku, lecz pozbawionej entuzjazmu. Wyprawa na Jowisza zakończyła się zbyt dużym sukcesem: otworzyła puszkę Pandory, której zawartości dotąd w pełni nie poznano.

Gdy na Księżycu odkryto czarny Monolit – nazwany Anomalią Magnetyczną Tycho Jeden – wiedziała o tym jedynie garstka wtajemniczonych. Dopiero po zakończonej niepowodzeniem misji „Discovery” świat dowiedział się, że przed czterema milionami lat przez Układ Słoneczny przemieszczały się inteligentne istoty, które zostawiły swoją wizytówkę. Wiadomość okazała się rewelacją, choć trudno by ją uznać za niespodziankę. Czegoś w tym rodzaju wyczekiwano od dziesięcioleci.

A wszystko to zdarzyło się na długo przed powstaniem gatunku ludzkiego. Na orbitującym wokół Jowisza „Discovery” doszło do serii tajemniczych wypadków, nie istniały jednak dowody, iż może chodzić o coś więcej niż zwykłą awarię urządzeń statku. Filozoficzne konsekwencje istnienia AMT-1 były ogromne, gdy jednak rozważyło się rzecz od strony praktycznej, ludzie nadal pozostawali samotni we Wszechświecie.



A potem wszystko się zmieniło. Okazało się, że w odległości zaledwie kilku minut świetlnych – czyli o rzut kamieniem, jeśli uwzględnić rozmiary kosmosu – istnieje inteligencja, która dla własnych niepojętych celów potrafi stworzyć gwiazdę, potrafi także zniszczyć planetę tysiąc razy większą od Ziemi. Jeszcze bardziej złowróżbne znaczenie miał fakt, że inteligencja owa doskonale zdaje sobie sprawę z istnienia ludzi, co udowodniła ostatnim komunikatem nadanym przez „Discovery” z księżyców Jowisza – tuż przed zniszczeniem statku przez piekielne ognie rodzącego się Lucyfera:

WSZYSTKIE ŚWIATY SĄ WASZE – OPRÓCZ EUROPY  
NIE PRÓBUJCIE TAM LĄDOWAĆ

Wspaniała nowa gwiazda, która zlikwidowała noc na Ziemi - pominąwszy kilka miesięcy w roku, kiedy orbitowała za Słońcem – przyniosła ludziom nadzieję, a jednocześnie napełniła ich strachem. Napełniła strachem – nieznane bowiem, zwłaszcza w połączeniu z domniemaną wszechmocą, zawsze budzi takie pierwotne uczucia. Przyniosła nadzieję – ze względu na przemiany, które jej powstanie wymusiło w polityce globalnej.

Często mawiano się, że jedyną rzeczą, jaka może jeszcze zjednoczyć ludzkość, jest zagrożenie z kosmosu. Nikt nie miał pojęcia, czy Lucyfer stanowi takie zagrożenie, z pewnością jednak stał się wyzwaniem dla ludzi. A to – jak miało się okazać – wystarczyło.

Heywood Floyd obserwował przemiany geopolityczne ze swojego Szpitala im. Pasteura czując się zupełnie tak, jakby sam był obcym przybyszem z kosmosu. Początkowo nie miał zamiaru zostawać na Pasteurze, chciał wrócić na Ziemię po zakończeniu leczenia. Ale ku zdumieniu oraz irytacji lekarzy jego terapia zdawała się nie mieć końca.

Patrząc na to z perspektywy spokojnej starości, Floyd rozumiał, dlaczego jego kości nie chciały się zrastać. Była to jego wina – podświadomie nie pragnął wrócić na Ziemię: nie miał nic do roboty na oślepiająco jasnym, błękitnobiałym globie wypełniającym jego niebo. Bywały chwile, gdy świetnie rozumiał, dlaczego Chandra stracił chęć do życia.

Na skutek czystego przypadku nie leciał przed laty ze swoją pierwszą żoną do Europy. Marion zginęła wtedy w katastrofie lotniczej, a jej wspomnienie wydawało się teraz częścią innego życia, które mogło w ogóle nie należeć do Floyda. Dwie córki, które miał z Marion, stały się przyjaznymi nieznanymi z własnymi rodzinami.

Caroline stracił natomiast z własnej winy, choć tak naprawdę nie dano mu wyboru. Nigdy nie potrafiła zrozumieć (a czy on sam potrafił?), dlaczego porzucił wspaniały dom, który wspólnie stworzyli, by udać się na dobrowolne wygnanie w zimną pustkę kosmosu, daleko od Słońca. Choć już w połowie trwania tej misji zdawał sobie sprawę, iż Caroline nie będzie czekać, żywił rozpaczliwą nadzieję, że Chris, ich syn, wybaczy mu w przyszłości. Lecz nie dane mu było nawet i to; syn pozostawał zbyt długo bez ojca. Zanim Floyd wrócił na Ziemię, Chris znalazł sobie nowego tatę w osobie partnera Caroline, który zajął u jej boku miejsce nieszczęsnego astronauty. Poczucie wyobcowania stało się wszechogarniające; wydawało mu się, że nigdy sobie z tym nie poradzi, ale poradził... na swój sposób.

Jego ciało podstępnie weszło w spisek z pragnieniami, których sobie nawet nie uświadamiał. Kiedy po przewlekłej rekonwalescencji wysłano go w końcu na Ziemię, jego organizm zareagował natychmiast tak alarmującymi symptomami – czymś, co nasuwało podejrzenia o martwicę kości – że po paru dniach musiał wrócić na orbitę. I został tam na dobre – jeśli nie liczyć kilku wypraw na Księżyc – w pełni przystosowany do życia w reżimie, od grawitacji zerowej do jednej szóstej normalnego ciężenia, narzuconym przez powoli obracający się szpital. Nie był odludkiem – wręcz przeciwnie. Nawet podczas rekonwalescencji dyktował raporty, zeznawał przed nie kończącym się łańcuchem komisji, udzielał rozlicznych wywiadów. Stał się sławną osobistością, co go cieszyło niezmiernie – dopóki trwało. Pomogło zabić się wewnętrznym ranom.

Pierwsza pełna dekada – od roku 2020 do 2030 – minęła tak szybko, że teraz nie potrafił nawet sobie przypomnieć, co było w niej najważniejsze. Zdarzały się zwykłe kryzysy, wybuchały skandale, dochodziło do katastrof – szczególnie utkwiło mu w pamięci wielkie trzęsienie ziemi w Kalifornii, którego następstwa obserwował z pełną przerażenia fascynacją na ekranach monitorów stacji. Przy najsilniejszym powiększeniu i sprzyjających warunkach pogodowych widać było nawet pojedynczych ludzi; lecz ich niebiański punkt obserwacyjny uniemożliwiał utożsamienie się z rozmazanymi punkcikami w niewyobrażalnej panice uciekającymi z płonących miast. Dopiero kamery naziemne potrafiły unaocznić im cały koszmar rozgrywających się scen.

Podczas tamtej dekady polityczne płyty tektoniczne przesuwają się – czego rezultatów miano doświadczyć dopiero później - równie nieubłagane jak geologiczne, choć w odmiennym sensie:

jak gdyby czas zaczął się cofać. Na początku bowiem Ziemia była tylko jednym superkontynentem, owa Pangea jednak w ciągu eonów ulegała podziałowi, a jego części odsuwały się od siebie na zawsze. Podobnie rzecz się miała z gatunkiem ludzkim, który wykształcił niezliczone plemiona i narody – teraz znów zlewające się w jedną całość, zatracające powoli odwieczne różnice kulturowe i lingwistyczne.

Pojawienie się Lucyfera przyspieszyło ów proces, lecz zaczął się on dziesiątki lat wcześniej – wraz z nadejściem epoki napędu odrzutowego, która wywołała eksplozję światowej turystyki. Mniej więcej w tym samym czasie – i nie był to, rzecz jasna, przypadek – satelity i światłowody zrewolucjonizowały dziedzinę komunikacji. Wraz z historycznym zniesieniem opłat za rozmowy międzymiastowe i międzynarodowe – co nastąpiło 31 grudnia 2000 roku – każdy kontakt telefoniczny stał się połączeniem lokalnym, a ludzkość powitała nowe millennium przekształceniem się w jedną wielką, rozplotkowaną rodzinę.

I podobnie jak w większości rodzin, nie zawsze udawało jej się żyć w pokoju, lecz klótnie nie zagrażały już istnieniu całej planety. Podczas drugiej – i ostatniej – wojny nuklearnej użyto w walce tyle samo bomb, ile w czasie pierwszej: dokładnie dwie. I chociaż ich moc była większa, śmierć poniosło znacznie mniej osób, jako że obydwie zrzucano na słabo zaludnione tereny – regiony wydobywania ropy naftowej. W tym momencie Wielka Trójka – Chiny, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki - reagując z podziwu godną szybkością i mądrością, zamknęła szczelnym kordonem strefy walki, co trwało aż do osiągnięcia porozumienia przez wyniszczone, walczące ze sobą strony.

Przed rozpoczęciem dekady 2020-2030 nie do pomyślenia był wybuch wojny pomiędzy Wielkimi Mocarstwami, a przynajmniej jego prawdopodobieństwo było tak niskie jak możliwość wybuchu zbrojnego konfliktu między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą sto lat wcześniej. Ludzkość nie zawdzięczała tego niestety głębokim przemianom w swojej naturze czy innemu pojedynczemu czynnikowi – działało tu zwykle przedkładanie życia ponad śmierć. Istniejąca machina pokojowa i odpowiednie instytucje nie narodziły się w większości ze świadomych, zaplanowanych akcji: zanim politycy zdali sobie sprawę, co się dzieje, wszystko było już na swoim miejscu i nawet nieźle funkcjonowało.

Żaden mąż stanu, żaden idealista o najgłębszych przekonaniach nie stworzył ruchu Zakładników Pokoju; sam ów termin pojawił się w momencie, gdy ktoś zauważył, że w dowolnie wybranym

okresie setki tysięcy Rosjan przebywają w Stanach Zjednoczonych, a pół miliona Amerykanów znajduje się w Związku Sowieckim, przy czym w większości są to turyści oddający się najczęściej ulubionemu narzekaniu na tutejszą instalację wodno-kanalizacyjną. Co więcej, w obydwu grupach dopatrzone się nieproporcjonalnie wysokiej liczby osobistości znanych w życiu publicznym – synów i córek bogactwa, przywilejów i potęgi politycznej.

Ale gdyby nawet komuś bardzo na tym zależało, zaplanowanie wojny na dużą skalę było niemożliwe. Z początkiem lat dziewięćdziesiątych nastąpiła era powszechnej <MI>głośności<D>, kiedy przedsiębiorcze koncerny informacyjne zaczęły wystrzeliwać satelity fotograficzne podobne do tych, którymi wojsko posługiwało się już od trzydziestu lat. Pentagon i Kreml wpadły we wściekłość, ale jakże miałyby walczyć z Reuterem, Associated Press czy nigdy nie zasypiającymi, czynnymi przez całą dobę kamerami Serwisu Wiadomości Orbitalnych.

Do roku 2060 świat nie do końca się rozbroił, został jednak skutecznie spacyfikowany; pięćdziesiąt głowic nuklearnych, pozostałych z poprzedniej epoki, znajdowało się pod międzynarodową kontrolą. Większość krajów – przy sprzeciwie tylko dwunastu – wybrała na prezydenta całej planety popularnego monarchę Edwarda VIII. Kraje pozostające w opozycji różniły się między sobą wielkością i znaczeniem: była wśród nich i uparcie neutralna Szwajcaria (która jednak z otwartymi ramionami gościła w swych restauracjach i hotelach przedstawicieli nowej biurokracji), i Malwiny, fanatycznie broniące swej niepodległości przed zakusami zarówno Brytyjczyków, jak i Argentyńczyków.

Rozpad olbrzymiego pasożytniczego kompleksu wojskowo- -zbrojeniowego dał w efekcie nie mające precedensu – ale czasem naprawdę niezdrowe – przyśpieszenie światowego rozwoju gospodarczego. Surowce i ludzkie talenty nie zniknęły już, pochłaniane przez militarną czarną dziurę, która wykorzystywała je do własnych destrukcyjnych celów. Teraz były skupiane na usuwaniu wielowiekowych szkód i zaniedbań, na przebudowie świata.

A także tworzeniu nowych. Ludzkość po raz pierwszy w swej historii znalazła „moralny ekwiwalent wojny”, stanęła przed wyzwaniem, które pochłaniały nadmiar jej energii – i oby tak już pozostało na nieogarnione tysiąclecia.

#### 4. Potentat

Kiedy urodził się William Tsung, nazwano go „najdroższym dzieckiem w świecie”; przysługiwał mu ów tytuł przez dwa lata – do czasu narodzin jego siostry. Od tej pory ona stała się depozytariuszką chlubnego miana, i to na zawsze, odkąd bowiem zniesiono Prawa Rodzinne, nikt nie mógł go jej odebrać.

Ojciec obojga dzieci, legendarny sir Lawrence, urodził się w czasach, gdy w Chinach została ponownie wprowadzona surowa zasada: „Jedna rodzina, jedno dziecko”; jego pokolenie stało się materiałem do nie kończących się studiów psychologicznych i socjologicznych. Nie mając ani braci, ani siostr – a w wielu przypadkach również ani ciotek, ani wujów – ludzie z tej generacji byli unikatami w całej ziemskiej historii. Trudno stwierdzić, czy to dzięki prężności, czy może rozgałęzieniu chińskich rodzin dzieci tamtych dziwnych czasów uniknęły w jakiś sposób głębszych urazów. Oczywiście, cała ta nienormalna sytuacja musiała odcisnąć na nich swe piętno, a sir Lawrence uczynił wszystko – i jeszcze trochę – by powetować sobie samotność swego dzieciństwa.

Gdy w roku 2022 urodziło się jego drugie dziecko, wszedł w życie system licencjonowania liczby potomków. Teraz można było mieć tyle dzieci, ile dusza zapagnie – jednakże pod warunkiem wniesienia odpowiedniej opłaty. (Pozostali jeszcze przy życiu komuniści Starej Gwardii nie byli jedynymi, którzy uważali cały ten plan za przerażający, wszystkich oponentów jednak przegłosowali pragmatycy, którym przypadła większość w raczkującym Kongresie Chińskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej.)

Pierwsze i drugie dziecko były zwolnione od opłaty. Trzecie kosztowało milion soli. Czwarte – dwa miliony. Piąte – cztery miliony. I tak dalej. A przy tym wszyscy beztrząsco ignorowali fakt, że w Republice Ludowej – przynajmniej teoretycznie – nie powinno być kapitalistów.

Młody pan Tsung (a działo się to w latach, kiedy jeszcze nikomu się nie śniło, że król Edward nada mu Komandorię Rycerza Imperium Brytyjskiego) nie dawał po sobie poznać, że mógłby w ogóle nosić się z jakimiś planami; gdy urodziło się jego piąte dziecko, wciąż pozostawał zaledwie ubogim milionerem. Ale miał wówczas dopiero czterdzieści lat, kiedy zaś kupno Hongkongu nie naruszyło jego kapitału w takim stopniu, jak się obawiał, pan Tsung doszedł do wniosku, że ma w garści jeszcze sporo drobnych.

Tak głosi legenda, ale jak w większości opowiadań o sir Lawrencie, trudno w niej prawdę oddzielić od fantazji. Z pewnością wśród kłamstw należy umieścić plotkę, jakoby pierwszej

części fortuny dorobił się na wydaniu słynnych pirackich dzieł zebranych Biblioteki Kongresu (w istocie mieszczących się w komputerze wielkości pudełka na buty). Całe zamieszanie wokół późniejszej pozaziemskiej operacji Modułu Pamięci Molekularnej powstało być może wskutek tego, że Stany Zjednoczone zaniechały podpisania tak zwanego Układu Księżycowego.

Choć sir Lawrence nie był multitrylionerem, stworzony przez ten kompleks korporacji ustawił go w rządzie potęg finansowych w skali całej Ziemi – wcale niemałe osiągnięcie jak na syna skromnego sprzedawcy kaset wideo, urodzonego w regionie wciąż nazywanym Nowymi Terytoriami. Pan Tsung prawdopodobnie nawet nie zauważył wydatkowania kwoty ośmiu milionów za szóste dziecko, a nawet trzydziestu dwóch milionów za dziecko ósme.

Sześćdziesiąt cztery miliony, które musiał wpłacić jako zaliczkę na dziewiąte maleństwo, wzbudziły jednak zainteresowanie światowej opinii publicznej, a po przyjściu na świat dziesiątego dziecka wartość zakładów, jakie robiono w związku z dalszymi planami pana Tsunga, znacznie przewyższała sumę dwustu pięćdziesięciu sześciu milionów, którą musiałby zapłacić za kolejnego potomka. W tym momencie jednak zabrała głos lady Jasmine – kobieta łącząca w sobie najlepsze cechy jedwabiu i stali, przemieszane w idealnych proporcjach – stwierdzając, że dynastia Tsung już odpowiednio jest ugruntowana.

Sir Lawrence zupełnie przypadkowo (jeśli w interesach można mówić o przypadku) związał się z przemysłem kosmicznym. Wcześniej prowadził, rzecz jasna, rozległe interesy na morzach i w transporcie lotniczym, którymi przeważnie zajmowało się jego pięciu synów wraz ze współpracownikami. Prawdziwą miłością sir Lawrence'a były mass media – gazety (zaledwie kilka, które jeszcze wydawano), książki, magazyny (na papierze i elektroniczne), a przede wszystkim globalne sieci telewizyjne.

W pewnym momencie swojego życia kupił wspaniały stary hotel Na Półwyspie, który dla chińskiego chłopca z biednej rodziny stanowił ongiś symbol potęgi i bogactwa, po czym zamienił go we własną rezydencję i kwaterę główną. Otoczył pięknym rozległym parkiem, pozbywając się okolicznych wielkich centrów handlowych przez zepchnięcie ich pod ziemię. Jego nowo powstała Laser Excavation Corporation zarobiła przy okazji fortunę i swym postępowaniem dała przykład wielu miastom.

Któregoś dnia, gdy podziwiał nie mający sobie równych krajobraz miasta po drugiej stronie portu, doszedł do wniosku, że trzeba w nim jeszcze wprowadzić pewne korekty. Widok z

niższych pięter hotelu od lat przesłaniał duży budynek, przypominający wgniecioną piłkę golfową. Sir Lawrence postanowił pozbyć się tej budowli.

Dyrektor Planetarium w Hongkongu – powszechnie uważanego za jedno z pięciu najlepszych w świecie – był innego zdania na ten temat, niebawem więc sir Lawrence z przyjemnością poznał człowieka, którego nie dało się kupić za żadną cenę. Panowie zaprzyjaźnili się, a w odpowiednim dniu doktor Hessens tein urządził specjalny pokaz z okazji sześćdziesiątych urodzin sir Lawrence'a. Dyrektor planetarium nie miał wówczas pojęcia, że przyczyni się do zmiany historii Układu Słonecznego.

## 5. Wprost z lodu

Po upływie ponad stu lat od roku 1924, kiedy Zeiss zbudował w Jenie prototyp optycznego projektora planetarnego, na świecie wciąż działało kilka instrumentów tego typu, wiszących dramatycznie nad głowami ciekawej widoku gwiazd publiczności. Planetarium w Hongkongu już przed kilkudziesięciu laty pozbyło się urządzeń optycznych trzeciej generacji i zainstalowało znacznie wszechstronniejszy – system elektroniczny. Cała potężna kopuła była w zasadzie gigantycznym ekranem telewizyjnym, na który składały się tysiące mniejszych paneli wyświetlających dowolne obrazy.

Program mający uświetnić urodziny sir Lawrence'a rozpoczął się od złożenia hołdu nieznanemu wynalazcy rakiety, który skonstruował ją w trzynastym wieku gdzieś w Chinach. Dalsze pięć minut zajął krótki rys historyczny, w którym pionierskie dokonania Rosjan, Niemców i Amerykanów znalazły się w tle opisu kariery Hsue-Shen Tsiena. Należy wybaczyć rodakom chińskiego badacza – szczególnie tym, którzy zgromadzili się w planetarium z okazji urodzin sir Lawrence'a – że tak bardzo podkreślali rolę Tsiena w historii rozwoju rakiet i stawiali go na równi z wynalazcami tej miary co Goddard, von Braun czy Korolew. Przed laty mieli z pewnością powody do oburzenia, gdy Tsien – który pomagał zakładać słynne Laboratorium Napędów Odrzutowych i był pierwszym profesorem Fundacji Goddarda na CalTech – został aresztowany pod zmyślnymi zarzutami w momencie, kiedy postanowił wrócić do ojczyzny.

W programie padło zaledwie kilka słów o wystrzeleniu pierwszego chińskiego satelity, którego w 1970 roku wyniosła na orbitę rakietą „Długi Marsz”; stało się tak może dlatego, iż w owym

czasie Amerykanie spacerowali już po Księżycu. Całą końcówkę dwudziestego wieku zbyto kilkoma minutami, by podjąć następnie szczegółową opowieść w roku 2007, kiedy potajemnie – a jednak na oczach całego świata – został skonstruowany statek kosmiczny „Tsien”.

Narrator nie wychwalał specjalnie chińskiej pomysłowości, dzięki której domniemana stacja kosmiczna nagle wystrzeliła z orbity i – przyprawiając o konsternację inne światowe potęgi - ruszyła jako statek kosmiczny ku Jowiszowi, co warto zaznaczyć: przed rosyjsko-amerykańską misją statku „Kosmonauta Aleksiej Leonow”. Cała historia zakończyła się tak dramatycznie, że nie trzeba było jej ubarwiać.

Niestety, nie dało się jej zilustrować autentycznym materiałem wizualnym: program wykorzystywał więc w dużym stopniu efekty specjalne i ciekawe rekonstrukcje powstałe w wyniku późniejszych badań fotograficznych, prowadzonych z dużej odległości. Załoga „Tsiena” w czasie krótkiego pobytu na zamrożonej powierzchni Europy była nazbyt zajęta, by kręcić telewizyjne filmy dokumentalne lub choćby rozstawić zdalnie sterowane kamery.

Niemniej jednak słowa wtedy wypowiedziane w znacznym stopniu odtwarzały tragizm owego pierwszego lądowania na księżycu Jowisza. Komentarz, który przekazywał Heywood Floyd ze znajdującego się w pobliżu „Leonowa”, doskonale zilustrował przebieg wydarzeń na Europie pokazywanej w planetarium na całej powierzchni ekranu:

„Patrząc na nią przez najsilniejszy teleskop, jakim dysponuje nasz statek. Przy takim powiększeniu Europa jest dziesięciokrotnie większa niż Księżyc oglądany gołym okiem z Ziemi. A widok rzeczywiście jest niesamowity.

Powierzchnia tego księżycy Jowisza ma kolor różowy, z kilkoma brązowymi plamami. Pokryta jest skomplikowaną siecią linii, rozbiegających się we wszelkich kierunkach. Przypomina to zdjęcie z książki medycznej, ukazujące żyły i arterie.

Niektóre z tych linii ciągną się setkami, może nawet tysiącami kilometrów. Przywodzi to na myśl iluzoryczne kanały, które Percival Lowell i inni astronomowie z początków dwudziestego wieku widzieli na Marsie.



Kanały Europy nie są jednak iluzją, choć oczywiście powstały w sposób naturalny. Co więcej, zawierają wodę, wprawdzie pod postacią lodu. Niemal cały księżyc pokrywa ocean, którego głębokość wynosi przeciętnie pięćdziesiąt kilometrów.

Europa znajduje się bardzo daleko od Słońca, toteż temperatura na jej powierzchni waha się w granicach stu pięćdziesięciu stopni poniżej zera. Można by się więc spodziewać, że tamtejszy ocean to jedna bryła lodu.

W rzeczywistości jest inaczej, ponieważ wewnętrzne pływy Europy wytwarzają znaczne ilości ciepła. Są to te same siły, które wywołują erupcje wulkaniczne na pobliskim Io.

Lód na powierzchni Europy bez przerwy topi się, łamie i ponownie zamarza, tworząc szczeliny i szpary podobne do tych, które spotykamy w ziemskich regionach polarnych. To właśnie tę skomplikowaną siatkę szczelin widzimy przez teleskop. Większość z nich jest ciemna i prawdopodobnie bardzo stara, być może liczy sobie miliony lat. Niektóre jednak są śnieżnobiałe - to nowe szczeliny, powstałe całkiem niedawno. Lód na nich ma zaledwie kilka centymetrów grubości.

«Tsien» wylądował tuż obok jednej z białych szczelin o długości tysiąca pięciuset kilometrów, którą nazwano Wielkim Kanałem. Chińczycy prawdopodobnie zamierzają przepompować wodę stamtąd do swoich zbiorników paliwa, dzięki czemu będą mogli zbadać system satelitów Jowisza i powrócić na Ziemię. Zadanie, jakiego się podjęli, z pewnością nie jest łatwe, lecz można sądzić, że wiedzą, co robią.

Obecnie wiemy już, dlaczego podjęli takie ryzyko i dlaczego roszczą sobie prawa do Europy. Mają zamiar przekształcić ją w stację paliwową, która może się stać kluczem do przestrzeni zewnętrznych, poza Układem Słonecznym...”

I nie powiodło im się – pomyślał sir Lawrence, sadowiac się wygodniej w luksusowym fotelu stojącym teraz poniżej obrazu spękanego, porysowanego bruzdami dysku, który wisiał na sztucznym niebie. Oceany Europy były wciąż niedostępne dla ludzi z przyczyn, które skrywała mgła tajemnicy. Co więcej, stały się niewidoczne. Odkąd Jowisz zamienił się w słońce, obydwa wewnętrzne jego księżycy zniknęły, przesłonięte chmurą pary wydobywającej się z ich wnętrza. Sir Lawrence patrzył na taką Europę, jak wyglądała ona w roku 2010, a nie obecnie.

W tamtych czasach był jeszcze chłopcem, lecz wciąż pamiętał poczucie dumy, jakim napawał go fakt, że jego rodacy – mimo fatalnej polityki przywódców kraju – wylądują jako pierwsi na dziewiczym świecie.

Owego lądowania nie zarejestrowała żadna kamera, ale rekonstrukcja wydarzeń była doskonała. Naprawdę zdawało mu się, że widzi nieszczęsny statek opadający w ciszy z atramentowoczarne nieba ku lodowemu krajobrazowi Europy, po to by osiąść obok bezbarwnego pasa świeżo zamrożonej wody, czyli tak zwanego Wielkiego Kanału.

Wszyscy wiedzieli, co stało się później, i całkiem rozsądnie nikt nie próbował odtwarzać tej sceny na ekranie. Pod kopułą planetarium Europa po prostu rozpływała się w czerni, a zamiast niej ukazywało się zdjęcie znane każdemu Chińczykowi, tak jak portret Gagarina znany jest wszystkim Rosjanom.

Na pierwszej fotografii pokazano Ruperta Changa w dniu uzyskania absolutorium w 1989 roku. Był wtedy gorliwym, młodym studentem, nie różniącym się od milionów innych i zupełnie nieświadomym swojego miejsca w historii, od którego dzieliły go jeszcze dwie dekady.

Na tle ściszonej muzyki komentator przedstawił pokrótce najważniejsze wydarzenia z kariery doktora Changa aż do momentu, gdy uzyskał nominację na oficera naukowego misji statku „Tsien”. Zdjęcia były przemieszane, niekiedy bardzo stare, i dopiero ostatnie ukazywało Changa tuż przed odlotem.

Sir Lawrence był wdzięczny za półmrok panujący w planetarium, inaczej zarówno przyjaciele, jak i wrogowie zdziwiliby się widząc łzy w jego oczach, gdy słuchał wiadomości skierowanej przez doktora Changa do nadlatującego „Leonowa”. Nieszczęsny Chang do końca nie wiedział, czy ktoś go w ogóle słyszy:

„...wiem, że jest pan na pokładzie «Leonowa»... zostało mi mało czasu... staram się nakierować antenę nadajnika z mojego skafandra tam, gdzie chyba...

...przekazać tę informację na Ziemię. «Tsien» został zniszczony trzy godziny temu. Jestem jedyną osobą, która przeżyła. Używam nadajnika w skafandrze, nie mam pojęcia, czy ma wystarczający zasięg, ale to moja jedyna szansa. Proszę słuchać uważnie. NA EUROPIE ISTNIEJE ŻYCIE . Powtarzam: NA EUROPIE ISTNIEJE ŻYCIE...

...wkrótce po północy czasu miejscowego. Pompowaliśmy ostrożnie i zbiorniki napełnione były prawie do połowy. Doktor Lee i ja wyszliśmy sprawdzić izolację węży. «Tsien» stoi... stał około trzydziestu metrów od brzegu Wielkiego Kanału. Rury biegły prosto od statku, przez lód, do kanału. Lód bardzo cienki, niebezpiecznie po nim chodzić. Ciepłe prądy głębinowe...

...bez żadnych problemów, pięć kilowatów oświetlenia włączonego na statku. Coś pięknego, jak choinka oświetlająca lód dookoła. Wspaniałe kolory. Lee pierwszy to zobaczył – wielkie, potężne cielsko wyłaniające się z głębin. Najpierw myśleliśmy, że to ławica ryb, bo było za duże jak na jeden organizm, a potem lód zaczął się kruszyć pod jego ciężarem.

...jak olbrzymie macki wyschniętego morszczyku pełzające po ziemi. Lee pobiegł do statku po kamerę, ja zostałem i meldowałem o sytuacji przez radio. To stworzenie poruszało się tak powoli, że z łatwością mogłem je wyprzedzić. Nie bałem się, chociaż wszyscy byliśmy podekscytowani. Wydawało mi się, że rozpoznaję to stworzenie: kiedyś widziałem zdjęcia uprawy wodorostów w Kalifornii, ale okazało się, że nie miałem racji...

...widać było, że ma poważne kłopoty z przetrwaniem w temperaturze o sto pięćdziesiąt stopni niższej od temperatury jego normalnego otoczenia. Sunąc naprzód zamarzało na kamień, odpadały od niego kawałki przypominające szkło, lecz ciągle podążało w kierunku statku, jak czarna fala przyływu, wolniej i wolniej. Byłem tak zaskoczony tym wszystkim, że nie mogłem logicznie myśleć, nie miałem pojęcia, co zamierza...

...wspinając się na statek i budując jednocześnie coś w rodzaju lodowego tunelu. Może miała to być osłona przed zimnem, coś takiego jak korytarze, które budują termyty dla ochrony przed słońcem.

...tony lodu na statku. Najpierw złamały się anteny radiowe, później zobaczyłem, że wsporniki ładownicze zaczynają pękać, a wszystko to działo się bardzo powoli, niczym we śnie. Dopiero gdy statek zaczął się przewracać, zrozumiałem, o co chodzi temu stworzeniu, niestety, było już za późno. Mogliśmy ocalić i statek, i siebie, gdybyśmy wyłączyli te wszystkie światła...

Prawdopodobnie jest to stworzenie fototropiczne, którego cykl biologiczny jest uzależniony od słońca filtrowanego przez lód. Mogliśmy też je zwabić jak ćmę lecącą do świecy. Nasze reflektory były jaśniejsze niż wszystko, co do tej pory widziała Europa...

A potem statek się poddał. Widziałem pęknięty kadłub, z którego wyparowała atmosfera zmieniając się w chmurę wilgotnego śniegu. Światła zgasły. Zostało tylko jedno, zawieszona na kablu kilka metrów nad ziemią.

Nie wiem, co działo się później. Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że stoję pod lampą obok wraku statku, a wokół pada śnieg. Widziałem wyraźnie swoje ślady. Musiałem biec. Minęła chyba minuta, może dwie...

Roślina, myślałem o tym jak o roślinie, pozostawała nieruchoma. Zastanawiałem się, czy katastrofa statku jej nie uszkodziła. Wokół leżały odłamane fragmenty tego czegoś, kawałki grubości, powiedzmy, męskiego ramienia, podobne do połamanych gałęzi.

Po chwili główny trzon zaczął się poruszać. Odsuwał się od kadłuba statku i zmierzał w moim kierunku. Wtedy ostatecznie przekonałem się, że to stworzenie reaguje na światło. Stałem dokładnie pod tysiącwatową lampą, która właśnie przestała się kołysać.

Wyobraźcie sobie dąb albo jeszcze lepiej: figowiec, ze wszystkimi gałęziami i korzeniami, spłaszczony przez siłę ciężenia, pełzający po ziemi. W odległości pięciu metrów od światła to coś zaczęło się rozciągać, aż do momentu gdy uformowało zamknięty krąg wokół mnie.

Prawdopodobnie była to granica jego tolerancji, punkt, w którym fototropizm zamienia się we własne przeciwieństwo. Przez kilka minut nic się nie działo. Przypuszczałem, że to wreszcie zamarzło, stało się martwe.

I właśnie wtedy zobaczyłem duże pąki tworzące się na ramionach tego czegoś. Wyglądało to jak film poklatkowy rozwijającego się kwiatu. Naprawdę myślałem, że są to kwiaty, przy czym każdy z nich miał wielkość ludzkiej głowy.

Wokół pełno było delikatnych, kolorowych, rozwijających się tkanek. Przyszło mi do głowy, że nikt i nic nie widziało jeszcze takich barw. Nie istniały, dopóki na ten świat nie przywieźliśmy światła, sprawcy wszystkich naszych nieszczęść.

Czułki, pręciki falujące delikatnie... Podeszedłem do żywej ściany, która mnie otaczała.

Widziałem wszystko bardzo dokładnie. Ani wtedy, ani w żadnym momencie wcześniej nie obawiałem się tego stworzenia. Byłem przekonany, że nie miało złych zamiarów, jeśli w ogóle posiadało jakąś świadomość.

Widziałem dziesiątki dużych kwiatów w różnych stadiach rozwijania się. Przypominały motyle wydobywające się z poczwerek – z wymiętymi skrzydłami, bardzo słabe. Byłem coraz bliższy odkrycia prawdy.

Ale one zamarzały, umierając niemal w chwili narodzin. Odpadały jeden po drugim od głównego pnia, szamocząc się przez kilka sekund niczym wyjęta z wody ryba. Na koniec odkryłem wreszcie, czym były naprawdę. To nie były płatki, były to płetwy. Lub ich odpowiedniki. Okres larwalny stworzenie to spędzało pływając w morzu. Przez większą część życia było przyzcpione do morskiego dna i tam wypuszczało ruchome nowe pędy w poszukiwaniu wolnego terytorium. Tak samo robią ziemskie korale.

Uklęknąłem, aby przyrzeć się z bliska temu małemu stworzonku. Piękne ubarwienie zniknęło, wszystko stawało się brunatne. Niektóre z płatków-płetw odpadały, zamarzając w zetknięciu z podłożem. Ale stworzonko wciąż jeszcze się ruszało, starało się mnie ominąć, gdy się zbliżałem. Zastanawiałem się, jak wyczuło moją obecność. I wtedy dostrzegłem, że te niby pręciki mają na czubkach jasnoniebieskie plamki. Wyglądały jak maleńkie gwiazdziste szafiry albo niebieskie oczy małża przegrzebka, świadome światła, ale niezdolne do tworzenia obrazów. Gdy tak stałem, jasny błękit zniknął, szafiry przesłaniała mgła. Teraz były to zwykłe kamienie...

Doktorze Floyd, czy ktokolwiek odbierający tę transmisję, nie zostało mi wiele czasu. Jowisz wkrótce zasłoni mój nadajnik, ale już prawie skończyłem.

Wiedziałem, co muszę zrobić. Kabel tej tysiącwatowej lampy zsunął się prawie do ziemi.

Pociągnąłem kilka razy, światło sypnęło iskrami i zgasło.

Zastanawiam się, czy nie jest za późno. Przez kilka minut nic się nie działo. Podeszedłem więc do ściany splątanych ramion i kopnąłem je.

Powoli stworzenie zaczęło się rozplątywać i przesuwać w stronę kanału. Było całkiem widno, tak że widziałem wszystko bardzo dokładnie. Na niebie świecił Ganimedes i Callisto. Jowisz był olbrzymim, cienkim półksiężycem. Na nocnej stronie Europy dostrzegłem zorzę wywołaną wzajemnym wpływem Jowisza i Io. Nie musiałem używać reflektora umieszczonego na helmie skafandra.

Poszedłem za stworzeniem aż do wody, kopiąc je od czasu do czasu, gdy zwalniało, i czując, jak lód kruszy mi się pod stopami... Zbliżając się do kanału nabierało sił i energii, jak gdyby czuło, że wraca do domu. Zastanawiałem się, czy przetrwa, by móc ponownie zakwitnąć.

Zniknęło pod powierzchnią, zostawiając na lądzie kilka martwych larw. Odsłonięty fragment wody burzył się przez kilka minut, po czym znów pokryła go ochronna warstwa lodu. Wróciłem do statku, by zbadać, czy coś ocalało; wolę o tym nie mówić.

Mam tylko dwie prośby, doktorze. Kiedy uczeni będą opracowywać systematykę tych stworzeń, chciałbym, aby nazwano je moim nazwiskiem. I druga prośba. Gdy tu przyleci następny statek, niech zabierze nasze prochy do Chin.

Jowisz za kilka minut przesłoni nadajnik. Chciałbym wiedzieć, czy ktoś mnie odbiera. W każdym razie powtórzę tę transmisję, jeśli tylko będzie to możliwe. Mam nadzieję, że mój skafander wytrzyma jeszcze trochę.

Mówi profesor Chang z Europy. Melduję o katastrofie statku kosmicznego «Tsien».

Wylądowaliśmy przy Wielkim Kanale i ustawiliśmy nasze pompy na krawędzi lodu...”

Głos zanikł nagle, powrócił na chwilę, a potem umilkł na dobre, zagłuszony szumami. Profesor Chang nie nadał już żadnej wiadomości, lecz to, co udało mu się powiedzieć, wystarczyło, by rozbudzić kosmiczne ambicje Lawrence'a Tsunga.

## 6. Zieleni się Ganimedes

Rolf van der Berg był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i we właściwym czasie; żaden inny układ nie przyniósłby takich efektów. Oczywiście, w ten sposób powstaje wiele różnych historii.

Był właściwym człowiekiem, gdyż pochodził z drugiego pokolenia uchodźców afrykanerskich, a ponadto skończył geologię. Te dwa czynniki okazały się jednakowo ważne. Był na właściwym miejscu, ponieważ jego talent ujawnił się w pełni dopiero na największym z jowiszowych księżyców – trzecim, licząc od najbliższego w sekwencji: Io, Europa, Ganimedes, Callisto. Jeśli chodzi o czas, to nie miał on aż tak istotnego znaczenia w tym wypadku, informacje z Ganimedesa bowiem tykały w bankach informacji niczym bomba zegarowa przynajmniej od

dziesięciu lat. Van der Berg natknął się na nie dopiero w roku 2057, lecz nawet wtedy potrzebował jeszcze całych dwunastu miesięcy, by przekonać samego siebie, że nie oszalał. Był już rok 2059, kiedy po cichu skonfiskował oryginalne raporty, by nikt nie zdołał powtórzyć jego odkrycia. Dopiero wtedy mógł się spokojnie zastanowić nad głównym problemem: co robić dalej?

Wszystko zaczęło się, jak to często bywa, od trywialnej niemal obserwacji z dziedziny nie związanej bezpośrednio z zajęciami van der Berga, którego praca – jako członka Planetarnej Inżynieryjnej Grupy Roboczej – polegała na badaniu i katalogowaniu zasobów naturalnych Ganimedesa, z całą więc pewnością nie powinna była dotyczyć zakazanego satelity orbitującego po sąsiedzku.

Lecz Europa okazała się zagadką, której nie było można długo ignorować, szczególnie jeśli pracowało się tuż obok. Co siedem dni ów tajemniczy księżyc przesunął się między Ganimedesem a minisłońcem, które niegdyś było Jowiszem, wywołując zaćmienia trwające nawet do dwunastu minut. W najbliższym położeniu Europa była nieco mniejsza od Księżyca towarzyszącego Ziemi, a na przeciwległym krańcu orbity kurczyła się do czwartej części tych rozmiarów.

Zaćmienia często bywały bardzo widowiskowe. Tuż przed wejściem pomiędzy Ganimedesa a Lucyfera Europa stawała się złowrogim, czarnym dyskiem w obwódce szkarłatnego ognia, który był niczym innym, jak tylko światłem nowego słońca załamującym się w atmosferze dzięki niemu powstałej.

Nie minęła nawet połowa ludzkiego życia od chwili pierwszego lądowania, a Europa już stała się zupełnie innym globem. Pokrywa lodu na półkuli zawsze skierowanej w stronę Lucyfera uległa stopieniu, tworząc drugi ocean w Układzie Słonecznym. Przez dziesięć lat morze pieniało się i wrzało, uciekając do otaczającej je próżni, aż wreszcie ustaliła się atmosferyczna równowaga. Obecnie Europa miała cienką, lecz przydatną – niestety, nie dla ludzi – pokrywę atmosferyczną, złożoną z pary wodnej, siarkowodoru, dwutlenków węgla i siarki, azotu i przeróżnych gazów rzadkich. Choć nocna strona - nie było to zresztą zbyt trafne określenie – nadal była pokryta wiecznym lodem, to na drugiej półkuli satelity, na obszarze wielkości Afryki, panował znośny, umiarkowany klimat, woda znajdowała się w stanie płynnym i powstało nawet kilka oddalonych od siebie wysp.

Wszystko to – i niewiele więcej – zarejestrowały teleskopy orbitujące wokół Ziemi. Gdy w roku 2028 wyruszyła do księżyców Jowisza pierwsza ekspedycja na dużą skalę, Europę przesłaniała stale utrzymująca się warstwa chmur. Ostrożne badania radarowe potwierdziły znane już wcześniej fakty: na jednej stronie tego księżycyca nie było nic prócz gładkiej powierzchni oceanu, na drugiej – nic poza równie gładką pokrywą lodu. Europę wciąż uważano za najmniej wartą nieruchomości w całym Układzie Słonecznym.

Wszystko zmieniło się dziesięć lat później: na starym satelicie nastąpiły drastyczne zmiany. Wyłoniła się pojedyncza góra, niemal tak wysoka jak Mount Everest, przebijając uprzednio lód w strefie mroku. Przypuszczano, że odpowiedzialność za wyrzucenie tak wielkiej masy materii ku niebu spada na działalność wulkaniczną podobną tej, jaka bez ustanku targała pobliskim Io. Mogło to być również spowodowane ogromnym przepływem ciepła z Lucyfera.

Wyjaśnienie było dość proste, lecz omijało pewne problemy. Góra Zeusa miała bowiem kształt nieregularnej piramidy, a nie zwykłego wulkanicznego stożka, poza tym radary nie wykryły żadnego wypływu lawy. Dość kiepskiej jakości zdjęcia zrobione z Ganimedesa podczas chwilowego braku zachmurzenia wskazywały na lodową strukturę góry, co nie odróżniałoby jej od reszty krajobrazu. Bez względu na budowę powstanie Góry Zeusa miało wielki wpływ na świat, w którym wyrosła, gdyż całkowicie zmieniło dotychczasowy układ pływów lodowca po nocnej stronie.

Pewien chadzający własnymi ścieżkami naukowiec wysunął teorię, że Góra Zeusa jest „kosmiczną górą lodową” – częścią komety, która spadła na Europę; zniszczona w ten sposób powierzchnia Callisto stanowiła świetny dowód, że bombardowania takie często zdarzały się w zamierzchłej przeszłości. Owa teoria nie zyskała popularności na Ganimedesisie, którego przyszli koloniści mieli i bez niej aż nadto problemów. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy van der Berg obalił ją stwierdzając, że masa lodowa o takich rozmiarach musiałaby przy uderzeniu rozpaść się na wiele części, a gdyby nawet tak się nie stało, to przyciąganie Europy – choć bardzo skromne – doprowadziłoby niebawem do takich samych skutków. Pomiarów radarowe co prawda wykazywały, że Góra Zeusa powoli się zapada, to jednak jej kształt nie ulegał żadnej zmianie. Lód nie wchodził więc w rachubę.

Cały problem można by rozwiązać wysyłając pojedynczy próbnik przez chmury Europy, ale przecież cały ten księżyc był objęty zakazem wstępu, nie zachęcającym do działania.



## WSZYSTKIE ŚWIATY SĄ WASZE – OPRÓCZ EUROPY NIE PRÓBUJECIE TAM LĄDOWAĆ

Nie zapomniano ostatej wiadomości, którą przekazał tuż przed zniszczeniem statek kosmiczny „Discovery”, wciąż jednak trwały dyskusje nad jej interpretacją. Czy „lądowania” odnoszą się do zrobotyzowanych próbników, czy tylko do statków z ludzką załogą? A co z bliskimi przelotami z ludźmi lub bez ludzi? Co z balonami wysyłanymi w górne warstwy atmosfery? Naukowcy niecierpiwili się, chcąc dowieść swoich racji, a opinia publiczna była tym wszystkim bardzo wzburzona. Nie wolno przecież lekceważyć potęgi, która zniszczyła największą planetę Układu Słonecznego. Poza tym miną wieki, zanim w pełni zbada się i wyekspluataje Io, Ganimedesa, Callisto i dziesiątki mniejszych księżyców. Europa może poczekać.

Van der Berga napominano nie raz i nie dwa, by nie tracił cennego czasu na badania nie służące żadnym praktycznym celom. Zwłaszcza że na Ganimedesie było tyle do zrobienia! („Skąd wziąć węgiel, fosfor, azotany potrzebne hydroponicznym farmom? Czy nie zawali się Skarpa Barnarda? Czy we Frygii utrzymuje się niebezpieczeństwo kolejnych obsunięć ziemi?” I tak dalej, i tym podobne...) Geolog nie na darmo jednak odziedziczył po burskich przodkach upór i wytrwałość, toteż pracując nad innymi projektami, wciąż spoglądał przez ramię na Europę. Pewnego dnia wichura rozwiała na kilka godzin chmury skrywające Górę Zeusa na nocnej stronie...

### 7. Przejście

*Wyzbywam się wszystkiego, co miałem...*

W jakich pokładach pamięci dokopał się tego wersu? Heywood Floyd zamknął oczy i skoncentrował się na przeszłości. Z pewnością zdanie to pochodziło z jakiegoś wiersza – a przecież, odkąd skończył college, nie czytywał poezji. Podczas studiów również zaliczył jedynie krótkie seminarium literackie.

Bez dodatkowych wskazówek komputer stacji będzie musiał się namęczyć, może nawet straci więcej niż dziesięć minut, zanim w całej literaturze anglojęzycznej odnajdzie te słowa. Poza tym oznaczałoby to poddanie się i oszukiwanie samego siebie (nie wspominając o kosztach), Floyd więc postanowił przyjąć intelektualne wyzwanie.

Oczywiście ta jedna linijka pochodziła z wiersza o wojnie. Ale o której wojnie? W dwudziestym wieku było ich tyle...

Wciąż jeszcze przedzierał się przez mgły niepamięci, gdy przybyli goście, poruszający się bez wysiłku i z naturalnym wdziękiem ludzi od dawna przywykłych do jednej szóstej ziemskiego ciężenia. Towarzystwo w Szpitalu im. Pasteura pozostawało pod silnym wpływem fenomenu, który nazywano „stratyfikacją centryfugi”. Niektórzy bowiem nigdy nie opuszczali rejonu zero g – w okolicach Piasty – podczas gdy inni, szczególnie ci, którzy liczyli się z szybkim powrotem na Ziemię, woleli przebywać w prawie normalnych warunkach – na krawędzi olbrzymiego, wolno obracającego się dysku.

George i Jerry byli teraz najstarszymi i najlepszymi przyjaciółmi Floyda – a mogło to dziwić, ponieważ łączyło ich tak niewiele. Patrząc wstecz na szachownicę swego życia – dwa małżeństwa, trzy oficjalne kontrakty, dwa nieoficjalne, troje dzieci – Heywood często zazdrościł przyjaciołom stabilizacji, trwałych związków i wielu innych rzeczy, w tym tak zwanych „siostrzeńców” z Ziemi i Księżyca, którzy odwiedzali ich co jakiś czas.

– Czy któryś z was chociaż pomyślał kiedyś o rozwodzie? - zapytał kiedyś z ironią.

George – jego nieomal akrobatyczny i nadzwyczajny talent dyrygencki był w znacznym stopniu przyczyną popularności, jaką znów cieszyła się klasyczna muzyka orkiestrowa – jak zwykle nie dał się zbić z tropu.

– O rozwodzie nigdy – odparł natychmiast. – O morderstwie... często.

– Oczywiście sprawa zaraz by wyszła na jaw – dorzucił Jerry. – Sebastian wypaplałby wszystko na policji.

Sebastian był piękną, gadającą papugą, którą sprowadzono na stację po długich i ciężkich bojach z władzami szpitala. Potrafił nie tylko mówić, umiał też wyśpiewać pierwsze takty koncertu skrzypcowego Sibeliusa, koncertu, dzięki któremu Jerry – wspierany przez Antonio Stradivariusa – zrobił przed półwieczem oszałamiającą karierę.

Nadszedł czas, by pożegnać się z Georgem, Jerryem i Sebastianem – może na kilka tygodni, a może na zawsze... Floyd miał już za sobą całą turę pożegnań, będących w zasadzie przyjęciami, które mocno nadwężyły skromne zapasy wina na stacji. Oprócz tego spotkania wszystko było zapięte już na ostatni guzik.

Archie – jeden z pierwszych, ale wciąż znakomicie się sprawujący automat komunikacyjny – został zaprogramowany przez Floyda w taki sposób, by po przesortowaniu nadchodzącej korespondencji wysyłał odpowiedzi lub przekazywał sprawy pilne i osobiste na pokład „Wszechświata”. Po raz pierwszy od bardzo wielu lat nie dane będzie Heywoodowi komunikować się na zawołanie z każdym, kogo sobie akurat przypomni, z drugiej jednak strony – odpocznie od rozmów niechcianych. Po kilku dniach podróży statek znajdzie się w takiej odległości od Ziemi, że rozmowy w czasie rzeczywistym okażą się niemożliwe i trzeba je będzie nagrywać lub przysyłać teletekstem.

– Myśleliśmy, że jesteś naszym przyjacielem – zaczął oskarżycielskim tonem George. – Zrobiłeś nam głupi kawał mianując nas wykonawcami twojej woli, tym bardziej że nic nam nie zostawiasz.

– Może czeka was niespodzianka – uśmiechnął się Floyd. – Tak czy inaczej, Archie zajmie się szczegółami. Chciałbym tylko, żebyście od czasu do czasu sprawdzali pocztę, bo gdyby Archie czegoś nie zrozumiał...

– Jeśli on nie zrozumie, to nie licz na nas. Czy my się znamy na konferencjach naukowych i tego rodzaju bzdurach?

– Wszystko będzie dobrze. Przypilnujcie jeszcze, żeby sprzątaczkę nie zrobiły tu za wielkiego bałaganu podczas mojej nieobecności, a gdybym nie wrócił, wiecie, gdzie szukać tych paru osobistych drobiazgów, które trzeba przekazać rodzinie.

Rodzina! Jeśli żyje się tak długo jak Floyd, to rodzina – oprócz przyjemności – staje się również źródłem utrapień.

Minęły sześćdziesiąt trzy lata – sześćdziesiąt trzy! – od śmierci Marion w katastrofie lotniczej. Floyd borykał się teraz z niejasnym poczuciem winy, gdyż nie pamiętał nawet rozpaczy, która musiała nim wówczas targać. To znaczy potrafił przywołać syntezę tamtych odczuć, ale nie autentyczne wspomnienie.

Kim byliby dla siebie, jeśli Marion wciąż by jeszcze żyła? Miałyby tylko sto lat...

A dwie małe dziewczynki, które tak bardzo kochał, stały się teraz miłymi, siwymi nieznajomymi, dobiegały siedemdziesiątki, miały własne dzieci i wnuki! Podczas ostatniego obrachunku w tej gałęzi rodziny było ich dziewięć; bez pomocy Archiego nigdy by nie spamiętał ich imion.

One jednak pamiętały o nim – przynajmniej podczas świąt – choć wynikało to raczej z obowiązku niż z miłości.

Drugie małżeństwo przesłoniło wspomnienia pierwszego, niczym powtórnie zapisany średniowieczny palimpsest. Lecz i ono skończyło się przed pięćdziesięciu laty, gdzieś pomiędzy Ziemią a Jowiszem. Floyd miał nadzieję, że pogodzi się z żoną i synem, ale w okresie ceremonii powitalnych po powrocie „Leonowa” spotkał się z nimi tylko raz, i to na krótko, potem zaś wypadek uczynił z niego wygnańca na Pasteurze.

Tamto spotkanie nie skończyło się dobrze, podobnie jak i drugie – zorganizowane znacznym kosztem i po wielu staraniach na pokładzie szpitala kosmicznego w tym samym pokoju, w którym mieszkał obecnie. Chris miał wtedy dwadzieścia lat i właśnie się ożenił – a jeśli wówczas cokolwiek jeszcze łączyło Floyda z Caroline, był to brak uznania dla jego wybranki. Helena okazała się jednak wspaniałą żoną i matką dla Chrisa II, który przyszedł na świat zaledwie miesiąc po zaślubinach rodziców. A gdy została młodą wdową – jak tyle kobiet po katastrofie „Kopernika” – nie straciła głowy, zapewniając dziecku prawdziwy dom.

Na ironię zakrawał fakt, że zarówno Chris I, jak i Chris II stracili ojców przez kosmos, choć każdy na inny sposób. Floyd, który jedynie na krótko powrócił do swego ośmioletniego syna, był dla niego kimś zupełnie obcym; Chris II znał swojego tatę przynajmniej przez pierwsze dziesięć lat życia, po czym stracił go na zawsze.

A gdzie się teraz podziewał Chris junior? Ani Caroline, ani Helena – zostały zresztą najlepszymi przyjaciółkami – nie miały pojęcia, czy był na Ziemi, czy w przestrzeni kosmicznej.

Postępowanie takie stało się typowe dla wnuczka Floyda, który tylko z pierwszej wizyty na Księżycu przysłał wszystkim pocztówki ze stemplem Bazy na Klawiuszu.

Kartka, którą otrzymał Floyd, wciąż wisiała na widocznym miejscu nad jego biurkiem. Chris II miał poczucie humoru – jak się okazało – i znał historię. Przysłał dziadkowi słynne zdjęcie Monolitu z Tycho górującego nad grupą otaczających go ludzi w skafandrach kosmicznych. Fotografii zrobiono ponad pół wieku temu. Oprócz Floyda nikt z uwiecznionych na zdjęciu już nie żył, a sam Monolit nie stał na Księżycu. W roku 2006, po długich dyskusjach przetransportowano go na Ziemię i ustawiono – niczym tajemnicze odbicie głównego budynku – na Placu Narodów Zjednoczonych. Chodziło o przypomnienie ludziom, że nie są osamotnieni w

kosmosie; po upływie pięciu lat nikomu nie trzeba było tego przypominać – wystarczyło podnieść oczy ku niebu i spojrzeć na Lucyfera.

Floydowi drżały palce – czasami jego prawa dłoń zdawała się mieć własną wolę – gdy odpinał pocztówkę od ściany i wsuwał ją do kieszeni. Kartka ta była jedną z niewielu rzeczy osobistych, jakie zabierał na pokład „Wszechświata”.

– Wrócisz za dwadzieścia pięć dni. Nawet nie zauważymy twojej nieobecności – stwierdził Jerry. – A tak na marginesie, czy to prawda, że leci z wami Dmitrij?

– Ten mały Kozak? – skrzywił się George. – W 2022 dyrygowałem jego II symfonią.

– Czy to nie wtedy pierwsze skrzypce rzygnęły podczas largo?

– Nie... to był Mahler, a nie Michajłowicz. I nie pierwsze skrzypce, a blacha, nikt więc nie zauważył oprócz, rzecz jasna, nieszczęsnego tubisty, który musiał nazajutrz sprzedać instrument.

– Wymyślasz to wszystko!

– Oczywiście. Ale przekaz temu starymu łajdakowi moje uściski i przypomnij mu wieczór, który spędziliśmy w Wiedniu. Kogo jeszcze macie na pokładzie?

– Słyszałem straszliwe plotki o bandzie dziennikarzy – powiedział z niepokojem Jerry.

– Przesada, zapewniam cię. Sir Lawrence dokonywał wyboru osobiście, kierując się naszą inteligencją, dowcipem, urodą, charyzmą i wieloma innymi cechami, które są niezbędne w kosmosie.

– Słowem, stanowicie ozdobę.

– Jeśli już o tym mowa, to powiem wam, że wszyscy musieliśmy podpisać bardzo przykry dokument prawny zdejmujący z Linii Kosmicznych Tsunga całą odpowiedzialność za wszelkie możliwe nieszczęścia. Przy okazji: mój egzemplarz jest tutaj, w tej teczce.

– Zarobimy coś na tym? – zapytał z nadzieją w głosie George.

– Raczej nie. Moi prawnicy powiedzieli mi, że ten świstek jest nie do ruszenia. Tsung odpowiada tylko za to, że przewiezie mnie na Halleya i z powrotem oraz da mi jeść, pić, oddychać i popatrzeć sobie przez okno.

– A czego spodziewa się w zamian?

– Kiedy wrócę, mam postarać się rozreklamować przyszłe wycieczki, pokazać się kilka razy w telewizji, napisać parę artykułów... niewiele, jak na wyprawę życia. Aha... podczas lotu mam zabawiać innych pasażerów i vice versa.

– Jak? Śpiewem i tańcem?

– Cóż, mam zamiar odczytać zachwyconej tym publiczności niektóre ustępy z moich pamiętników. Ale chyba nie uda mi się wygrać konkurencji z zawodowcami. Czy wiecie, że leci z nami Yva Merlin?

– Co?! Udało im się wyciągnąć ją z tej celi przy Park Avenue?

– Ma chyba ze sto parę lat... Uuups, przepraszam, zapomniałem się.

– Coś ty! Ma tylko siedemdziesiąt lat, plus minus pięć.

– Zapomnij o minusie. Kiedy grali <MI>Napoleona<D>, sikałem jeszcze w pieluchy.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której każdy wspominał to słynne dzieło. Niektórzy krytycy utrzymywali, że najlepszą rolą Yvy Merlin (gdy urodziła się w Cardiff, w Południowej Walii, nazywała się Evelyn Miles) była Scarlett O'Hara, lecz szeroka publiczność wciąż utożsamiała ją z Józefiną. Niemal przed półwieczem kontrowersyjna filmowa opowieść epicka Davida Griffina zachwycała Francuzów, a rozwścieczyła Brytyjczyków. Teraz już obydwie strony zgadzały się, że reżyser odrobinę przesadził manipulując prawdą historyczną, co szczególnie dotyczyło widowiskowej sekwencji końcowej, czyli koronacji Napoleona w Westminster Abbey.

– Sir Lawrence zadbał o wszystko... – rzucił z rozrzewnieniem George.

– Kilka ciepłych słów należy się również mnie. Jej ojciec był astronomem i swego czasu pracował pod moim kierownictwem, a Yva zawsze interesowała się nauką. Tak więc nawet nie musiałem jej specjalnie przekonywać przez wideofon...

Heywood Floyd nie musiał dodawać, że podobnie jak znaczny odsetek ludzkiego gatunku zakochał się w Yvie od czasu jej występów w stacji telewizyjnej GWTV Mark II.

– Rzecz jasna – mówił dalej – sir Lawrence był zachwycony, ale i tak musiałem go przekonywać, że Ywę łączy z astronomią coś więcej niż przypadkowy związek. W przeciwnym razie wycieczka mogłaby okazać się towarzyską katastrofą.

– Co przypomina mi... – zaczął George wyciągając zza pleców mały pakiecik, który bez powodzenia chował tam do tej pory – że mamy dla ciebie drobny prezent.

– Mogę go teraz otworzyć?

– Uważasz, że powinniśmy mu pozwolić? – spytał zaniepokojony Jerry.

– W takim razie na pewno otworzę – rzucił Floyd, rozsypując jasnozieloną wstążkę i odpakowując paczuszkę.

W środku znalazł ładnie oprawiony obrazek. Choć Floyd nie znał się na sztuce, widział go już wcześniej; zaiste, nie można go było zapomnieć!

Na skleconej byle jak tratwie miotanej przez fale tłoczyła się gromada półnagich rozbitków, z których niektórzy konali, a inni wymachiwali rozpaczliwie w stronę statku widocznego na horyzoncie. Niżej znajdował się tytuł obrazu i nazwisko autora:

TRATWA „MEDUZY”

(Théodore Géricault, 1791-1824)

Jeszcze niżej Floyd zauważył dopisek pochodzący spod ręki albo George'a, albo Jerry'ego:

„Dostać się tam, to ledwie połowa zabawy”.

– Jesteście dwójką skurczybyków, ale kocham was z całego serca – powiedział Heywood, ściskając ich obu. Na ekranie Archiego rozjarzył się napis: UWAGA. Czas zatem ruszać w drogę.

Przyjaciele odeszli w ciszy wymowniejszej niż słowa. Heywood Floyd po raz ostatni rozejrzał się po małej kabinie, która była jego wszechświatem niemal przez połowę życia.

I nagle przypomniał sobie zakończenie wiersza:

*Jestem szczęśliwy – szczęśliwy odchodząc...*

## 8. Gwiezdna flotylla

Sir Lawrence Tsung nie był człowiekiem sentymentalnym. Stał się kosmopolitą i patriotyzm nie znaczył dla niego wiele, choć w czasach studenckich paradował z doczepionym końskim ogonem, które z dumą nosiło się podczas Trzeciej Rewolucji Kulturalnej. Mimo to wizyta w planetarium – gdzie odtworzono mu katastrofę statku kosmicznego „Tsien” – poruszyła go do głębi i spowodowała, że wiele energii i czasu poświęcił przestrzeni kosmicznej.

Wkrótce sir Lawrence zaczął spędzać weekendy na Księżycu i mianował swego przedostatniego syna, Charlesa (tego, który kosztował go trzydzieści dwa miliony soli), wiceprezydentem Astrofrachtu Tsunga. Nowa korporacja dysponowała tylko dwiema katapultowymi, napędzanymi wodorem rakietami o ciężarze własnym poniżej tysiąca ton. Sprzęt był nieco przestarzały, ale

pozwoił Charlesowi nabrać doświadczenia w prowadzeniu firmy kosmicznej, doświadczenia, które stanie się – sir Lawrence był o tym przekonany – niezbędne w nadchodzących latach. W końcu bowiem naprawdę rozpoczęła się Epoka Kosmiczna.

Pięćdziesiąt kilka lat dzieliło pierwszy przelot braci Wright od powstania taniego, masowego transportu lotniczego; upłynęło grubo ponad sto lat, nim ludzkość przygotowała się do stawienia czoła trudnym wyzwaniom Układu Słonecznego.

Gdy w latach pięćdziesiątych minionego stulecia Luis Alvarez odkrył syntezę katalizowaną mionowo, jego pracę potraktowano jako podniecającą ciekawostkę laboratoryjną, o wyłącznie teoretycznym znaczeniu. Sam Alvarez – podobnie jak wielki lord Rutherford, który sceptycznie odnosił się do wykorzystania w przyszłości energii atomowej – powątpiewał, czy „zimna synteza nuklearna” znajdzie kiedykolwiek praktyczne zastosowanie. Dopiero w roku 2040 niespodziewane i całkiem przypadkowe wyprodukowanie na skalę przemysłową „pierwiastków” mionowo-wodorowych otworzyło nowy rozdział w ludzkiej historii – podobnie jak odkrycie neutronu zapoczątkowało Epokę Atomową.

Obecnie można było budować małe, przenośne elektrownie jądrowe z minimalnymi zabezpieczeniami. Konwencjonalna synteza nuklearna pochłonęła już takie nakłady, że z początku wielkie światowe koncerny elektryczne nie były zainteresowane nowością, natomiast od razu przyjęła się ona w dziedzinie badań kosmicznych; wynalazek ów można jedynie porównać z wcześniejszą o sto lat rewolucją odrzutową w transporcie lotniczym.

Statki kosmiczne – nie ograniczane już zasobami energii – mogły teraz osiągać znacznie większą prędkość: czas przelotów w Układzie Słonecznym mierzyło się tygodniami, a nie – jak dawniej – miesiącami czy nawet latami. Lecz napęd mionowy wciąż pozostawał urządzeniem działającym na zasadzie reakcji, której przebieg w rakietach nowego typu nie różnił się zasadniczo od tego, jaki wykorzystywano w statkach napędzanych chemicznie; chcąc uzyskać reakcję, trzeba było mieć płyn do jej przeprowadzenia. A najtańszym, najczystszy i najwygodniejszym ze wszystkich płynów jest zwykła woda.

W Pacyficznym Porcie Kosmicznym nie brakowało tej substancji. Sprawy miały się nieco inaczej na kolejnym etapie podróży, na Księżycu. Misje „Surveyora”, „Apolla” i „Łuny” nie odkryły ani śladu wody na naszym satelicie. Jeśli na Księżycu kiedykolwiek była woda, to miliony lat bombardowania meteorytami sprawiły, że w postaci pary uciekła w próżnię.



Tak przynajmniej twierdzili selenolodzy. Okazało się, że nie mieli racji, już kiedy Galileusz skierował na Księżyc swój pierwszy teleskop. Niektóre góry księżycowe przez kilka godzin po świetle lśnią tak jasno, jakby okrywały je czapy śniegu. Najślynniejsza z nich to krater Arystarch, którego krawędź – co zaobserwował już William Hershel, ojciec współczesnej astronomii – emanuje tak wiele światła podczas księżycowej nocy, że górę uważano za aktywny wulkan. Oczywiście Hershel i wszyscy inni pomylili się. Lśniącą krawędź na Arystarchu tworzyła cienka, półprzezroczysta warstwa odbijającego ziemskie światło lodu, który uległ kondensacji podczas trzystu godzin mroźnych ciemności.

Odkrycie olbrzymich pokładów lodu poniżej Doliny Schrotera – w krętym kanionie biorącym swój początek przy Arystarchu – było ostatnim czynnikiem w równaniu, które miało zmienić ekonomię lotów kosmicznych. Księżyc stał się kolejną stacją paliwową umieszczoną w najbardziej kluczowym, niezastąpionym miejscu – wysoko na zewnętrznych krawędziach ziemskiego pola grawitacyjnego, tam gdzie rozpoczynał się długi marsz ku planetom.

„Kosmos”, pierwszy statek z flotyli Tsunga, przewoził towary i pasażerów na trasie Ziemia-Księżyc-Mars. Dzięki wielu umowom z przeróżnymi organizacjami i rządami testowano w nim pozostający wciąż w fazie eksperymentalnej napęd mionowy. Zbudowano go w dokach Imbrium i wyposażono w ciąg pozwalający unieść się z Księżyca bez ładunku. Statek miał bowiem latać z orbity na orbitę i w przyszłości nie dotknąć powierzchni żadnego świata. Sir Lawrence – który jak zwykle wykazał doskonale wyczucie potrzeb reklamy – zaaranżował rozpoczęcie dziewiczego lotu „Kosmosu” w Dniu Sputnika, czyli 4 października 2057 roku.

Dwa lata później do „Kosmosu” dołączył siostrzany statek „Galaktyka”, który miał obsługiwać trasę Ziemia-Jowisz. Drugi pojazd kosmiczny wyposażono w ciąg pozwalający na lądowanie i start z powierzchni księżyców Jowisza, choć odbyło się to kosztem powierzchni frachtowej. Gdyby zaszła potrzeba, „Galaktyka” mogłaby nawet wrócić do macierzystej stoczni na Księżycu w celu dokonania napraw. Był to z pewnością najszybszy statek zbudowany przez człowieka: spalając całą masę paliwa w jednym orgazmie przyspieszenia, „Galaktyka” osiągnęłaby prędkość tysiąca kilometrów na sekundę, co by jej pozwoliło na przelot z Ziemi do Jowisza w czasie jednego tygodnia, a do najbliższej gwiazdy – w okresie nie dłuższym niż dziesięć tysięcy lat.

Trzeci statek flotyli – duma i radość sir Lawrence'a – ucieleśniał wszystko, czego nauczono się podczas budowy i eksploatacji jego dwóch starszych sióstr. „Wszechświat” nie miał być jednak frachtowcem. Zaprojektowano go jako pasażerski liniowiec – pierwszy w historii kosmicznych szlaków – latający aż do Saturna klejnot Układu Słonecznego.

Sir Lawrence planował bardzo spektakularny dziewiczy przelot, lecz opóźnienia wywołane strajkiem dokerów z Księżycowego Zreformowanego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Ciężkiego spowodowały zmianę terminarza. Zostało niewiele czasu na testy i uzyskanie certyfikatu Lloyd'a – co nastąpiło pod koniec roku 2060. Obecnie „Wszechświat” był gotów do opuszczenia ziemskiej orbity. Powinno to nastąpić niezwłocznie, bo kometa Halleya nie będzie przecież czekać, nawet na sir Lawrence'a Tsunga.

## 9. Góra Zeusa

Satelita badawczy „Europa VI” znajdował się na orbicie niemal od piętnastu lat, co znacznie wykraczało poza wyznaczone mu normy; w małym ośrodku naukowym na Ganimesie toczyły się więc dysputy, czy zastąpić zużytą maszynę nowym urządzeniem.

Na starym satelicie umieszczono zwykły zestaw instrumentów do gromadzenia danych oraz kompletnie nieprzydatny system przesyłania obrazów, który działał wprawdzie bez zarzutu, ale pokazywał jedynie widok górnej warstwy chmur stale przesłaniających Europę. Zapracowany zespół badawczy na Ganimesie przeglądał pobieżnie nagrania raz w tygodniu, po czym wysyłał nie opracowany materiał na Ziemię. W sumie wszyscy byliby zadowoleni, gdyby „Europa VI” w końcu wyzionęła ducha i przestała zasypywać Ośrodek w sąsiedztwie gigabajtami nieciekawych informacji.

W końcu jednak, po raz pierwszy od lat, satelita przesłał coś naprawdę ekscytującego.

– Orbita 71934 – powiedział zastępca głównego astronoma, który skontaktował się z van der Bergiem, zaraz gdy przejrzał najnowszy zestaw danych. – Coś zbliża się po nocnej stronie i zmierza wprost na Górę Zeusa. Jeszcze przez dziesięć sekund nie będzie nic widać.

Ekran był jednolicie czarny, ale van der Berg wyobrażał sobie zlodowaciały krajobraz przesuwany się pod pokrywą chmur, poniżej tysiąca kilometrów. Za kilka godzin zaświeci tam odległe Słońce, ponieważ Europa obracała się wokół własnej osi raz na siedem ziemskich dni. Nocną stronę powinno się raczej nazwać „strefą zmroku”, gdyż było tam dość światła, chociaż

brakowało ciepła. Mimo to przyjęła się pierwsza nazwa, chyba ze względu na pewien podtekst emocjonalny: na Europie występowały wschody Słońca, nie zdarzały się natomiast wschody Lucyfera.

I właśnie zbliżał się świt, przyspieszony tysiącrotnie przez pędzącą po orbicie sondę. Smuga słabego światła, wynurzająca się z ciemności horyzontu, podzieliła ekran na dwie części.

Wybuch blasku był tak nagły, że van der Bergowi wydało się, iż ma przed oczami atomową eksplozję. W ułamku sekundy na monitorze zajaśniały wszystkie barwy tęczy, które zmieszały się potem w czyste, białe światło. Słońce wzniosło się ponad górą, następnie znikło, gdy do obwodu automatycznie włączyły się filtry.

– To wszystko. Szkoda, że w tym momencie nie było na służbie operatora, który mógłby skierować kamerę w dół, by lepiej przyjrzeć się górze podczas przelotu. Wiedziałem, że chętnie zobaczy pan ten materiał, choć zaprzecza on pańskiej teorii.

– W jaki sposób? – zapytał van der Berg, bardziej zdziwiony aniżeli poirytowany.

– Kiedy ogląda się film w zwolnionym tempie, dokładnie widać to, o czym mówię. Te piękne tęcze – nie są one pochodzenia atmosferycznego – stworzyła je góra. Tylko lód może dać taki efekt. Albo szkło, co nie wydaje się prawdopodobne.

– Ale nie jest wykluczone. Naturalne szkło może powstać podczas wybuchu wulkanu, z tym że jest zazwyczaj czarne... Oczywiście, mam!

– Tak?

– Eee... nie chciałbym wysuwać kategoriycznych twierdzeń... muszę najpierw przejrzeć materiał. Ale stawiam na skalny kryształ... przezroczysty kwarc. Można z niego robić piękne pryzmaty i soczewki. Czy będą jeszcze jakieś nagrania?

– Obawiam się, że nie. To był czysty przypadek: Słońce, góra i kamera zgrane w odpowiednim czasie. Coś takiego może się powtórzyć dopiero za tysiąc lat.

– Jestem zobowiązany, tak czy inaczej. Czy może mi pan przysłać kopię? Choć nie ma z tym pośpiechu, bo właśnie wyjeżdżam do Perrine na pomiary i będę mógł przejrzeć materiał dopiero po powrocie... – van der Berg zaśmiał się krótko, przepraszająco. – Jeśli to naprawdę jest skalny kryształ, byłby wart fortunę. Może nawet starczyłoby na wyrównanie naszego deficytu budżetowego...

Była to czysta fantazja. Wszystkie cuda i skarby Europy pozostawały poza zasięgiem rodzaju ludzkiego, co wyraźnie podkreślał ostatni komunikat „Discovery”. Po pięćdziesięciu latach od jego nadania nikt nie cofnął zakazu i nic nie wskazywało, by miał być cofnięty kiedykolwiek.

#### 10. Statek szaleńców

Przez początkowe czterdzieści osiem godzin podróży Heywood Floyd nie mógł się nadziwić wygodzie, rozmiarom i komfortowi pomieszczeń pasażerskich „Wszechświata”. Jednakże większość gości zaproszonych na statek uważała to za coś oczywistego. Jeśli ktoś nigdy nie opuszczał Ziemi, teraz zapewne wyobrażał sobie, że takie warunki spotyka się we wszystkich pojazdach kosmicznych.

Floyd musiał sobie przypomnieć niektóre wydarzenia z historii aeronautyki, by spojrzeć na rzecz całą z odpowiedniej perspektywy. Za swego życia był świadkiem, więcej – uczestnikiem rewolucji, jaka dokonała się w przestworzach wokół planety, która teraz szybko znikła za jego plecami. Starego, niezdarnego „Leonowa” dzieliło od wymyślnego „Wszechświata” jedynie pięćdziesiąt lat. (Gdzieś w głębi duszy nie potrafił w to uwierzyć, ale trudno dyskutować z arytmetyką).

Pięćdziesiąt lat dzieliło również sukces braci Wright od pierwszego pasażerskiego odrzutowca. Na początku tamtego półwiecza nieustraszeni lotnicy w goglach przeskakiwali z pola na pole, siedząc w swoich maszynach na zwykłych, targanych wiatrem krzesłach. U końca tego samego okresu babcie drzemały spokojnie, przelatując między kontynentami z szybkością tysiąca kilometrów na godzinę.

Być może nie powinien się dziwić luksusowi i elegancji wyposażenia swego apartamentu-kabiny ani również temu, że miał stewarda do utrzymywania jej w porządku i czystości. W przydzielonej mu kabinie najbardziej go zaskoczyło olbrzymie okno i z początku odczuwał pewien niepokój, gdy pomyślał o tonach napierającego na nie ciśnienia nieubłaganej i nigdy nie odpoczywającej próżni.

Największym zaskoczeniem – choć powinien być na to przygotowany po przeczytaniu prospektów – okazała się obecność ciężenia. „Wszechświat” był pierwszym w historii statkiem kosmicznym, który przemierzał Układ Słoneczny stale przyspieszając – z wyjątkiem kilku godzin w połowie rejsu, kiedy wykonywany był zwrot. Przy pełnych zbiornikach paliwa –

załadowanych pięcioma tysiącami ton wody – na pokładzie liniowca utrzymywało się ciężenie wynoszące jedną dziesiątą  $g$  – niezbyt duże, ale dostateczne, by utrzymać przedmioty na miejscu. Szczególnie wygodne było to w czasie posiłków, chociaż niektórzy goście musieli się przez kilka dni uczyć, iż nie należy zbyt gwałtownie mieszać zupy.

Po czterdziestu ośmiu godzinach lotu załoga i pasażerowie „Wszehświata” podzielili się już na cztery oddzielne kategorie.

W skład arystokracji wchodził kapitan Smith wraz ze swymi oficerami. Dalej znajdowali się goście, potem załoga – podoficerowie i stewardzi – i wreszcie „palacze”...

Taką nazwę przyjęło dla całej grupki pięciu młodych naukowców – początkowo żartem, później jednak znacznie przyprawionym goryczą. Kiedy Floyd porównał ich ciasną, niewygodną kabinę ze swoim apartamentem, doskonale wyczuł, o co im chodzi, i wkrótce zaczął przekazywać ich skargi kapitanowi.

Uwzględniając wszystkie okoliczności, naukowcy nie mogli wszakże narzekać. W gorączce przygotowań przed odlotem do końca nie było wiadomo, czy na pokładzie statku znajdzie się miejsce dla nich i dla ich sprzętu. Teraz nie pozostawało im nic innego, jak czekać na rozstawienie instrumentów wokół i „na” komecie podczas krytycznej fazy jej przelotu – tuż przed okrążeniem Słońca, po którym znowu oddali się ku najdalszym granicom Układu Słonecznego. Członkowie zespołu badawczego zdobędą sławę dzięki tej wyprawie, o czym doskonale wiedzieli. Narzekali więc tylko w momentach wyczerpania lub złości na niesprawne instrumenty, ale wówczas potrafili skarżyć się na wszystko: od hałasu systemu wentylacyjnego, przez kabinę skłaniającą do klaustrofobii, aż po dziwne zapachy...

Nigdy nie skarżyli się na jedzenie, które – stwierdzono to jednogłośnie – było wyborne. – W każdym razie lepsze – zapewniał kapitan Smith – niż to, które spożywał Darwin na pokładzie „Beagle”.

Słyszając te słowa, Victor Willis szepnął: – Skąd on może wiedzieć? A jeśli już o tym mowa, to po powrocie do Anglii kapitan „Beagle” poderznął sobie gardło.

Była to wypowiedź typowa dla Victora, chyba najsłynniejszego na całej planecie sprawozdawcy naukowego (w oczach fanów) lub popnaukowca (w oczach równie licznych przeciwników, których zresztą trudno byłoby nazwać wrogami, gdyż podziw dla talentów Victora był powszechny i tylko niektórzy mieszały go z odrobiną sceptycyzmu). Często parodiowano jego

miękki, środkowopacyficzny akcent i żywą gestykulację, a poza tym chwalono (lub oskarżano) za spowodowanie powrotu mody na noszenie długich bród. – Tak bardzo zarośnięty mężczyzna – mawiali jego krytycy – musi mieć wiele do ukrycia.

Spośród sześciorga VIP-ów podróżujących na pokładzie „Wszechświata” Victor najbardziej rzucał się w oczy. Floyd, który nigdy nie traktował poważnie swojego statusu znakomitości, określał resztę tej grupy mianem „Słynnej Piątki”. W owych czasach Yva Merlin bez obawy przed rozpoznaniem mogła spacerować po Park Avenue, mogła też, jeśli zechciała (co zdarzało się nader rzadko), spokojnie opuszczać swój apartament na statku. Dmitrij Michajłowicz zwracał natomiast uwagę – ku swej odwiecznej irytacji – niskim wzrostem (dobre dziesięć centymetrów poniżej przeciętnej), co być może tłumaczyło jego zamiłowanie do orkiestr złożonych z tysiąca instrumentów – prawdziwych lub syntezowanych – ale nie wpływało pozytywnie na jego publiczny wizerunek.

Clifford Greenberg i Margaret M'Bala również należeli do kategorii „zapoznanych sław”, co pewnie zmieni się po ich powrocie na Ziemię. Pierwszy człowiek, który wylądował na Merkurym, miał jedną z tych miłych, lecz nie zwracających uwagi twarzy, które tak trudno jest zapamiętać. Co więcej, okres, kiedy jego lot zdominował wszelkie informacje, od trzydziestu lat należał już do przeszłości. Natomiast twarz pani M'Bala – podobnie jak oblicza większości pisarzy, którzy uniknęli uzależnienia od wywiadów telewizyjnych i rozdawania autografów – pozostawała nie znana większości milionów czytelników jej książek.

Dzieła pani M'Bala stały się prawdziwą sensacją w latach czterdziestych. Naukowe badania greckiego panteonu nie lądują zazwyczaj na listach bestsellerów, ale o sławie autorki zdecydowało umieszczenie postaci z odwiecznej, niewyczerpanej skarbnicy mitów we współczesnym kontekście epoki kosmicznej. Imiona, które sto lat wcześniej znali tylko astronomowie i miłośnicy języków klasycznych, stały się teraz powszechnym elementem oglądu świata. Niemal codziennie nadchodziły wieści z Ganimedesa, Callisto, Io, Tytana, Japeta oraz mniej znanych światów, takich jak Carne, Pazifae, Hyperiona, Febe...

Jej książki cieszyłyby się znacznie mniejszym powodzeniem, gdyby nie to, że skoncentrowała się na skomplikowanym życiu rodzinnym Jowisza-Zeusa, ojca wszystkich bogów (i paru rzeczy oprócz nich). Natchnionym geniuszem można też nazwać wydawcę, który zmienił tytuł jej pierwszej książki, <MI>Widok z Olimpu<D>, na <MI>Boskie namiętności<D>. Zazdrośni

akademy zazwyczaj określali to dzieło mianem <MI>Olimpijskiej chuci<D>, żałując w głębi ducha, że sami nie wpadli na tak prosty pomysł.

Nic dziwnego, że to właśnie Maggie M. – jak nazywali ją pasażerowie „Wszechświata” – pierwsza użyła określenia „Statek szaleńców”. Victor Willis natychmiast je podchwycił i wkrótce odkrył jego intrygujący kontekst historyczny. Niemal sto lat wcześniej Katherine Anne Porter\* znalazła się wraz z grupą naukowców i pisarzy na pokładzie oceanicznego liniowca, skąd obserwowała wystrzelenie „Apolla 17”, kończące pierwszą fazę badań Księżyca.

Na wieść o tym pani M'Bala odpowiedziała znacząco: – Zastanowię się, może istotnie nadszedł już czas na trzecią wersję <MI>Statku...<D> Ale przekonam się o tym, rzecz jasna, dopiero po powrocie na Ziemię...

\*Pisarka amerykańska, której powieść *Statek szaleńców* (wyd. 1962) zyskała sławę jako alegoryczna wizja cywilizacji zmierzającej ku upadkowi (przyp. tłum.).

## 11. Kłamstwo

Upłynęło wiele miesięcy, zanim Rolf van der Berg ponownie zwrócił myśli i energię ku Górze Zeusa. Uczestnicy podboju Ganimesesa mieli więcej pracy, niż można było wykonać, a geolog całymi tygodniami nie wracał do swojej kwatery głównej w bazie Dardanus, wyznaczając obecnie trasę projektowanej kolei jednoszynowej Gilgamesz-Ozyrys.

Geografia trzeciego i największego z jowiańskich księżyców uległa drastycznym zmianom od chwili implozji planety i wciąż się zmieniała. Nowe słońce, które stopiło lody Europy, nie przygrzewało tutaj tak potężnie – w końcu Ganimeses leży czterysta tysięcy kilometrów dalej – ale było wystarczająco ciepłe, by stworzyć umiarkowany klimat pośrodku półkuli zawsze zwróconej w stronę Lucyfera. Na satelicie powstały nieduże, płytkie morza – największe dorównywało obszarem ziemskiemu Morzu Śródziemnemu – usytuowane między czterdziestym stopniem północnej szerokości geograficznej a czterdziestym szerokości południowej. Mapy sporządzone podczas dwudziestowiecznej misji „Voyagera” w większości utraciły aktualność. Topiąca się wieczna zmarzlina i ruchy tektoniczne (choć niezbyt częste) – wywołane tymi

samymi siłami pływów, które działały na dwóch wewnętrznych księżycach – sprawiały, że nowy Ganimedes był istnym koszmarem dla kartografów.

Ale z tych samych powodów satelita był rajem dla inżynierów planetarnych. Oto bowiem otwierał się przed nimi świat, który jako jedyny – jeśli pominąć jałowego i znacznie mniej gościnnego Marsa – zapewni ludziom warunki zbliżone do panujących na Ziemi. Na Ganimedesie było mnóstwo wody, wszystkie biopierwiastki, a gdy świecił Lucyfer, klimat stawał się znośniejszy niż na większości obszarów Ziemi.

Najlepsze jednak okazało się to, że na Ganimedesie nie trzeba nosić całych skafandrów kosmicznych; atmosfera, choć w dalszym ciągu nie nadawała się do oddychania, zgęstniała na tyle, by ludziom wystarczały zwykłe maski i butle tlenowe. Za kilkadziesiąt lat – obiecywali mikrobiolodzy, nie próbując zresztą określić dokładnie terminu – nawet i to stanie się niepotrzebne. Na powierzchni Ganimedesa rozwijały się już bowiem szczepy produkujących tlen bakterii. Początkowo większość z nich wymierała, lecz w końcu część się przyjęła, umożliwiając powolne wznoszenie się krzywej na tablicy analizy atmosferycznej dumnie prezentowanej wszystkim gościom w Dardanusie.

Van der Berg nie zaniedbywał przeglądania danych z satelity badawczego „Europa VI”, mając nadzieję na kolejne rozchmurzenie podczas orbitowania satelity nad Górą Zeusa. Wiedział, że szansa jest niewielka, lecz dopóki istniała, nie podejmował badań innymi metodami. Nie było pośpiechu, poza tym na jego barkach spoczywały znacznie ważniejsze zadania niż wyjaśnienie fenomenu, który może okazać się czymś błahym i nieciekawym.

Potem „Europa VI” nagle uległa zniszczeniu – z całą pewnością wskutek zderzenia z meteorytem. Po powrocie na Ziemię Victor Willis wygłupił się – zdaniem wielu osób – przeprowadzając wywiad z tak zwanymi Euronautami, którzy wypełnili lukę po ubiegłowiecznych entuzjastach UFO. Otóż niektórzy z Euronautów wysuwali tezę, iż za zniszczenie satelity odpowiedzialne są wrogie istoty ze świata, nad którym latał próbnik – zupełnie przy tym nie przejmując się, że sonda działała nieprzerwanie przez piętnaście lat, czyli dwukrotnie dłużej, niż planowano. Na plus trzeba zapisać Victorowi podkreślenie owej długowieczności i ostrą rozprawę z wszelkiego rodzaju „kultowymi” argumentami.

Powszechnie jednak wyrażano opinię, że nie powinien był ich w ogóle przedstawiać szerokiej publiczności.



Dla van der Berga, który cieszył się, gdy koledzy nazywali go „upartym Holendrem” – na co w pełni zasługiwał – katastrofa „Europy VI” stała się wyzwaniem, któremu nie potrafił się oprzeć. Nie było szans na zdobycie funduszy i wysłanie kolejnego satelity, wszyscy bowiem z ulgą przyjęli nagłe zamknięcie gadatliwego i żenująco długowiecznego próbnika.

Jaki więc miał wybór? Van der Berg rozważał możliwości. Ponieważ był geologiem z zawodu, a nie astrofizykiem, upłynęło kilka dni, zanim uświadomił sobie, że odpowiedź leży jak na dłoni, odkąd znalazł się na Ganimesie.

Afrikaans należy do grupy języków najlepszych do przeklinania; nawet uprzejmości potrafią wtedy ranić uszy niewinnych słuchaczy. Van der Berg wyżywał się w ojczystej mowie przez dobre kilka minut, a potem skontaktował się z Obserwatorium Tiamat usytuowanym dokładnie na równiku, gdzie maleńki, oślepiający dysk Lucyfera wisiał zawsze pionowo nad głową.

Astrofizycy, zajmujący się najbardziej spektakularnymi okazami we Wszechświecie, często gardzą zwykłymi geologami, którzy poświęcają uwagę, a czasem i życie małym, nieciekawym obiektom – takim jak planety. Jednakże w tym odległym zakątku, gdzie ludzie po raz kolejny zmagali się z Naturą, wszyscy gotowi byli służyć pomocą każdemu, a doktor Wilkins wykazał nie tylko zainteresowanie, lecz i zrozumienie dla problemu van der Berga.

Obserwatorium Tiamat zbudowano stawiając mu jedno tylko zadanie, które w istocie było głównym powodem stworzenia bazy na Ganimesie. Badania Lucyfera miały ogromne znaczenie nie tylko dla akademików, parających się nauką czystą, lecz i dla inżynierów nuklearnych, meteorologów, oceanografów, nie wspominając już o mężach stanu czy filozofach. Myśl, że we Wszechświecie – ba, tuż obok! – egzystują istoty zdolne planetę przemienić w gwiazdę, wydawała się przerażająca i nocami spędzała sen z powiek. Powszechnie zgadzano się, że ludzkość powinna wiedzieć wszystko na temat procesów zachodzących na Jowiszu, które pewnego dnia trzeba będzie skopiować – albo zapobiec im...

Od dziesięciu lat z górą obserwowano z Tiamat Lucyfera, wykorzystując w tym celu wszystkie możliwe rodzaje instrumentów, zapisując nieprzerwanie jego spektrum w całym paśmie elektromagnetycznym i monitorując powierzchnię za pomocą radaru umieszczonego na

skromnym, stumetrowym talerzu, który z kolei usytuowano w niedużym kraterze oduderzeniowym.

– Tak – powiedział doktor Wilkins – często przypatrujemy się Europie i Io. Ale nasz promień jest na stałe wymierzony w Lucyfera, obserwujemy więc obydwie księżycy tylko przez kilka minut, w czasie ich przejścia przed gwiazdą. Pańska góra znajduje się od strony Słońca, toteż nie widzimy jej...

– Zdaję sobie z tego sprawę – rzucił zniecierpliwiony van der Berg. – Ale czy nie moglibyście trochę przesunąć promienia, tak by wycelował w Europę, zanim znajdzie się ona w jednej linii z Jowiszem? Żeby zobaczyć półkulę zwróconą ku Słońcu, wystarczyłoby dziesięć, może dwadzieścia stopni.

– Wystarczyłby jeden stopień, by zgubić Lucyfera i złapać pełny obraz Europy na drugim krańcu orbity. Ale wtedy jest ona trzy razy dalej, co daje zaledwie jedną setną siły odbicia. Zresztą, kto wie?... Może to wystarczy? Spróbujemy. Proszę przesłać mi dane co do częstotliwości, polaryzacji, kopert nadawczych... – słowem, wszystko, co uzna pan za przydatne po konsultacjach z waszymi ludźmi od zdalnych obserwacji. Ustawienie sieci zmiany fazy, która przesunie promień o kilka stopni, nie powinno trwać długo. Nic więcej nie mogę panu obiecać ani powiedzieć... nigdy nie zastanawialiśmy się nad takim problemem, choć może powinniśmy... A w ogóle to czego pan oczekuje po tym eksperymencie? Przecież na Europie jest tylko lód i woda...

– Gdybym wiedział – odparł pełen otuchy van der Berg – nie prosiłbym pana o pomoc, prawda?

– Faktycznie... A ja nie prosiłbym pana o pełny przypis, z moim nazwiskiem, w opublikowanej pracy. Szkoda tylko, że W jest na końcu alfabetu... Wyprzedza mnie pan tylko o jedną literę... Ta rozmowa toczyła się przed rokiem. Obserwacje z dużej odległości okazały się nie dość owocne, a przesunięcie promienia na dzienną stronę Europy tuż przed koniunkcją było trudniejsze, niż się spodziewano. Mimo wszystko napłynęły jakieś informacje. Komputery przetrawiły je i van der Berg był pierwszym człowiekiem, który ujrzał mapę minerałów Europy epoki postlucyferiańskiej.

Jak słusznie zauważył doktor Wilkins, znajdowały się tam głównie lód i woda, poprzecinane bazaltem przemieszonym z pokładami siarki. Tak mniej więcej wyglądał cały księżyc – z wyjątkiem dwóch anomalii.

Jedna z nich wydawała się tworem naukowej (a może komputerowej) wyobraźni: był to biegnący absolutnie prostą linią fenomen długości dwóch kilometrów, który nie odbijał radarowego echa.

Van der Berg zostawił tę zagadkę Wilkinsowi. Zajmowała go wyłącznie Góra Zeusa.

Określenie jej struktury zajęło mu wiele czasu, ponieważ tylko szalenie – lub krańcowo zdeterminowany naukowiec – mógłby uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. Nawet teraz, po sprawdzeniu wszystkich parametrów do granic perfekcji, van der Berg powątpiewał o zdrowiu swoich zmysłów. I nie zastanawiał się jeszcze nad kolejnym posunięciem.

Kiedy zadzwonił do niego doktor Wilkins, ciekawy, czy jego nazwisko i sława dotrą do wszystkich banków informacji, Rolf van der Berg mruknął, że wciąż analizuje wyniki. W końcu jednak musiał jakoś pozbyć się natręta.

– Nic wielkiego – rzucił łatwowiernemu koledze. – Jakaś rzadka postać kwarcu... Wciąż porównuję ją z próbkami z Ziemi.

Po raz pierwszy okłamał współpracownika i naukowca. Czuł się z tym bardzo źle.

Ale czy miał wybór?

## 12. *Oom* Paul

Rolf van der Berg nie widział wuja Paula od dziesięciu lat i nic nie wskazywało, że ujrzy go kiedykolwiek. Mimo to stary naukowiec był mu bardzo bliski – ostatni przedstawiciel swego pokolenia, pamiętający i pielęgnujący (gdy tego chciał, co nie zdarzało się często) sposób życia przodków.

Doktor Paul Kreuger – „*oom* Paul”<sup>\*</sup> dla rodziny i większości przyjaciół – był zawsze tam, gdzie mógł okazać się potrzebny, zawsze też służył radą i wiadomościami, jeżeli nie osobiście, to za pomocą połączeń radiowych pokonujących czasem i pół miliarda kilometrów. Jak wieść niosła, nie dostał Nagrody Nobla za swój wkład w badania nad cząstkami elementarnymi – dziedzinę, w której po dwudziestowiecznych porządkach znów zapanował bałagan – z powodu potężnych nacisków politycznych. Jeśli to była prawda, doktor Kreuger nikogo nie winił. Skromny i bezpretensjonalny, nie miał osobistych wrogów nawet wśród swarliwych i zwalczających się wzajemnie frakcji osiadłych na wychodźstwie ziomek. Obdarzano go tak powszechnym szacunkiem, że nawet Stany Zjednoczone Południowej Afryki kilkakrotnie go zapraszały do ojczystego kraju, zawsze jednak grzecznie odmawiał złożenia wizyty, i to nie dlatego – jak

wyjaśniał – że obawia się o swoje bezpieczeństwo w Afryce Południowej, lecz ze względu na strach przed nostalgią, która mogłaby go złamać.

\*W języku afrikaans słowo *oom* oznacza „wujek”, lecz często bywa stosowane jako forma grzecznościowa wobec starszych mężczyzn (przyp. tłum.).

Van der Berg podczas nagrywania wiadomości dla wuja – mimo że używał martwego języka, którym obecnie posługiwało się nie więcej niż milion osób – starał się być bardzo dyskretny, stosował także zwroty i określenia znane jedynie w bliskim rodzinnym kręgu. Paul bez kłopotu rozszyfrował informacje od bratanka, ale nie mógł potraktować ich poważnie. Obawiał się, że Rolf zrobi z siebie głupca, postanowił więc przestrzec go w delikatny sposób. Dobrze się stało, że nie śpieszył się z publikacją: ma przynajmniej tyle oleju w głowie, by nie trąbić o tym na prawo i lewo...

Ale przypuśćmy – tylko przypuśćmy – że to prawda? Rzadkie siwe włosy uniosły się na potylicy Paula. Stanęło mu przed oczyma całe spektrum nowych możliwości – naukowych, finansowych, politycznych – a im dłużej nad nimi rozmyślał, tym bardziej wydawały mu się przerażające. W przeciwieństwie do swych religijnych przodków doktor Kreuger nie wierzył w Boga, do którego mógłby się zwrócić w chwili trwogi i niepewności. Teraz prawie tego żałował, ale nawet gdyby potrafił się modlić, na niewiele by to się zdało. Usiadł przy komputerze i penetrując banki danych nie wiedział, czy cieszyć się nadzieją, że bratanek dokonał epokowego odkrycia, czy ubolewać nad jego głupotą. Czy Ten Stary, tam w niebie, naprawdę mógłby zrobić ludzkości taki kawał? Paul przypomniał sobie słynne zdanie Einsteina: „Bóg, choć wyrafinowany, nigdy nie bywa złośliwy”.

Przestań śnić na jawie – napomniął sam siebie doktor Paul Kreuger. – Twoje widzimi się, a nawet twoje nadzieje i obawy nie mogą wpłynąć na tę sprawę...

Gdzieś z głębin Układu Słonecznego rzucono mu rękawicę. Nie spocznie, dopóki nie pozna prawdy.

13. „Nikt nie kazał nam zabrać kostiumów kąpielowych...”

Kapitan Smith ukrywał swoją małą niespodziankę, aż do Dnia Piątego, po czym wyjawił ją na kilka godzin przed zwrotem. Jego komunikat został przyjęty – tak jak się spodziewał - z niedowierzaniem.

Pierwszy doszedł do siebie Victor Willis.

– Basen! Na statku kosmicznym! Chyba pan żartuje!

Kapitan usiadł wygodniej, w oczekiwaniu na dalsze komentarze i dobrą zabawę. Uśmiechnął się do Heywooda Floyda, który wcześniej był dopuszczony do sekretu.

– No cóż, podejrzewam, że Kolumb mocno by się zdziwił widząc ulepszenia na statkach wprowadzone od jego czasów.

– A czy basen jest z trampoliną – zapytał tęsknie Greenberg. - W college'u byłem mistrzem w skokach do wody.

– I owszem, drogi panie. Znajduje się wprawdzie na wysokości tylko pięciu metrów, ale przy naszej nominalnej grawitacji jednej dziesiątej <MI>g<D> będzie pan spadał do wody przez całe trzy sekundy. A gdyby pan zechciał polatać sobie dłużej, pan Curtis z radością zmniejszy ciąż.

– Doprawdy? – zapytał oschle główny inżynier. – Mam zmniejszać ciąż i narobić bałaganu we wszystkich obliczeniach orbity? A co będzie z wodą, która wypłynie z basenu? Czy pomyślał pan o napięciu powierzchniowym?...

– Czy na którejś ze stacji kosmicznych nie eksperymentowano kiedyś z basenem kulistym? – spytał ktoś siedzący dalej.

– Próbowano tego przy plaście Pasteura, nim zostały włączone obroty – odpowiedział Floyd. – Rzecz okazała się jednak niezbyt praktyczna. Przy braku ciężenia basen musiał być całkowicie zamknięty, a w wielkiej kuli wypełnionej wodą można się utopić dość łatwo, jeśli nie zachowa się ostrożności.

– Stosunkowo łatwo można się też dostać do księgi rekordów - jako pierwszy topielec z kosmosu...

– Nikt nie kazał nam zabrać kostiumów kąpielowych – poskarżyła się Maggie M'Bala.

– Dotyczy to wyłącznie tych, którzy muszą nosić kostiumy kąpielowe – szepnął Michajłowicz do Floyda.

Kapitan Smith zastukał w stół, przywracając porządek.

– Mam jeszcze jeden, ważniejszy komunikat. Jak państwo wiedzą, o północy osiągniemy maksymalną prędkość i rozpoczniemy hamowanie. Ciąg będzie wyłączony dokładnie o godzinie 23, a statek zmieni kurs o sto osiemdziesiąt stopni. Przez dwie godziny pozostaniemy w stanie nieważkości, po czym o pierwszej znowu włączymy ciąg... Łatwo sobie wyobrazić, że załoga będzie bardzo zajęta... Korzystając z okazji, sprawdzimy maszyny i dokonamy przeglądu kadłuba, czego nie da się zrobić, rzecz jasna, w warunkach przyśpieszenia. Zalecam państwu pozostanie w łózkach i sen... Proszę pamiętać o zapięciu pasów przytrzymujących pościel. Stewardzi sprawdzą, czy w kabinach nie ma nie umocowanych przedmiotów, które mogłyby państwu sprawić kłopot po przywróceniu ciężenia. Czy są jakieś pytania? Zapadła głęboka cisza, jakby komunikat zdumiał pasażerów i nie wiedzieli teraz, jak zareagować.

– Miałem nadzieję, że będą mnie państwo wypytywać o basen i o to, czy opłaca nam się taki luksus, ale ponieważ pytania nie padły, więc i tak państwu opowiem. Basen nie jest luksusem i nic nas nie kosztuje, a mamy nadzieję, że podczas przyszłych podróży stanie się dodatkową atrakcją. Cała rzecz w tym, że wieziemy ze sobą pięć tysięcy ton wody – napędu do reaktora; wody, którą można również wykorzystać w inny sposób. Zbiornik numer jeden jest obecnie w trzech czwartych pusty i tak już zostanie do końca naszej podróży... A więc jutro po śniadaniu zapraszam państwa na plażę...

Biorąc pod uwagę pośpiech, z jakim kończono przygotowania do dziewiczego lotu „Wszechświata”, należało podziwiać właścicieli i obsługę statku za zwrócenie uwagi na coś tak nieistotnego jak basen kąpielowy. „Plaża” była metalowa platforma, szerokości mniej więcej pięciu metrów, otaczająca w jednej trzeciej obwód zbiornika. Druga ściana znajdowała się w odległości zaledwie dwudziestu metrów, lecz wyświetlane na niej obrazy oddalały ją w nieskończoność. Kąpiący się widzieli gdzieś daleko surferów mknących na falach do brzegu, do którego nigdy nie dotrą. Na horyzoncie majaczyła mgliście przepiękna sylwetka pasażerskiego klipra pod pełnymi żaglami – właściciele biur podróży bez trudu rozpoznaliby „Tai-Pana”, własność Kosmiczno-Morskiej Korporacji Tsunga.

Aby złudzenie było pełne, na „plaży” był rozsypany piasek (lekko namagnetyzowany, by nie spadał do wody), a na jej końcu ustawiony palmowy zagajnik, który z daleka wyglądał bardzo przekonująco. Idylliczny obraz uzupełniało świecące nad głowami tropikalne „słońce”. Trudno by sobie wyobrazić, że za ścianą basenu prawdziwe Słońce świeci teraz dwa razy jaśniej niż nad ziemskimi plażami.

Projektant basenu doskonale wykonał swoją robotę na ograniczonej, niezbyt dużej przestrzeni. Dlatego skarga Greenberga: Szkoda, że nie ma fal – była zaiste niesprawiedliwa.

#### 14. Poszukiwania

Uprawiając dowolną dziedzinę nauki, kierować się należy pewną dobrą zasadą, w myśl której nie można wierzyć „faktom” - choćby najlepiej udokumentowanym – dopóki nie zostaną pomyślnie osadzone w jakimś zaakceptowanym wcześniej kontekście. Czasami bywa i tak, że jedna obserwacja burzy cały ów kontekst i wymusza stworzenie nowego, lecz sytuacje takie zdarzają się rzadko. Ludzie formatu Galileusza i Einsteina nie pojawiają się częściej niż raz na sto lat, co zresztą dobrze służy spokojowi ducha ludzkości.

Doktor Kreuger kierował się w swych badaniach opisaną wyżej zasadą, toteż nie był w stanie uwierzyć odkryciu bratanka, nie znając przyczyn powstania opisanego przezeń fenomenu, który – wedle najlepszej wiedzy doktora – mógł zostać stworzony wyłącznie wolą Boga. Pamiętając jednak o wciąż użytecznej „brzytwie Ockhama”, doszedł do wniosku, że Rolf niechybnie popełnił błąd, a jeśli tak, to dość łatwo będzie można go znaleźć.

Ku zdumieniu wuja Paula rzecz jednak okazała się nad wyraz trudna. Analiza wyników zdalnych obserwacji radarowych była sztuką znaną i uprawianą od dawna. Specjaliści, z którymi konsultował się Paul, najpierw zwlekali z odpowiedzią, a potem zgodnie pytali o to samo: Skąd pochodzi nagranie?

– Przykro mi – odpowiadał – ale nie wolno mi tego wyjawiać.

Trzeba więc było przejść do drugiej fazy badań i zakładając, że niemożliwe okazało się możliwe, rozpocząć poszukiwania w odpowiedniej literaturze. Jedno bowiem było pewne: w tych okolicznościach przekopywanie się przez zasoby tysięcy banków informacji na nic się nie zda.

Przypominałoby sytuację, w której Roentgen następnego dnia po odkryciu promieni X zacząłby

szukać wyjaśnień na ich temat we współczesnej mu literaturze naukowej. Informacje potrzebne Paulowi pozostawały jeszcze kwestią odległej przyszłości.

Istniała jednak minimalna szansa, że to, czego szukał, spoczywa ukryte gdzieś w nagromadzonych dotąd olbrzymich zasobach wiedzy. Powoli i z wielką starannością Paul Kreuger opracował program automatycznego przeszukiwania banków danych, oddzielający zarazem naukowe ziarno od naukowych plew. Program nie obejmował więc zjawisk odnotowanych na Ziemi – ich liczba przekraczałyby miliony – lecz koncentrował się wyłącznie na fenomenach kosmicznych.

Jedną z korzyści, jakie niosła ze sobą sława doktora Kreugera, był nieograniczony budżet komputerowy: w ten sposób organizacje korzystające z wiedzy uczonego sponosały mu po części honoraria. Poszukiwania z pewnością będą bardzo kosztowne, Paul jednak nie musiał martwić się o rachunek.

Jak się okazało, nie zapłaciłby dużo, nawet gdyby pokrywał koszty z własnej kieszeni. Miał szczęście: poszukiwania dobiegły końca zaledwie po dwóch godzinach i trzydziestu siedmiu minutach, zatrzymując się przy informacji numer 21456.

Wystarczył sam tytuł. Wuj Paul był tak podniecony, że jego własny komputerowy sekretarz nie rozpoznał doskonale mu przecież znanego głosu i doktor Kreuger musiał powtórzyć polecenie dokonania pełnego wydruku.

Artykuł ukazał się w piśmie „Nature” w roku 1981, czyli pięć lat wcześniej, niż Kreuger przyszedł na świat! Gdy czytał pojedynczą kartkę, szybko wodząc oczyma po wierszach, wiedział już, że bratanek od początku miał rację, co więcej – poznał wyjaśnienie owego cudu.

Wydawca pisma, liczącego sobie osiemdziesiąt cztery lata, musiał mieć niemałe poczucie humoru. Artykuł omawiający budowę jądra planet zewnętrznych nie należał do gatunku zwracających uwagę przeciętnego czytelnika – wydawca zatem opatrzył publikację wielce frapującym tytułem. Komputerowy sekretarz doktora odpowiedziałby mu, że ów tytuł pochodził z bardzo znanej niegdyś piosenki, co zresztą nie miało żadnego znaczenia.

W każdym razie Paul Kreuger nigdy nie słyssał o Beatlesach ani o ich psychodelicznych fantazjach\*. \*



Utwór, o którym mowa, zespół The Beatles nagrał na płycie <MI>Sgt Pepper's Lonely Hearts Club Band<D> (przyp. tłum.).

## II

### Dolina Czarnego Śniegu

#### 15. Rendez-vous

Halley znalazł się teraz za blisko statku, by można go było zobaczyć. Na ironię zakrawał fakt, że obserwatorzy z Ziemi widzieli lepiej ogon komety, rozciągający się na przestrzeni pięćdziesięciu milionów kilometrów pod kątem prostym do jej orbity, niczym warkocz rozwiewany podmuchami słonecznego wiatru.

Rano w dniu spotkania z Halleyem Heywood Floyd obudził się wcześniej, znękanym nocnymi koszmarami. Już to, że śnił – a raczej, że pamiętał swoje sny – było dla niego czymś niezwykłym. Wynikało to zapewne z dawna oczekiwanego rendez-vous i związanego z tym napięcia. W pewnym stopniu niepokoił się też pytaniem Caroline, czy miał ostatnio jakiś kontakt z wnukiem. Drogą radiową wysłał odpowiedź, z przekazem informując byłą żonę, że Chris nawet się nie potrudził, by podziękować za pomoc w otrzymaniu posady na „Kosmosie”, siostrzanym statku „Wszechświata”; nie potrafi więc stwierdzić, co wnuk obecnie porabia. Może znudziły go już loty na trasie Ziemia-Księżyc i przeniósł się gdzie indziej w poszukiwaniu wrażeń?

„Dowiemy się czegoś – kończył Floyd – jak zwykle wtedy, gdy przyjdzie mu na to ochota”.

Zaraz po śniadaniu pasażerowie i zespół badawczy zebrali się na ostatniej konferencji z kapitanem Smithem. Poirytowanie naukowców kolejną naradą złagodziły niesamowite widoki ukazujące się na głównym ekranie.

Pasażerom łatwiej przyszłoby wyobrazić sobie, że „Wszechświat” płynie ku mgławicy, a nie komecie. Całe niebo przed statkiem zasnuwała wilgotna, biała mgiełka, tu i ówdzie nakrapiana ciemniejszymi cętkami kondensacji i poprzecinana świecącymi pasami lub oślepiająco jasnymi

promieniami rozchodzącymi się ze wspólnego centralnego punktu. Nawet przy tak dużym powiększeniu jądro komety było prawie niewidoczne. Stanowiło małe czarne punkciki na olbrzymim ekranie, lecz nie ulegało wątpliwości, że jest źródłem wszystkich otaczających je fenomenów.

– Wyłączenie maszyn za trzy godziny – powiedział kapitan. - Znajdziemy się wówczas w odległości tysiąca kilometrów od jądra komety, przy naszej prędkości bliskiej zeru.

Przeprowadzimy ostatnie obserwacje i sprawdzimy stan wyznaczonego miejsca lądowania.

Dokładnie o dwunastej na statku zapanuje stan nieważkości. Przedtem stewardzi sprawdzą, czy wszystkie przedmioty w kabinach są odpowiednio umocowane. Proszę o zachowanie takich środków ostrożności jak podczas zwrotu. Stan nieważkości potrwa obecnie trzy dni, a nie dwie godziny, jak poprzednio, i proszę o tym pamiętać.

Grawitacja na Halleyu? Nawet nie warto o niej mówić... Wynosi mniej niż jeden centymetr na sekundę do kwadratu, co stanowi jedną tysięczną przyciągania ziemskiego. Będzie można ją wyczuć, jeśli się ma dość cierpliwości, by czekać... I to wszystko. Obiekty na Halleyu opadają o jeden metr w czasie piętnastu sekund.

Ze względu na bezpieczeństwo w czasie spotkania i lądowania chciałbym widzieć wszystkich państwa w sali obserwacyjnej, usadowionych w fotelach i z zapiętymi pasami. Zresztą stąd i tak najlepiej widać, co dzieje się na zewnątrz, a cała operacja nie powinna trwać dłużej niż godzinę. Korekty lotu będą dokonywane przez kilkusekundowe włączanie ciągu, ponieważ jednak operujące wówczas siły będą działać pod różnymi kątami, mogą państwo odczuwać drobne zaburzenia fizjologiczne i wrażeniowe.

Kapitan miał na myśli chorobę kosmiczną, ale to określenie - za zgodą wszystkich - stało się tabu na pokładzie „Wszystkiego”. Wiele rąk wsunęło się jednak, niby przypadkiem, do kieszeni przy fotelach, sprawdzając, czy są tam sławetne plastikowe torebki... Ot tak, na wszelki wypadek!

Obraz na ekranie stał się wyraźniejszy na skutek kolejnego powiększenia. Floydowi wydawało się przez chwilę, że leci samolotem, który schodzi do lądowania w pokrywie lekkich chmur, a nie statkiem kosmicznym zbliżającym się do najświetniejszej ze wszystkich komet. Jądro rosło i jaśniało, nie wyglądało już jak czarna kropka, raczej przypominało elipsę - małą, pocętkowaną

wyspę zagubioną pośród kosmicznego oceanu – a potem nagle stało się prawdziwym światem, w pełni zasługującym na tę nazwę.

Wciąż jednak trudno było określić jego proporcje. Floyd wiedział, że cała rozciągająca się przed nim panorama nie ma więcej niż dziesięć kilometrów długości, lecz łatwo mógł sobie wyobrazić, że spogląda na ciało niebieskie wielkości Księżyca. Ale Księżyc nie jest zamglony przy krawędziach, nie wypuszcza też z powierzchni małych – i dwóch dużych! – strumieni pary.

– Wielkie nieba! – krzyknął Michajłowicz. – Co to jest?

Wskazał na niższą krawędź jądra, za linią światła. Tak, nie mogło być mowy o pomyłce, chociaż zdawało się to niemożliwe: na części komety pogrążonej w ciemności mrugało jakieś światełko w bardzo regularnym rytmie, z przerwami co dwie, trzy sekundy.

Doktor Willis pokazał, na co go stać: – Mógłbym to panu wyjaśnić słowem jednosylabowym...

Dla ułatwienia podam, że zaczyna się na U... – zakrztusił się ze śmiechu i kapitan Smith nie pozwolił mu dokończyć.

– Przykro mi, że muszę pana rozczarować, szanowny panie Michajłowiczu, ale to tylko latarnia naszego Próbnika Dwa, który przed miesiącem wylądował na komecie i czeka, aż go stamtąd zabierzemy.

– Szkoda... Myślałem, że może ktoś... coś czeka, by nas powitać...

– Obawiam się, że nic z tego. Jesteśmy tutaj zdani wyłącznie na siebie. Latarnia, która zwróciła pańską uwagę, znajduje się w miejscu, gdzie zamierzamy lądować, to znaczy w pobliżu południowego bieguna, gdzie teraz panują ciemności. Ułatwi to funkcjonowanie naszych systemów podtrzymywania życia, ponieważ na stronie nasłonecznionej temperatura przekracza 120 stopni Celsjusza, jest zatem wyższa od punktu wrzenia.

– Nic dziwnego, że wszystko się tam gotuje – odparł nie zniechęcony Dmitrij. – Te strumienie pary nie wyglądają zdrowo. Jest pan pewien, że możemy bezpiecznie wylądować?

– Wymienił pan kolejny powód lądowania na Halleyu po nocnej, spokojnej stronie. A teraz, jeśli mi państwo wybaczą, opuszczę ich towarzystwo. Muszę wracać na mostek. Po raz pierwszy w mojej karierze będę lądował na nowym świecie... i chyba po raz ostatni.

Publiczność kapitana Smitha rozeszła się powoli, w niezwykłej – jak dla tego towarzystwa – ciszy. Obraz na ekranie wrócił do normy, to znaczy jądro znów zmniejszyło się do ledwie widocznej plamki. Jednakże przez te kilka minut, kiedy oglądali ją w powiększeniu, kometa

urosla i nie bylo to zludzeniem. Do chwili spotkania zostaly niecale cztery godziny, a „Wszehswiat” wciaz pedzil z szybkością pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Gdyby na tym etapie zabawy zawiódł główny napęd, statek wyrłyby na powierzchni Halleya krater, o jakim komecie nawet się nie śniło!

## 16. Lądowanie

Lądowanie przebiegło bez zakłóceń, tak jak spodziewał się kapitan Smith. Nikt nie zauważył, kiedy „Wszehswiat” wylądował na powierzchni komety. Minęła pełna minuta, nim pasażerowie zdali sobie sprawę, że już po wszystkim, i wzniesli radosny okrzyk. Statek osiadł na końcu płytkiej doliny otoczonej pagórkami, których wysokość nie przekraczała stu metrów. Każdy, kto by się spodziewał ujrzeć tu księżycowy krajobraz, byłby wielce zdziwiony, albowiem geologiczne formacje Halleya w niczym nie przypominały gładkich, łagodnie opadających zboczy na Księżycu, które swój kształt i wygląd zawdzięczają miliardom lat mikrometeoritowych bombardowań.

Tutaj wszystko kształtowało się w ciągu tysiąca lat; ziemskie piramidy są znacznie starsze aniżeli krajobraz Halleya. Z każdym okrążeniem Słońca kometa była przebudowywana – i zmniejszana – przez ogień naszej gwiazdy. Kształt jądra uległ subtelnym zmianom od 1986 roku, gdy Halley po raz ostatni znajdował się w peryhelium. Mieszając bezwstydnie metafory, Victor Willis wyraził owe zmiany w słowach, które całkiem nieźle oddają jej obecny kształt: „Orzeszek” ma teraz talię cienką niby osa! Istotnie, wszystko wskazywało, że Halley po kilku następnych przelotach wokół Słońca może podzielić się na dwie części, zbliżone pod względem wielkości – podobnie jak kometa Bieli, która w roku 1846 pękła ku wielkiemu zaskoczeniu astronomów.

Obcość krajobrazu potęgował również brak ciężenia. Wszędzie widziało się pająkowate formacje, przypominające fantazje malarza-surrealisty, i zwałowiska skalne nałożone na siebie pod zupełnie niewyobrażalnymi kątami – zjawiska tego rodzaju nie przetrwałyby na Księżycu nawet kilku minut.

Choć kapitan Smith posadził statek w głębi podbiegunowej nocy – w odległości pięciu kilometrów od linii dnia, za którą paliło oślepiające Słońce – światła było dosyć. Olbrzymia koperta gazów i pyłów zamykająca komety tworzyła coś na kształt aureoli, bardzo odpowiedniej

dla okolic bieguna. Łatwo było wyobrazić sobie, że to zorza polarna, której światło odbija się od arktycznych lodów. Mrok rozjaśniał także Lucyfer, świecący niczym kilkaset Księżyców w pełni.

Nieobecność barw nikogo nie rozczarowała, zaskakująca natomiast była monotonia krajobrazu. Wydawało się, że „Wszechświat” wylądował w kopalni odkrywkowej – i nie była to chybiona analogia, gdyż czern otaczająca statek wzięła się z węgla i z jego związków, przemieszanych dokładnie z lodem i śniegiem.

Ze względu na swą pozycję kapitan Smith zszedł ze statku jako pierwszy, odepchnąwszy się lekko od głównej śluzy powietrznej „Wszechświata”. Uplłynęła wieczność, zanim stanął na ziemi znajdującej się dwa metry poniżej kadłuba; gdy w końcu wylądował na Halleyu, podniósł garść pyłu i przyjrzał mu się dokładnie.

Zgromadzeni na pokładzie statku widzowie czekali na słowa, które przejdą do historii.

– Wygląda jak pieprz z solą – powiedział kapitan. – Cały świat obiadowych przypraw.

Plan misji przewidywał postój w rejonie podbiegunowym przez cały hallejański „dzień”, liczący pięćdziesiąt pięć godzin, a następnie – jeśli nie zajdą żadne nieprzewidziane okoliczności – przesunięcie statku o dziesięć kilometrów w stronę trudnego do wykreślenia równika, gdzie miały być przeprowadzone badania jednego z gejzerów w okresie jego całodobowego cyklu. Pendrill, szef zespołu badawczego, nie tracił czasu. Zaraz po wylądowaniu wyruszył wraz z kolegą na dwuosobowych, odrzutowych saniach w kierunku latarni próbnika. Wrócili po niecałej godzinie, niosąc próbki zebrane z powierzchni komety, które następnie z dumą i oficjalnymi honorami zamrożono.

Tymczasem inne grupy rozwijały w dolinie pajęczynę kabli na słupach wbijanych w zamrznięty grunt. Owa sieć łączyła niezliczone instrumenty ze statkiem, a także ułatwiała poruszanie się bez pomocy nieporęcznych, tak zwanych zewnętrznych zespołów manewrowych. Teraz wystarczyło przypiąć się do kabla i przesuwając się wzdłuż niego ręka za ręką. Było to znacznie zabawniejsze od korzystania z zespołów manewrowych, które tak naprawdę były jednoosobowymi pojazdami kosmicznymi.

Zafascynowani pasażerowie przyglądali się wszystkiemu, wsłuchiwali w prowadzone przez radio rozmowy i próbowali dzielić podniecenie z Discoveryami. Po dwunastu godzinach – w przypadku eks-astronauty Clifforda Greenberga trwało to jeszcze krócej – przyjemność pozostawiania

zachwyconą wszystkim publicznością zaczęła się zmniejszać. Coraz częściej nadmieniano o „wyjściu na zewnątrz”, wkrótce domagali się tego wszyscy z wyjątkiem dziwnie wyciszzonego Victora Willisa.

– Na pewno ma stracha – rzucił pogardliwie Dmitrij, który przestał lubić Victora, gdy odkrył, że jest on zupełnie niemuzykalny. Było to, rzecz jasna, wielce niesprawiedliwe wobec Willisa, który po odkryciu przed laty swej niewrażliwości na dźwięki wielokrotnie dawał się wykorzystywać jako świnka morska w badaniach nad tą przypadłością. Dmitrij był jednak nieubłagany: Człowiek, który nie ma w sobie muzyki – stwierdził sentencjonalnie – jest zdradliwy, podstępny i zepsuty.

Floyd rozstrzygnął sprawę wyjścia, jeszcze zanim opuścili ziemską orbitę. Maggie M. miała w sobie dość odwagi, by próbować wszystkiego bez zachęcania (jej powszechnie znana dewiza brzmiała: „Pisarzowi nie wolno odrzucać okazji przeżycia czegoś nowego”).

Yva Merlin swoim zwyczajem trzymała wszystkich w niepewności, ale Floyd uparł się, że ją zabierze na dwuosobową wycieczkę po komecie. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla swojej reputacji; wszyscy wiedzieli, że jest po części odpowiedzialny za umieszczenie słynnej samotniczki na liście pasażerów, i po cichu opowiadano sobie dowcipy o ich skrywanym romansie. Najbardziej niewinne uwagi Floyda czy Yvy radośnie „nadinterpretowano”, w czym celował Dmitrij i pokładowy lekarz, doktor Mahindran, który zresztą przyznawał, że zazdrości najstarszemu uczestnikowi wyprawy.

Heywood, którego z początku irytowały te przejawy złych manier – może dlatego, że nasuwały wspomnienia dawno przebrzmiałych uczuć? – w końcu poddał się i przestał reagować na zaczepki. Nie wiedział jednak, co myśli o tym wszystkim Yva, a nie miał odwagi, by ją o to zapytać osobiście. Nawet teraz, w jakże nielicznym i bliskim sobie towarzystwie, w którym każdy sekret stawał się tajemnicą poliszynela już po sześciu godzinach, panna Merlin potrafiła zachować swój słynny dystans - aurę tajemniczości, która fascynowała widzów od trzech pokoleń.

Jeśli chodzi o Victora Willisa – nieszczęśnik odkrył właśnie pewien drobiazg, przerażający szczegół z gatunku tych, które niszczą najlepsze plany myszy i ludzi.

„Wszechświat” był wyposażony w najnowsze modele skafandrów kosmicznych Mark XX, zaopatrzonych w niezaparowujące, przeciwodblaskowe wizjery, przez które uzyskiwało się

nieporównany widok na zewnątrz. I chociaż hełmy z wizjerami miały kilka rozmiarów, Victor nie mógł zmieścić się do żadnego - przynajmniej nie bez pewnej nieprzyjemnej operacji. Przez piętnaście lat pieczołowicie hodował swój znak rozpoznawczy – brodę („Prawdziwy triumf sztuki ogrodniczej” – stwierdził, nie bez podziwu, jeden z krytyków). I teraz właśnie ta broda stała się pomiędzy nim a kometą Halleya. Nie wiedział, co wybrać.

## 17. Dolina Czarnego Śniegu

Kapitan Smith – o dziwo! – nie sprzeciwiał się wyjściu pasażerów poza statek. Przychylił się do opinii większości, że tak długa podróż nie uwieńczona postawieniem stopy na komicie byłaby absurdem.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, jeśli tylko zechcą państwo stosować się do instrukcji – powiedział na nieuniknionej konferencji. – Mogą wyjść nawet ci, którzy nigdy przedtem nie mieli na sobie kosmicznego skafandra... a z tego, co wiem, tylko komandor Greenberg i doktor Floyd mają doświadczenia w tej dziedzinie... Model, którym dysponujemy, jest bardzo wygodny i w pełni zautomatyzowany. Nie trzeba martwić się przełącznikami ani kontrolkami... wszystko zostanie sprawdzone w służbie powietrznej.

Pierwsza zasada, od której nie będzie żadnych odstępstw: wychodzą państwo parami, po kolei. Poza statkiem może przebywać naraz tylko jedna para. Będzie jej towarzyszyć eskorta członków załogi, połączona z podopiecznymi liną asekuracyjną. Oprócz tego każda z wychodzących osób będzie przypięta do dwóch kabli, które rozpięliśmy nad całą doliną. Zasady ruchu są takie same jak na Ziemi: trzymamy się prawej strony! Jeśli państwo chcieliby kogoś wyprzedzić, wystarczy odpiąć się od kabla – ale proszę pamiętać, że jedna osoba w parze zawsze musi być połączona z prowadnicą. W ten sposób unikną państwo niebezpieczeństwa odpłynięcia w kosmos. Czy są jakieś pytania?

– Jak długo będziemy mogli zostać poza statkiem?

– Tak długo, jak państwo zechcą, droga pani M'Bala. Ale w przypadku choćby najmniejszych problemów motorycznych, fizjologicznych lub innych zalecam natychmiastowy powrót na statek. Godzina chyba państwu wystarczy... przynajmniej za pierwszym razem... Chociaż niektórym nawet doba może wydać się za krótka.

Kapitan Smith miał rację – stwierdził w myślach Heywood Floyd, spoglądając na swój czasomierz. To niemożliwe, że upłynęło już czterdzieści minut! A jednak nie mógł się pomylić - odeszli przecież dobry kilometr od statku.

Jako najstarszy wiekiem pasażer „Wszechświata” – wedle każdego kalendarza – otrzymał przywilej wyjścia w pierwszej parze. Ale nie dano mu prawa wyboru osoby towarzyszącej.

– Tylko Yva! – krztusił się Michajłowicz. – Chyba nie odmówisz damie swego serca. Nawet jeśli te cholerne skafandry... - dodał z obleśnym uśmiechem – nawet jeśli one nie pozwolą wam na najprzyjemniejszą z rzeczy, jakie można robić w stanie nieważkości.

Yva zgodziła się bez wahania, ale i bez entuzjazmu. Jakież to dla niej typowe! – pomyślał skwaszony Floyd. Co prawda, nie czuł się odarty ze złudzeń – w jego wieku nie ma się ich zbyt wiele – był jednak rozczarowany. Bardziej nawet sobą niż Yvą. Ona znajdowała się poza pochwałami, jak i krytyką, zupełnie jak Mona Lisa, z którą często zresztą bywała porównywana. Porównanie było, rzecz jasna, absurdalne. Giocondę owiewała mgiełka tajemnicy, ale trudno by się w niej dopatrzeć magii erotyzmu. Natomiast oddziaływanie Yvy płynęło z przemieszania obu tych składników i szczypty niewinności na dodatek – w celu ich zrównoważenia. Mając za sobą półwiecze od swoich największych sukcesów, panna Merlin wciąż fascynowała wszystkimi trzema cechami, przynajmniej tych, którzy w nią wierzyli.

Brakowało jej tylko – ze smutkiem skonstatował to Floyd – prawdziwej osobowości. Gdy myślał o niej, przychodziły mu do głowy jedynie role, które grała. Zgadzał się – acz niechętnie - z opinią pewnego krytyka, który kiedyś napisał: „Yva Merlin jest odbiciem pragnień wszystkich mężczyzn, ale przecież lustro nie ma charakteru”.

To jedyne w swoim rodzaju, tajemnicze zjawisko płynęło teraz obok niego na komicie Halleya, przypięte do przewodnika i dwóch kabli rozciągniętych w Dolinie Czarnego Śniegu. Nazwę ową wymyślił Floyd. Był z niej bardzo dumny – zupełnie jak dziecko – chociaż nikt nigdy nie naniesie jej na żadną mapę. Trudno bowiem rysować mapy świata, którego geografia jest tak efemeryczna jak pogoda na Ziemi. Heywood cieszył się myślą, iż żadne ludzkie oko nie widziało jeszcze tej scenerii i prawdopodobnie nigdy nie zobaczy.

Na Marsie czy na Księżycu można było niekiedy – przy małym wysiłku wyobraźni i nie zwracając uwagi na obce niebo - udawać, że jest się na Ziemi. Tutaj to zupełnie niemożliwe, przede wszystkim z powodu olbrzymich, czasami przewieszających się śnieżnych rzeźb, nie



podlegających prawu ciężenia. Wędrując po kometcie należy bardzo starannie badać wzrokiem otoczenie, by zachować orientację, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Dolina Czarnego Śniegu okazała się raczej niezwykłym zjawiskiem geologicznym z powodu stosunkowo trwałej struktury. Przypominała coś w rodzaju skalnej rafy w otoczeniu gazowych chmur i zamrożonego dwutlenku węgla. Geolodzy wciąż nie byli zgodni co do jej pochodzenia, niektórzy utrzymywali, że jest to część asteroidu, który przed wiekami zderzył się z kometą.

Odwierty wykazały, że dolina zbudowana jest z mieszanek pierwiastków organicznych, przypominających zamrożoną smołę węglową. Z pewnością jednak nigdy nie było tu życia.

„Śnieg”, pokrywający dno płytkiej doliny, nie był zupełnie czarny; gdy Floyd skierował promień lampy w dół, śnieg zaśnił i roziskrzył się, jakby to były miliony małych diamentów.

Ciekawe, czy na Halleyu są diamenty? – zastanawiał się przez chwilę; z pewnością nie brakuje tu węgla. Mogło natomiast brakować właściwej temperatury i odpowiedniego ciśnienia, bez których niemożliwe jest powstanie tych szlachetnych kamieni.

Kierowany nagłym impulsem, Floyd zebrał dwie pełne garście śniegu. Musiał przedtem odepchnąć się stopami od liny zabezpieczającej; wyobraził sobie, że jest artystą cyrkowym chodzącym po sznurze... głową w dół. Krucha powierzchnia komety nie stawiała oporu, gdy uderzył w nią głową i ramionami. Po chwili podciągnął się ostrożnie na linie i pojechał do góry z dwiema garściami Halleya.

Gdy ubijał masę krystalicznego pyłu, robiąc z niej kulę idealnie pasującą do zagłębienia dłoni, żałował, że nic nie czuje przez rękawice skafandra. Spojrzał na śnieżkę – czarną jak mahoń, a mimo to mrugającą światłem, gdy obracał ją na wszystkie strony.

I nagle wyobraził sobie, że trzyma w dłoni najczystszy, biały śnieg i znów jest chłopcem, który biega po zaśnieżonym boisku w otoczeniu duchów swojego dzieciństwa. Słyszał nawet okrzyki kolegów, zapraszających go do zabawy i wymachujących rękami, w których tkwiły śnieżki...

Wspomnienie było krótkie, a przy tym zadziwiająco smutne. Po upływie stulecia nie umiał już przypomnieć sobie ani jednej twarzy przyjaciół-duchów bawiących się z nim na śniegu, chociaż niektórych kochał tak bardzo...

Oczy Floyda napełniły się łzami, palce zacisnęły na kuli obcego śniegu. Wizja uleciała, znów był sobą, a chwila nie należała do smutnych, lecz przepelnionych triumfem.

– Mój Boże! – krzyknął Floyd, jego słowa zaś odbiły się echem w maleńkim wszechświecie skafandra. – Stoję na kometcie Halleya – czegoż jeszcze miałbym żądać! Nawet gdyby spadł na mnie meteor, nie będę się skarżył!

Podniósł ręce i rzucił śnieżką ku gwiazdom. Kula była tak mała i ciemna, że zniknęła niemal natychmiast, ale Floyd nie przestawał wpatrywać się w niebo.

I nagle – całkiem niespodziewanie – ujrzał ją ponownie w eksplozji światła, gdy trafiły w nią promienie niewidocznego Słońca. Choć czarna jak sadza, odbijała wystarczającą ilość oślepiającej jasności, by można ją było dojrzeć na tle lekko rozświetlonego nieba.

Floyd przyglądał się jej, dopóki nie zniknęła – może wyparowała, może odleciała w przestrzeń. Nie przetrwa długo we wściekłych prądach promieniowania wirujących nad ich głowami. Ale ilu ludzi może powiedzieć o sobie, że stworzyło własną kometę?

## 18. Stary Wierny

Szczegółowe badania komety rozpoczęły się z chwilą wylądowania „Wszechświata” w podbiegunowym cieniu. Najpierw wykonano przeloty jednoosobowymi zespołami manewrowymi nad stroną dzienną i nocną, filmując co ciekawsze obiekty. Po zakończeniu wstępnego przeglądu powierzchni Halleya na kometę wyruszyły grupy składające się z pięciu naukowców, którzy podróżowali pokładowym promem, by rozstawić sprzęt i instrumenty we wszystkich strategicznych punktach.

Prom „Lady Jasmine” bardzo różnił się od prymitywnych kapsuł kosmicznych z epoki „Discovery”, które działały jedynie w środowisku bezgrawitacyjnym. Był to w zasadzie mały statek kosmiczny, przeznaczony do przewozu osób i lekkiego ładunku pomiędzy orbitującym „Wszechświatem” a Marsem, Księżycem czy jowiańskimi satelitami. Pilot promu, który traktował swój pojazd z szacunkiem należnym wielkiej damie, skarżył się z udawanym gniewem, że loty wokół żalostnej kometki są poniżej godności jego statku.

Gdy kapitan Smith przekonał się, że Halley nie kryje – przynajmniej na powierzchni – żadnych niespodzianek, podniósł „Wszechświat” z okolic podbiegunowych. Przenieśli się niecałe dziesięć kilometrów dalej, ale wszystkim wydało się, że jest to zupełnie inny świat, inny niż królestwo roziskrzonego mroku, który miesiącami utrzymywał się w okolicach bieguna komety. Tutaj następowały już cyklicznie po sobie dzień i noc. A z nadejściem świtu – kometa ożywała.

Gdy nad postrzępionym, absurdalnie bliskim horyzontem wstało Słońce, jego promienie ujawniły tysiące niewielkich kraterów na powierzchni Halleya. Większość małych wulkanów pozostawała nieczynna, ich wąskie gardła bowiem zasklepiły złoża soli mineralnych. Dopiero tutaj ujrzeli pełną gamę barw komety. Biolodzy – zdumieni pokrywającą zbocza zielenią – sądzili z początku, że znaleźli życie w formie glonowatych porostów. Trudno ich było odwieść od tego przekonania i aż do końca nie tracili nadziei.

Z innych kraterów wydobywały się smużki pary i umykały wprost ku niebu, po prostych trajektoriach, ponieważ na Halleyu nie wiał atmosferyczny wiatr. Po wschodzie Słońca przez godzinę, czasami dwie panował spokój; później, gdy ciepło dotarło do zamrożonego wnętrza, Halley zaczął wrzeć i prychać – według długiego określenia Victora Willisa – niczym „gromadka wielorybów”.

Metafora, choć obrazowa, nie była zbyt ścisła. Strumienie pary po daytimej stronie Halleya tryskały nieprzerwanie całymi godzinami. Poza tym nie opadały łukiem znów na powierzchnię komety, lecz uciekały ku niebu i tam gubiły się w rozjarzonej mgłę, która dzięki nim powstała. Początkowo naukowcy traktowali gejzery z taką ostrożnością, jak wulkanolodzy Etnę czy Wezuwiusza przed spodziewanym wybuchem. Wkrótce jednak odkryli, że erupcje Halleya – choć przerażające z pozoru – były taktowne i delikatne; woda tryskająca z wnętrza komety miała zaledwie letnią temperaturę, jej ciśnienie zaś nie przewyższało siły węża strażackiego. Po kilku sekundach od pojawienia się na powierzchni woda zamieniała się w mieszaninę pary i kryształków lodu. Kometę otaczała nieustannie burza śnieżna, przy czym śnieg padał w „odwrotnym” kierunku. Przy tak niskim ciśnieniu woda nie powracała na powierzchnię komety. Przy każdym peryhelium z Halleya wypływał życiodajny płyn wysysany przez nigdy nie zaspokojoną próżnię.

Po długich namowach kapitan Smith zgodził się wreszcie postawić „Wszechświat” w odległości stu metrów od Starego Wiernego – największego gejzeru po daytimej stronie. Widok był rzeczywiście wspaniały! Nad stosunkowo niewielkim otworem na dnie trzystumetrowego krateru – zapewne jednej z najstarszych formacji na komecie – unosiła się szarobiała kolumna mgły, rosnąca niczym gigantyczne drzewo. Naukowcy rozeszli się po całej okolicy, zbierając okazy (niestety, całkowicie jałowe) wielokolorowych minerałów bądź wsuwając od niechcenia termometry i próbówki w górującą nad nimi kolumnę wody, lodu i pary. – Jeśli wyrzuci któregoś

z was w kosmos - ostrzegął kapitan – nie spodziewajcie się szybkiej akcji ratowniczej.

Poczekamy, aż sami do nas wrócicie!

– Co on chciał przez to powiedzieć? – zapytał zdziwiony Dmitrij Michajłowicz. Odpowiedział mu, jak zwykle pierwszy w takich sytuacjach, Victor Willis.

– Mechanika gwiazdna zna takie przypadki. Obiekt wyrzucony z Halleya z dość dużą szybkością będzie wciąż krążył po mniej więcej tej samej orbicie. Pragnąc znacznie zmienić orbitę, trzeba by mu nadać olbrzymią prędkość. Przy kolejnym obrocie komety wokół Słońca dwie orbity przetną się i obiekt wróci dokładnie na miejsce startu. Oczywiście, starszy o siedemdziesiąt sześć lat.

W pewnej odległości od wielkiego gejzeru znajdował się inny fenomen, którego nikt nie mógł się tutaj spodziewać. Naukowcy za pierwszym razem nie wierzyli własnym oczom. Otóż na kilku hektarach Halleya rozciągało się – poddane działaniu próżni – coś, co wyglądało jak najzwyklejsze jezioro, z tym że od normalnych jezior różnił je atramentowoczarne kolor. Zrozumiałe, że nie mogła to być woda. Jedynymi płynami, które zachowały stan trwały w tym otoczeniu, były ciężkie organiczne oleje i smoły. Jezioro Tuonela rzeczywiście przypominało asfalt, i to dość twardy, z wyjątkiem lepkiej milimetrowej warstwy na powierzchni. Przy tak małym ciężeniu twór ten musiał powstawać latami – może nawet w ciągu kilku obrotów komety wokół palącego płomieniami Słońca – by nabrać obecnej lustrzanej gładkości.

Dopóki zezwalał kapitan, wyprawy nad jezioro należały do głównych turystycznych atrakcji komety Halleya. Ktoś odkrył (nikt nie chciał się do tego przyznać), że można chodzić po lustrze jeziora – zupełnie normalnie, jak po ziemi. Asfalt był na tyle lepki, że utrzymywał stopy turystów na powierzchni. Nie minęło wiele czasu, a cała załoga sfilmowała się w cudownym akcie chodzenia po wodzie.

Lecz gdy kapitan dokonywał przeglądu śluzы powietrznej, odkrył na jej ścianach plamy ze smoły i pokazał wszystkim, że czasami potrafi się denerwować.

– Wystarczy – cedził przez zaciśnięte zęby – że statek pokrywa sadza na zewnątrz! Nie chcę mieć także wewnątrz statku nieczystości z tego najbrudniejszego miejsca pod Słońcem!

Po tej reprimendzie już nikt nie wybierał się na przechadzki po jeziorze Tuonela.

W małym, zamkniętym w sobie świecie, gdzie wszyscy znają się nawzajem, największym szokiem bywa spotkanie kogoś zupełnie obcego.

Heywood Floyd płynął właśnie korytarzem do sali recepcyjnej, gdy przeżył takie niepokojące doświadczenie. Ze zdumieniem spojrzał na intruza, zastanawiając się, w jaki sposób ów pasażer na gapę uniknął drobiazgowej kontroli przed startem. Mężczyzna – jakby nieco zażenowany, ale jednak dumny z siebie - odwzajemnił jego spojrzenie i czekał na pierwsze słowa Floyda.

– Victor! – wykrzyknął w końcu Heywood. – Wybacz, że cię nie poznałem. A więc złożyłeś w ofierze to, co miałeś najcenniejszego. Może to zrobiłeś dla swej publiczności?

– Taa – odparł ponuro Willis. – Zmieściłem się do hełmu, ale ten cholerny krótki zarost tak szura w środku, że nikt nie usłyszał ani słowa z tego, co mówiłem.

– Kiedy wychodzisz?

– Po powrocie Cliffa. Razem z Billem Chantem wybrali się do jaskiń.

Pierwsze badania komety w roku 1986 wykazały, że ma ona gęstość mniejszą od wody, to zaś mogło oznaczać, iż zbudowana jest z porowatego materiału bądź poryta jaskiniami. Okazało się, że obydwa wyjaśnienia są trafne.

Ostrożny kapitan Smith kategorycznie odmawiał na początku zgody na badanie jaskiń. Podał się dopiero wtedy, gdy doktor Pendrill przypomniał mu, że jego pierwszy asystent, doktor Chant, jest doświadczonym speleologiem – co zresztą było jednym z powodów zaproszenia go do udziału w misji.

– Przy tak małym ciężeniu niemożliwe jest powstawanie zawałów – tłumaczył Pendrill dalekiemu od entuzjazmu kapitanowi. – Nie musimy się więc obawiać, że ktoś zostanie uwięziony w jaskini.

– A jeśli się zgubi?

– Chant potraktowałby pańskie pytanie jako osobistą zniewagę. Przeszedł dwadzieścia kilometrów w głąb Jaskini Mamuciej. Ponadto będzie zabezpieczony liną.

– Środki komunikowania się?

– W linie jest umieszczony światłowód. Sądzę jednak, że wystarczy mu radio w skafandrze.

– Hm... W którym miejscu chce wejść do jaskini?

- Najlepszy wydaje się nieczynny gejzer u stóp Etny Junior. Zapewne od tysięcy lat nic się tam nie działo.
- Taa... Mam nadzieję, że tak zostanie przez kilka następnych dni. Dobrze. Kto z nim pójdzie?
- Cliff Greenberg zgłosił się na ochotnika. Cliff badał jaskinie podwodne na Bahamach.
- Kiedyś sam tego próbowałem, tylko raz... Starczyło. Proszę powiedzieć Cliffowi, że wciąż jest dla nas bezcenny. Może wejść do jaskini pod warunkiem, że nie pójdzie dalej niż do miejsca, z którego jeszcze widać wyjście. I ani kroku głębiej! A jeśli straci kontakt z Chantem, nie wolno mu go szukać bez mojego zezwolenia.
- Którego zresztą i tak nie udzielię, dodał w myślach kapitan.

Doktor Chant znał wszystkie stare dowcipy na temat speleologów. Szczególnie go irytowały te o badaczach jaskiń wracających do łona matki. Często im się przeciwstawiał.

- Macica musi być cholernie hałaśliwym miejscem. Wciąż coś w niej bulgocze, dudni i stuka – tłumaczył dowcipnisiom. - Kocham jaskinie za panujący tam spokój i beczasowość. Gdy schodzisz na dół, wiesz, że nic się tam nie zmieniło od setek tysięcy lat, jedynie stalaktyty nieco pogrubiły.

Ale gdy zanurzał się coraz głębiej pod powierzchnię Halleya, zostawiając za sobą cienką, lecz praktycznie nie dającą się zerwać nić łączącą go z Cliffordem Greenbergiem, doszedł jednak do wniosku, że nie miał racji. Nie miał jeszcze, co prawda, żadnych naukowych dowodów, lecz instynkt geologa podpowiadał mu, że ten podziemny świat powstał dopiero wczoraj – wedle kosmicznej skali czasu. Był młodszy od niektórych miast zbudowanych przez człowieka. Tunel, którym zsuwał się długimi, płaskimi susami, miał około czterech metrów średnicy. Nieważkość przypominała mu o emocjach związanych z nurkowaniem w jaskiniach na Ziemi. Minimalna grawitacja pogłębiała to złudzenie. Wyglądało to tak, jakby niósł na plecach duży ciężar, który spycha go w dół, i tylko brak tarcia sprawił, że zachował świadomość, iż nie pływa w wodzie, ale przemieszcza się w próżni.

- Tracę cię z oczu – powiedział Greenberg, oddalony od wejścia o pięćdziesiąt metrów. – Radio działa bez zarzutu. Co widzisz?

- Trudno powiedzieć. Nie umiem zidentyfikować żadnej formacji i brakuje mi słów, żeby je opisać. To nie są skały, kruszą się, gdy ich dotykam. Czuję się, jakbym badał wnętrze gigantycznego sera gruyère...
- Chcesz powiedzieć, że to materia organiczna?
- Tak. Rzecz jasna, nie ma mowy o jakichś formach życia, chociaż nie brak tu jego doskonale czystych składników. Cały zestaw węglowodorów – chemicy ucieszą się z tych próbek. Czy wciąż mnie widzisz?
- Tylko poświatę latarki, ale i ona zanika.
- Ach, mam w końcu prawdziwą skałę! Zupełnie tutaj nie pasuje, to chyba jakiś odłamek... Cha! Znalazłem złoto!
- Żartujesz?
- Niemal ludzi nabrało się na to w czasach Dzikiego Zachodu. To jest piryt, dość powszechny na zewnętrznych satelitach. Ale nie pytaj mnie, skąd wziął się tutaj...
- Straciłem kontakt wzrokowy. Jesteś na głębokości stu metrów.
- Przechodzę przez wyraźną warstwę geologiczną. To chyba jakieś meteorytowe śmietnisko. Przed laty spadło tutaj coś naprawdę interesującego i mam nadzieję, że zdołamy ustalić wiek tych odprysków. Ojej!
- Nie rób mi tego więcej!
- Przepraszam, ale zaparło mi dech w piersiach. Mam przed sobą dużą komorę. W ogóle nie spodziewałem się czegoś takiego. Poczekaj, oświetlę ją...
- Kształt niemal kulisty, jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów średnicy. Nie mogę w to uwierzyć! Na Halleyu jest pełno niespodzianek – stalaktyty, stalagmity!
- Cóż w tym dziwnego?
- Przecież tu nie ma wody w stanie wolnym! Nie ma wapienia! I jeszcze to słabe ciśnienie. Przypomina to jakiś rodzaj wosku. Poczekaj chwilę, muszę to dobrze sfilmować. Fantastyczne kształty... coś jak kapiąca świeca. To dziwne...
- Co teraz?
- Głos doktora Chanta zmienił się, a Greenberg natychmiast rozpoznał w nim nowe tony.
- Niektóre kolumny są złamane! Leżą na dnie jaskini. Wygląda to, jakby...
- Mów dalej!

– ...jakby coś wpadło na nie po omacku.

– To szaleństwo! Mogło je połamać trzęsienie... komety...

– Tutaj nie ma wstrząsów sejsmicznych, są tylko mikrowstrząsy w okolicach gejzerów. Może nastąpił jakiś wybuch? Tak czy owak, zdarzyło się to przed wiekami. Leżące kolumny pokrywa warstwa wosku – ma kilka milimetrów grubości.

Doktor Chant dochodził powoli do siebie. Nie był człowiekiem z wybujałą wyobraźnią – speleologia szybko takich eliminuje – lecz nastrój tego miejsca wyzwał jakiegoś niepokojące wspomnienia. A połamane kolumny wyglądały jak kraty klatki rozerwanej w momencie ucieczki potwora...

Oczywiście był to piramidalny absurd, lecz doktor Chant nauczył się nie lekceważyć swoich przeczuć, sygnałów o zbliżającym się niebezpieczeństwie. I zazwyczaj szukał ich źródła. Ta ostrożność niejednokrotnie ratowała mu życie. Nie wyjdzie z komory, dopóki nie ustali powodów swojego lęku. A był na tyle uczciwy, by przyznać, że lęk to właściwe słowo.

– Bill, wszystko w porządku? Co się dzieje?

– Filmuję. Kształty tych kolumn przypominają mi rzeźby z hinduskich świątyń. Są niemal erotyczne.

Celowo odwracał myśli od własnych obaw, chciał je zaskoczyć w najmniej spodziewanym momencie, nakładając na nie inny rodzaj zapamiętanych wizji. Tymczasem jego uwagę pochłaniały czysto praktyczne działania – zbieranie próbek i filmowanie kamerą wideo.

W zdrowym strachu – mówił sobie – nie ma nic zdrożnego; dopiero eskalacja lęku, jego przejście w panikę może być zabójcze. Wiedział, czym jest panika. Doświadczył jej dwukrotnie w życiu (raz w czasie wspinaczki górskiej, drugi raz pod wodą) i sama myśl o niej przyprawiała go o dreszcz grozy. Teraz jednak czuł się na szczęście bezpieczny przed jej wybuchem, a to z powodu, który chociaż niepojęty – był zarazem nad wyraz kojący. Cała rzecz bowiem kryła w sobie jakiś element komedii.

Zaczął się śmiać – nie histerycznie, ale z ulgą.

– Widziałeś kiedyś te stare filmy z serii <MI>Wojen gwiazdnych<D>? - zapytał Greenberga.

– Jasne, oglądałem je ze sześć razy.



– Już wiem, co mnie niepokoiło. W którymś z tych filmów jest taka scena: pojazd kosmiczny Luke'a zderza się z asteroidem i wpada wprost do pyska gigantycznego potwora, przypominającego węża, który czyha w jaskiniach tego ciała niebieskiego.

– To nie był pojazd Luke'a, tylko Hana Solo rakieta „Millennium Falcon”. Zawsze zastanawiałem się, jak ta nieszczęsna bestia zdołała przeżyć w takich warunkach. Musiała być bardzo głodna, czekając wiekami na okruszki z nieba. A księżniczka Lea nadawałaby się co najwyżej na przekąskę...

– Którą ja z pewnością nie zostanę! – dobitnie stwierdził rozluźniony już doktor Chant. – Nawet gdyby istniało tu życie (co zakrawałoby na cud!), łańcuch pokarmowy byłby stosunkowo krótki. Zdziwiłbym się, znajdując coś większego od myszy. Albo, co wydaje się bardziej prawdopodobne, od grzyba... Dobrze. Zastanówmy się, dokąd teraz pójdziemy. Po drugiej stronie komory są dwa wyjścia. To z prawej jest nieco większe. Pójdę tam...

– Ile liny jeszcze ci zostało?

– Och, dobre pół kilometra. Ruszam. Jestem na środku komory... cholera, odbiłem się od ściany! Dobra, już się trzymam... wchodzę do tunelu głową naprzód. Gładkie ściany, prawdziwe skały dla odmiany... Szkoda...

– O co chodzi?

– Nie mogę iść dalej. Coraz więcej stalaktytów... są za blisko siebie, żeby się precyzyjnie przycisnąć... i zbyt grube, aby dało się je wysadzić bez poważnych zniszczeń... Co za skandal – tak wspaniałe kolory, prawdziwa zieleń i błękit, jakich nigdzie jeszcze nie widziałem na Halleyu. Poczekaj chwilkę, muszę to sfilmować.

Doktor Chant oparł się o ścianę tunelu i wycelował kamerę. Dłonią w rękawicy sięgnął do przełącznika wysokiej rozdzielczości obrazu, nie trafił, ale przypadkowo zgasił główną lampę.

– Co za wszawy projekt! – mruknął pod nosem. – Zdarza mi się to już trzeci raz.

Ale nie od razu włączył światło. Lubił ciszę i ciemności panujące w jaskiniach. Delikatny szum systemu podtrzymywania życia trochę psuł, co prawda, wrażenie, ale zawsze...

Co to było? Za portykiem stalaktytów blokujących przejście dostrzegł słabą poświatę, niczym pierwszy sygnał świtu. Gdy uważnie wpatrzył się w ciemność, światło rozjaśniło się i odkrył w nim zielonkawą barwę. Teraz widział już zarysy bariery, którą miał przed sobą.

– Co się dzieje? – spytał zniecierpliwiony Greenberg.

– Nic, właśnie przyglądam się...

I rozmyślałam – mógłby dodać. Były cztery możliwe wyjaśnienia tego, co widział.

Po pierwsze, mogło to być światło słoneczne sączące się jakąś naturalną szczeliną albo przez lód, kryształy, cokolwiek. Ale na takiej głębokości? Mało prawdopodobne...

Po drugie, radioaktywny pierwiastek. Nie wziął ze sobą licznika, ale na komecie nie stwierdzono do tej pory występowania pierwiastków ciężkich. Warto sprawdzić to jeszcze raz.

Po trzecie, fosforyzujący minerał – tak, na to byłby gotów postawić własne pieniądze. Było jeszcze jednak czwarte wyjaśnienie – najmniej prawdopodobne ze wszystkich i najbardziej zarazem ekscytujące.

Doktor Chant nigdy nie zapomni bezksiężycowej – i bezlucyferowej – nocy nad Oceanem Indyjskim. Szedł wtedy piaszczystą plażą pod rozgwieżdżonym niebem. Morze było bardzo spokojne, od czasu do czasu rozbijała się u jego stóp leniwa fala, rozbłyskując za każdym razem eksplozją światła.

Wszedł na płyciznę (wciąż pamiętał ciepły dotyk wody wokół kostek), a z każdym jego krokiem wybuchała jasność. Wyzwalał ją nawet klaszcząc w dłonie tuż nad powierzchnią wody.

Czy w sercu komety Halleya mogły żyć podobne bioluminescencyjne organizmy? Chciałby, żeby tak było. Szkoda będzie zniszczyć tak wyjątkowe, naturalne dzieło sztuki – bariera z poświęcą w tle przypominała mu teraz ołtarz widziany w jakiejś katedrze – ale będzie musiał wrócić po materiały wybuchowe. Tymczasem pozostał mu jeszcze jeden korytarz...

– Nie mogę iść dalej tym tunelem – powiedział Greenbergowi. – Spróbuję wejść w ten drugi.

Wracam do komory... Uważaj, zwijam linę... – Nie wspomniał o tajemniczej poświęcie, która zniknęła zaraz, gdy włączył lampę.

Greenberg nie odpowiedział od razu, co było dość niezwykle; może rozmawiał ze statkiem?

Chant nie martwił się – powtórzy wiadomość z komory.

Po chwili Greenberg odezwał się sam.

– W porządku, Cliff? Myślałem, że coś się stało z radiem. Jestem już znowu w komorze.

Wchodzę do drugiego tunelu. Mam nadzieję, że tego nic nie blokuje.

Tym razem Greenberg nie zwlekał z odpowiedzią. – Przepraszam, Bill. Była wiadomość ze statku. Zdarzył się wypadek. Nie, nie tutaj... z „Wszechświatem” wszystko w porządku. Ale zanoszą się na to, że zaraz będziemy musieli wracać na Ziemię.

Upłynęło kilka tygodni, zanim doktor Chant ustalił bardzo prawdopodobne wyjaśnienie fenomenu połamanych kolumn. Komety podczas każdego peryhelium wypompowywała swą materię w kosmos, tak że rozmieszczenie jej masy ciągle się zmieniało. W związku z tym co kilka lat obrót Halleya stawał się niestabilny i zmieniał ustawienie osi komety – co miało dość gwałtowny przebieg, jak w przypadku obracającej się szpulki, którą ktoś szarpie odwijając z niej nić. Podczas tego rodzaju wydarzeń na komecie występowały całkiem poważne wstrząsy sejsmiczne, dochodzące do pięciu stopni w skali Richtera.

Chant nigdy nie rozwiązał zagadki zielonkawej poświaty. Choć sprawę tę szybko przesłonił dramat rozgrywający się w innej części Układu Słonecznego, speleolog do końca życia odczuwał gorycz z powodu utraconej szansy na epokowe odkrycie.

Czasami kusilo go, by opowiedzieć o tym kolegom, ale nie zdradził swojej tajemnicy. Zostawił natomiast wiadomość dla kolejnej ekspedycji, która wyruszy ku Halleyowi w roku 2133.

## 20. Wspomnienie

– Widziałeś Victora? – zapytał radośnie Michajłowicz, zatrzymując Floyda, który śpieszył do kapitana. – To nie ten sam człowiek.

– W drodze do domu wyrosnie mu nowa broda – odparł poirytowany Floyd, który nie miał czasu na błałostki. – Wybacz, ale próbuję dowiedzieć się, co się stało.

Gdy Heywood znalazł się w kabinie kapitana, ten wciąż siedział jeszcze zdumiony i wstrząśnięty. Gdyby wypadek dotyczył jego statku, byłby jak tornado kontrolowanej energii – na prawo i lewo wydawałby rozkazy i polecenia. Ale w tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać na kolejną wiadomość z Ziemi.

Kapitan Laplace był jego starym przyjacielem i Smith nie mógł pojąć, jak doszło do wypadku. Zresztą trudno tu mówić o wypadku, błędzie w nawigacji czy awarii sprzętu, które doprowadziły do tego, co się stało. Podobnie jak trudno wyobrazić sobie, w jaki sposób „Wszechświat” mógłby przyjść z pomocą tamtym nieszczęśnikom. Centrum Operacyjne zabrnęło w ślepią uliczkę; sprawa przedstawiała się bardzo źle, zachodziły bowiem okoliczności – aż nazbyt częste w kosmosie – które nie pozwalały na nic innego oprócz przekazania wyrazów współczucia i

przesłania ostatniej transmisji. Opowiadając o wszystkim Floydowi, kapitan Smith pominął jednak własne wątpliwości i niepokoje.

– Zdarzył się wypadek – powiedział. – Dostaliśmy rozkaz natychmiastowego powrotu na Ziemię, skąd wyruszymy w misji ratowniczej.

– Jaki wypadek?

– Sprawa dotyczy naszego siostrzanego statku, „Galaktyki”. Były z niej prowadzone badania satelitów Jowisza. Doszło do awaryjnego lądowania.

Kapitan dostrzegł wyraz zdumienia i niedowierzania na twarzy Floyda.

– Tak, wiem, że to niemożliwe. Ale nie wie pan jeszcze najważniejszego. Otóż „Galaktyka” ugrzęzła na Europie.

– Na Europie!

– Tak. Statek jest zniszczony, ale nie ma strat w ludziach. Czekamy na dalsze informacje.

– Kiedy to się stało?

– Przed dwunastoma godzinami. Wiadomość dotarła z Ganimedesa z opóźnieniem.

– Ale cóż my możemy zrobić? Jesteśmy na drugim krańcu Układu Słonecznego. Zanim dotrzemy na orbitę okołoksiężycową, napełnimy zbiorniki i polecimy na Jowisza, minie – nawet przy sprzyjających okolicznościach – co najmniej kilka miesięcy! (A w czasach „Leonowa” – dodał w myślach Floyd – trwałoby to zapewne latami.)

– Wiem. Ale żaden inny statek nie może tego zrobić.

– A co z promami intersatelitarnymi na Ganimedesie?

– Służą tylko do operacji orbitalnych.

– Lądowały na Kallisto!

– Owszem, ale były to misje niskoenergetyczne. Och, dałyby sobie radę i na Europie, ale bez ładunku. Chociaż, rzecz jasna, i ta ewentualność jest brana pod uwagę.

Floyd prawie nie słyszał ostatnich słów kapitana. Wciąż starał się uporać z szokującą wiadomością. Po raz pierwszy od półwiecza – a po raz drugi w historii! – kierowany przez ludzi statek wylądował na objętym kwarantanną księżycu. Floyd poczuł, jak włosy mu się jeżą, ale musiał o to zapytać:

– Czy nie sądzi pan – zaczął – że przymusowe lądowanie „Galaktyki” mogło być wynikiem działania tych... czy tego, co zamieszkuje Europę?

– Zastanawiałem się nad tym – odrzekł ponuro kapitan. – Ale przecież węszyliśmy tam od lat i nic się nie działo.

– W takim razie zapytam otwarcie: co stanie się z nami, jeśli wylądujemy tam w misji ratowniczej?

– Sam chciałbym to wiedzieć. Dajmy jednak spokój czczym spekulacjom... przynajmniej do momentu, kiedy będziemy znać fakty.

Tymczasem, właśnie dlatego wezwałem pana, otrzymałem listę członków załogi „Galaktyki”... I zastanawiałem się, czy...

Przesunął wydruk na drugą stronę biurka. Lecz Floyd – zanim spojrzał na listę – wiedział, co na niej znajdzie.

– Mój wnuk – powiedział matowym głosem.

I jedyna osoba – dodał w myślach – dziedzicząca nazwisko po mojej śmierci.

### III

#### Europejska ruletka

##### 21. Polityka na wygnaniu

Wbrew wszelkim ponurym przepowiedniom rewolucja południowoafrykańska dokonała się względnie bezkrwawo – przynajmniej jak na rewolucję. Mieszkańcy dawnej RPA zawdzięczali to w dużej mierze telewizji, którą tak często oskarża się o sprzyjanie jatkom. Swego rodzaju precedensem była tu sytuacja Filipin, gdzie doszło do zamieszek dziesięć lat wcześniej. Okazało się bowiem, że większość ludzi – wiedząc, iż zwrócone są na nich oczy świata – stara się postępować w sposób odpowiedzialny. W obydwu państwach doszło, rzecz jasna, do pożałowania godnych wyjątków, ale telewizja raczej unikała prezentowania masakr. Większość Afrykanerów zdawała sobie sprawę z nieuniknionego i wyjechała z kraju, zanim władzę przejęli Czarni. Wyjechała, i to nie z pustymi rękami – o czym nie omieszkała

wspomnieć z goryczą nowa administracja. Miliardy randów zostały przelane na konta w bankach szwajcarskich i holenderskich. Gdy zbliżał się nieuchronny koniec, z Kapsztadu i Johannesburga niemal co godzinę startowały tajemnicze samoloty obierające kurs na Zurych i Amsterdam. Mówiło się, że w Dniu Wyzwolenia w byłej Republice Południowej Afryki nie pozostała ani jedna uncja złota, ani pół karata diamentów, kopalnie zaś bez wyjątku wysadzono w powietrze. Jeden z prominentów chwalił się w swoim luksusowym apartamencie w Hadze: „Upłynie przynajmniej pięć lat, zanim Kafrowie znów uruchomią kopalnię Kimberley – jeśli w ogóle im się to uda!” Musiał nieborak przeżyć szok, gdy po pięciu miesiącach uruchomiono De Beers – oczywiście pod inną nazwą i kierownictwem – diamenty zaś stały się najważniejszym towarem eksportowym nowego państwa.

Po upływie dziesięciolecia młodsze pokolenie uchodźców zasymilowało się – mimo rozpaczliwych zapobiegawczych wysiłków konserwatywnej starej gwardii – z resztą nie dbającego o swoje korzenie, dwudziestopierwszowiecznego świata. Młodzi z dumą, lecz bez przechwałek wspominali odwagę i determinację swoich przodków, dystansując się jednocześnie od wszystkich nonsensów, których się tamci dopuszczali. Prawie nikt z nowej generacji nie mówił w ojczystym języku – nawet w domu.

Podobnie jak w przypadku rewolucji rosyjskiej sprzed stu lat i teraz nie brakowało również takich, którzy pragnęliby cofnąć czas albo przynajmniej utrudnić życie tym, którzy przejęli władzę i przywileje. Kontrewolucjoniści ograniczali się zazwyczaj do manifestowania swojego niezadowolenia i frustracji poprzez propagandę, demonstracje, bojkoty, pisanie petycji do Rady Światowej – i rzadko: przez sztukę. Powieść Wilhelma Smuta <MI>Voortrekkers<D> została uznana za arcydzieło (o ironio!) literatury angielskiej, z czym zgadzali się nawet ci, którzy nie podzielali poglądów autora.

Istniały również grupy, które nie wierzyły w celowość akcji politycznych i uciekały się do przemocy, upatrując w niej jedyny sposób przywrócenia dawnego porządku. Co prawda niewielu uchodźców naprawdę ufało tym, którzy głosili, że odwrócą bieg historii, nie brakło jednak takich, którzy – nawet nie wierząc w zwycięstwo – domagali się zemsty.

Pomiędzy dwiema ekstremalnymi postawami – asymilacją i nieprzejednaniem – działało wiele partii politycznych i ruchów apolitycznych. Der Bund nie był największą z nich, z pewnością jednak najpotężniejszą i najbogatszą, kontrolował bowiem – przez sieć korporacji i holdingów –

znaczną część przesz muglowanych bogactw dawnej RPA. Większość firm związanych z Bundem działała legalnie i cieszyła się szacunkiem.

Bund zainwestował pół miliarda w korporację Tsung Aerospace, co zresztą oficjalnie wykazywały roczne bilanse. W roku 2059 sir Lawrence z radością przyjął kolejne pół miliarda. Pieniądze te przyspieszyły budowę małej flotyli jego statków kosmicznych. Nawet ktoś tak inteligentny jak sir Lawrence nie wykrył jednak związku pomiędzy Bundem a ostatnią czarterową misją „Galaktyki”. Halley zbliżał się wówczas do Marsa i pan Tsung był tak zajęty przygotowaniem do lotu „Wszechświata”, że nie zwracał uwagi na rutynowe operacje siostrzanego statku.

Wprawdzie londyński Lloyd zakwestionował przedstawioną mu pierwszą wersję trasy „Galaktyki”, lecz wkrótce uporano się z tym problemem. Bund miał swoich ludzi wszędzie, co nie przyniosło szczęścia agentom ubezpieczeniowym, i okazało się prawdziwą żyłą złota dla kosmicznych prawników.

## 22. Niebezpieczny ładunek

Nie jest łatwo prowadzić linię kosmiczną operującą między obiektami zmieniającymi swe położenie o miliony kilometrów co kilka dni i przemieszczającymi się z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na sekundę. Regularny rozkład lotów nie wchodzi w rachubę; zdarzają się również sytuacje, gdy trzeba zapomnieć o planowanej podróży i zostać w porcie – a przynajmniej na orbicie – czekając, aż Układ Słoneczny zmieni się na dogodniejszy dla ludzi. Na szczęście owe anomalie można przewidzieć z wieloletnim wyprzedzeniem i wykorzystać okresy przestoju na kapitalne remonty statków, ich modernizację i przepustki planetarne dla załogi. Niekiedy również, jeśli szczęście i agresywna reklama sprzyjają, można wyczarterować statki do lokalnych przelotów, odpowiedników dawnych rejsów wycieczkowych.

Kapitan Eric Laplace był zadowolony, gdy okazało się, że trzymiesięczny postój na orbicie Ganimedesa nie pójdzie całkiem na marne. Anonimowa i zupełnie nieoczekiwana subwencja dla Planetarnej Fundacji Naukowej umożliwiła zorganizowanie rekonesansu na jowiańskich satelitach (nawet teraz nikt ich nie nazywał „lucyferiańskimi”). Wyprawa miała poświęcić uwagę szczególnie kilkudziesięciu mniejszym, zaniedbanym do tej pory księżycom. Niektóre z nich nie były nigdy zbadane, nie mówiąc już o lądowaniach.

Rolf van der Berg, usłyszawszy o tej misji, skontaktował się z przedstawicielem linii kosmicznych Tsunga i przeprowadził dyskretny wywiad.

– Tak, najpierw polecimy na Io, potem planujemy przelot wokół Europy...

– Tylko przelot? W jakiej odległości?

– Chwileczkę... Dziwne... W planie lotu nie podano szczegółów. Statek oczywiście nie przekroczy strefy zakazanej.

– Którą w czasie ostatnich pomiarów, piętnaście lat temu, ustalono na dziesięć tysięcy kilometrów. Chciałbym zgłosić się na ochotnika jako planetolog misji. Prześlę panu moje referencje.

– Nie trzeba, doktorze van der Berg. Pytano już o pana.

Zawsze łatwiej być mądrym po fakcie, ale kapitan Laplace, rozmyślając teraz (a miał na to dużo czasu) o początkach misji, odkrywał coraz to nowe dziwne okoliczności. Oto dwóch członków załogi nagle rozchorowało się i na ich miejsce przysłano ludzi nie wiadomo skąd; był zadowolony, że ma nowych pracowników pod ręką, i nie sprawdził ich papierów tak starannie, jak powinien. (Ale gdyby to nawet zrobił, przekonałby się, że wszystko jest absolutnie w porządku.)

Później zaczęły się kłopoty z ładunkiem. Jako kapitan miał prawo wiedzieć, co znajduje się na pokładzie. Oczywiście nie mógł sam oglądać każdej rzeczy wnoszonej na statek, ale nigdy nie wahał się przed inspekcją, jeśli istniały jakieś ku temu powody. Chociaż załogi statków kosmicznych składają się – ogólnie rzecz biorąc – z ludzi wysoce odpowiedzialnych, to długie misje potrafią jednak każdemu dać się we znaki. Mimo to stosowanie pewnych redukujących stres substancji chemicznych – zupełnie legalnie na Ziemi – bywa często zakazane w kosmosie. Kiedy drugi oficer Chris Floyd zameldował o swoich podejrzeniach, kapitan z góry założył, że chromatograf „węszący” na statku wykrył kolejną porcję zapasów czystego opium, używanego niekiedy przez chińską w większości załogę. Tym razem sprawa okazała się poważniejsza – naprawdę bardzo poważna!

– Luk ładunkowy numer trzy, obiekt 2/456, kapitanie. List towarowy podaje w specyfikacji „sprzęt naukowy”. Wewnątrz natomiast znajdują się materiały wybuchowe.



– Co?!

– Z całą pewnością, sir. Oto elektrogram.

– Wierzę panu, panie Floyd. Czy sprawdził pan obiekt?

– Nie, sir. Obiekt znajduje się w trwale zamkniętym pojemniku o wymiarach mniej więcej pół metra na metr i na pięć metrów. Jest to jedna z największych skrzyń, które wprowadził na pokład zespół badawczy. Są na niej napisy: UWAGA! NIE RZUCAĆ, podobnie zresztą jak na wszystkich innych...

Kapitan Laplace zabębnił palcami po drewnopodobnym blacie swego biurka (nawiasem mówiąc, bardzo mu się ono nie podobało i zamierzał się go pozbyć przy pierwszej okazji). Nawet tak minimalny ruch palcami sprawił, że kapitan zaczął wzlatywać w górę, w porę jednak zdołał jeszcze zakotwiczyć się stopą o fotel.

Laplace nawet przez chwilę nie wątpił w prawdziwość słów Floyda – jego nowy drugi oficer okazał się człowiekiem bardzo kompetentnym, ponadto nigdy nie wspominał o swoim sławnym dziadku, co zjednało mu przychylność kapitana – choć z drugiej strony mogło to mieć całkiem naturalne wyjaśnienie. Niewykluczone również, że pomylił się chromatograf, którego „węch” stępiły niekiedy inne substancje chemiczne o nietrwałych połączeniach molekularnych.

Mogli zejść do luku i otworzyć skrzynię choćby siłą. Nie byłoby to jednak bezpieczne, a często postępowanie takie wywoływało problemy prawne. Najlepiej więc zacząć od początku. Laplace wiedział, że i tak rozmowy tej nie uniknie.

– Proszę sprowadzić do mnie doktora Andersona... I niech pan nie wspomina o tym nikomu.

– Tak jest, sir – Chris Floyd zasalutował z szacunkiem, choć zupełnie niepotrzebnie, po czym wyszedł z kabiny jednym zręcznym ruchem.

Szef zespołu badawczego nie przyzwyczał się jeszcze do stanu nieważkości, toteż jego wejście wypadło dość niezdarnie. Miało w tym swój udział również jego nie skrywane i nie udawane oburzenie. Kilkakrotnie podczas rozmowy chwycił się krawędzi kapitańskiego biurka, co nie przydawało mu godności.

– Materiały wybuchowe! Co za absurd! Pozwoli pan, że rzucę okiem na list towarowy...

2/456...

Doktor Anderson wystukał numer ładunku na klawiaturze przenośnego komputera i po chwili odczytał wydruk: „Penetrometry Mark V, ilość: 3 sztuki”. Oczywiście! Nie rozumiem, o co tu chodzi?

– A czym dokładnie – zapytał kapitan Laplace – są te penetrometry? – Mimo powagi sprawy nie potrafił ukryć nieco perfidnego uśmiešku.

– Standardowe urządzenie do pobierania próbek planetarnych. Wyrzuca się je na powierzchnię badanego obiektu i jeśli szczęście sprzyja, można dostać próbkę nawet z głębokości dziesięciu metrów, choćby i ze skały. Następnie penetrometr przesyła pełną analizę chemiczną próbki. Dzięki temu urządzeniu można bezpiecznie badać takie miejsca jak dzienna strona Merkurego... albo Io, gdzie zresztą zrzucimy pierwszą sondę.

– Doktorze Anderson – zaczął kapitan starając się panować nad sobą – jest pan zapewne wybitnym geologiem, ale z przykrością stwierdzam, że nie ma pan pojęcia o mechanice gwiazdnej. Nie można ot tak, po prostu „wyrzucić” jakiegokolwiek przedmiotu z orbity... Oskarżenie o ignorancję okazało się bezpodstawne, o czym świadczyły kolejne słowa naukowca.

– Co za idioci! – wykrzyknął Anderson. – Oczywiście, powinni byli pana powiadomić!

– Dokładnie. Rakiety na paliwo stałe klasyfikuje się jako niebezpieczny ładunek. Żądam gwarancji od agenta ubezpieczeniowego oraz pańskiego zapewnienia na piśmie, że zastosowano odpowiednie systemy zabezpieczeń. W przeciwnym razie wyrzucę te skrzynie za burtę. Czy ma pan jeszcze w zanadrzu jakieś inne niespodzianki? Czy planuje pan prowadzenie badań sejsmicznych? O ile wiem, potrzebne są do nich materiały wybuchowe...

Kilka godzin później skruszony nieco naukowiec przyznał, że znalazł dwa pojemniki z fluorem w stanie wolnym. Pierwiastka tego używa się do napędzania laserów, którymi namierza się mijane ciała niebieskie z odległości tysięcy kilometrów w celu dokonania analizy spektrograficznej. Jako jedna z najbardziej niebezpiecznych substancji znanych człowiekowi, czysty fluor zajmował wysoką pozycję na liście prohibitów – ale podobnie jak rakiety, przenoszące penetrometry z orbity ku ich celom, miał duże znaczenie w badaniach prowadzonych podczas misji.

Gdy kapitan Laplace stwierdził z zadowoleniem, że przedsięwzięto wszelkie niezbędne środki ostrożności, przyjął przeprosiny Andersona wraz z wytłumaczeniem, że wszystkie przeoczenia wynikły z pośpiechu przy organizowaniu ekspedycji.

Był pewien, że naukowiec mówi prawdę, lecz nawet wtedy czuł, że coś jest nie w porządku. Jak bardzo „nie” – o tym przekonał się znacznie później.

### 23. Piekło

Przed implozją Jowisza jego księżyc Io ustępował tylko Wenus na liście najbardziej podobnych do piekła ciał Układu Słonecznego. Teraz, gdy temperatura na powierzchni Lucyfera wzrosła o kilkaset stopni, nawet Wenus nie mogła równać się z satelitą.

Siarkowe wulkany i gejzery znacznie zwiększyły swą aktywność, przekształcając geografię udręczonego księżycyca w okresach nie dłuższych niż dziesięciolecie. Planetolodzy zrezygnowali już z wykreślenia map Io i zadowalali się fotografowaniem jego powierzchni z orbity w kilkudniowych odstępach. Ze zdjęć tych powstawały budzące grozę filmy poklatkowe, których wspólny tytuł brzmiał *Na dnie Piekieł*.

Londyński Lloyd zażądał sporej składki ubezpieczeniowej za tę część misji, ale Io nie stanowił większego niebezpieczeństwa dla statku przelatującego nad nim w odległości co najmniej dziesięciu tysięcy kilometrów, a w dodatku nad stosunkowo spokojną nocną stroną.

Przypatrując się coraz bliższemu żółtopomarańczowemu globowi – chyba najbardziej jaskrawemu księżycowi w całym Układzie Słonecznym – drugi oficer Chris Floyd przypomniał sobie o dziadku, który przed półwieczem oglądał ten sam widok. Tutaj „Leonow” spotkał się z porzuconym „Discovery” i tu doktor Chandra obudził uspiętego Hala. Następnie obydwie statki poleciały zbadać olbrzymi czarny Monolit unoszący się w punkcie L1, wewnętrznym punkcie Lagrange'a pomiędzy Io a Jowiszem.

Teraz nie było już Monolitu, nie było również Jowisza. Minisłońce, powstałe po implozji gigantycznej planety, zmieniło cały system satelitarny w kolejny Układ Słoneczny, choć tylko na Europie i Ganimedesie utrzymywały się temperatury zbliżone do ziemskich. Nikt nie miał pojęcia, jak długo to wszystko potrwa. Szacunkowe oceny długości życia Lucyfera dawały mu jeszcze tysiąc, a nawet milion lat.

Zespół badawczy „Galaktyki” z żalem spoglądał na punkt L1, który stał się teraz nieosiągalny. Pomiędzy Jowiszem a Io - „lampą przepływową” – zawsze przetaczał się strumień energii elektrycznej, którego natężenie wraz z powstaniem Lucyfera wzrosło kilkaset razy. Czasem rzekę energii można było dostrzec gołym okiem – była żółtą poświatą zjonizowanego sodu.

Niektórzy specjaliści na Ganimedesie marzyli o wykorzystaniu tych marnujących się gigawatów, ale żaden spośród inżynierów nie miał pojęcia, jak tego dokonać.

Wystrzelono pierwszy penetrometr – czemu towarzyszyły wulgarne komentarze załogi – a po dwu godzinach próbnik wbił się jak igła w powierzchnię ropiejącego satelity. Działał przez całą pięć sekund, czyli dziesięć razy dłużej niż zakładano, przesyłając na statek tysiące pomiarów chemicznych, fizycznych i reologicznych, zanim Io odebrał mu głos.

Naukowcy popadli w ekstazę; van der Berg był tylko zadowolony. Spodziewał się, że próbnik nie zawiedzie; Io był niedorzecznie łatwym celem. Ale jeśli nie mylił się co do Europy - drugi penetrometr z pewnością nie zadziała.

Co zresztą niczego nie dowiedzie, sonda bowiem może ulec zniszczeniu z bardzo wielu różnych przyczyn. Jedynym wyjściem będzie wtedy lądowanie.

To zaś było oczywiście zabronione – nie tylko przez prawo ludzkie.

#### 24. Shaka Wielki

ASTROPOL – który wbrew bombastycznej nazwie miał niewiele do roboty poza Ziemią – nigdy nie potwierdził ani nie zaprzeczył, że Shaka naprawdę istnieje. Podobną opinię reprezentowały Stany Zjednoczone Afryki Południowej, a dyplomaci tego kraju wyrażali zdziwienie, nawet oburzenie, gdy ktoś nietaktowny wspomniał to imię.

Ale trzecie prawo Newtona ma zastosowanie również w polityce, podobnie jak we wszystkich innych dziedzinach. Bund miał swoich ekstremistów – chociaż starał się (bez entuzjazmu) wyeliminować ich z szeregów – którzy nieustannie spiskowali przeciwko południowoafrykańskiemu państwu. Ludzie ci uciekali się najczęściej do prób sabotażu handlowego, ale przeprowadzili też kilka zamachów bombowych i przyznawali się do uprowadzeń oraz zabójstw.

Nie trzeba chyba wyjaśniać, iż rząd południowoafrykański nie lekceważył tych działań. Zareagował w sposób właściwy wszystkim administracjom, tworząc własny oficjalny kontrwywiad o dość luźno sprecyzowanym zakresie obowiązków; Pretoria utrzymywała przy tym, że nic nie wie o Shace. Być może zastosowała przydatny wynalazek CIA – ”wiarygodne kłamstwo”. Niewykluczone zresztą, że mówiła prawdę.

Według jednej z teorii Shaka pojawił się jako hasło, a potem zaczął żyć własnym życiem, ponieważ okazał się przydatny najróżniejszym tajnym biurokracjom. Z pewnością wyjaśniałoby to fakt, iż żaden z członków tej organizacji nigdy nie zdradził ani nie został aresztowany. Istniało jeszcze jedno, nieco dalej idące wyjaśnienie owego fenomenu, odpowiadające szczególnie tym, którzy wierzyli, że Shaka jest prawdziwą ludzką istotą. Uważali oni, że wszyscy agenci Shaki zostali psychologicznie uwarunkowani: przed dostaniem się w ręce wroga popełniali samobójstwo.

Nikt nie miał pojęcia, jak jest naprawdę, i nikt nie traktował serio możliwości, że po upływie dwustu lat legendarny zuluski tyran może rzucić cień na światy, których istnienia nawet nie przeczuwał.

## 25. Świat za chmurami

W czasie dekady po implozji Jowisza – zwanej również Wielką Odwilżą ze względu na procesy zachodzące wówczas na jego satelitach – Europą się nie zajmowano. Potem jednak Chińczycy dokonali szybkiego przelotu wokół tego księżycy, badając radarem jego przesłoniętą chmurami powierzchnię w nadziei na zlokalizowanie wraka statku „Tsien”. Misja zakończyła się niepowodzeniem, ale dzięki niej powstała pierwsza mapa dziennej strony, ukazująca kontynenty odsłonięte po stopieniu się lodowej pokrywy.

Chińczycy odkryli także dwukilometrową, idealnie po linii prostej biegnącą nierówność, która wyglądała tak sztucznie, że nazwano ją Wielkim Murem. Ze względu na kształt i rozmiary obiektu zgodzono się, że jest to Monolit – czy raczej jeden z wielu monolitów, które potrafiły, jak wiadomo, powielić się miliony razy tuż przed powstaniem Lucyfera.

Spod wciąż gęstniejącej pokrywy chmur nie dotarł jednak do ludzi żaden sygnał czy znak wskazujący na istnienie jakiejś formy inteligencji. Kilka lat później umieszczono na orbicie stacjonarnej nad Europą kilka satelitów badawczych. Wypuszczone zostały również balony stratosferyczne, które miały badać kierunki wiatrów wiejących w jej atmosferze. Ziemsy meteorologowie tak bardzo interesowali się zjawiskami występującymi na Europie, ponieważ mając centralnie usytuowany ocean i nigdy nie zachodzące słońce, stanowiła przepięknie uproszczony model, nadający się do prezentowania w podręcznikach.

Tak oto rozpoczęła się gra, zwana „europejską ruletką”. Określenie to ukuli i chętnie stosowali przeróżni biurokraci, odpowiadając na liczne apele naukowców o zbliżenie się do satelity. Po pięćdziesięciu nie obfitujących w wydarzenia latach nazwa nieco się znudziła, a kapitan Laplace nie miał zamiaru nadawać jej nowego znaczenia, dlatego też ciągle domagał się od doktora Andersona zapewnień, że badania naukowe w najmniejszym stopniu nie naruszają obowiązujących przepisów.

– Osobiście nie uważałbym za dowód przyjaźni – tłumaczył szefowi naukowców – zrzucenie tony przebijającego wszystko sprzętu, i to poruszającego się z szybkością tysiąca kilometrów na godzinę. Dziwię się, że Rada Światowa wydała na to zgodę.

Doktor Anderson również był tym zdziwiony, choć może zmieniłby zdanie, gdyby wiedział, że projekt wyprawy był omawiany jako ostatni punkt z długiej listy problemów przedstawionych pewnego piątkowego popołudnia Podkomitetowi do Spraw Nauki. Z takich drobiazgów składa się historia.

– Zgadzam się z panem, kapitanie. Ale działamy zgodnie z planem, który narzuca nam wiele ograniczeń, tak że nie ma mowy o niepokojeniu mieszkańców Europy... kimkolwiek lub czymkolwiek oni są. Mierzymy w obiekt położony pięć kilometrów nad poziomem morza.

– Tak mi mówiono. Ale co was tak zaciekało w Górze Zeusa?

– Przede wszystkim tajemnica jej powstania. Jeszcze kilka lat temu nic tam nie było... a teraz! Sam pan rozumie, że taki fenomen doprowadza geologów do szaleństwa.

– I pański przyrząd dokona analizy składu chemicznego góry, wwierciwszy się w nią najpierw...

– Dokładnie tak. Ale – naprawdę nie powinienem panu tego mówić – proszono mnie o utajnienie wyników badań oraz zaszyfrowanie ich przed wysłaniem na Ziemię. Znosi się na to, że ktoś ma widoki na wielkie odkrycie i nie chce dać szansy konkurencji... Aż trudno uwierzyć, że naukowcy potrafią być tak zazdrośni o laury!

Kapitan Laplace mógł w to uwierzyć, ale nie powiedział o tym Andersonowi, który wydał mu się człowiekiem, ogólnie mówiąc, naiwnym. Coś działo się na statku – kapitan był przekonany, że misja „Galaktyki” ma swoje drugie dno – lecz Anderson wciąż pozostawał w stanie błogiej nieświadomości.

– W takim razie, doktorze, mogę tylko dać wyraz nadziei, że Europejczycy nie odkryli jeszcze emocji związanych ze wspinaczką wysokogórską. Nie chciałbym przerywać im prób wzbicia flagi w wierzchołek miejscowego Mount Everestu.

Gdy wystrzelono penetrometr, na pokładzie „Galaktyki” zapanowało dziwne podniecenie i nikt się nawet nie silił na żarty. Podczas długiego, dwugodzinnego lotu próbnika ku Europie niemal każdy członek załogi znajdował jakiś powód, by znaleźć się na mostku i rzucić okiem na przebieg operacji naprowadzania sondy. Piętnaście minut przed jej uderzeniem w cel kapitan Laplace zakazał wstępu na mostek wszystkim postronnym obserwatorom – z wyjątkiem nowej stewardesy, Rosie, odpowiedzialnej za dostawę tubek z wyborną kawą, bez której cała operacja byłaby nie do pomyślenia.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Tuż po wejściu sondy w atmosferę uruchomiono hamulce powietrzne, które zredukowały prędkość penetrometru do wymaganej w chwili uderzenia. Radarowy obraz celu – pozbawiony jakichkolwiek cech wyróżniających i nie dający wyobrażenia o skali – rósł wolno na ekranie. Gdy do zderzenia pozostała już tylko sekunda, wszystkie odbiorniki przełączyły się automatycznie na maksymalną szybkość rejestracji danych...

Ale nie było co rejestrować! – Teraz rozumiem – powiedział ze smutkiem w głosie doktor Anderson – jak czuli się pracownicy Laboratorium Napędów Odrzutowych, gdy ich pierwsze „Rangery” rozbijały się na Księżycu... ślepe, nieme i głuche.

## 26. Nocna wachta

Tylko czas jest uniwersalny. Dzień i noc są zaledwie osobliwościami, ciekawostkami spotykanymi na planetach, które dzięki łasce sił przyciągania wciąż mogą się obracać wokół własnej osi. Istoty ludzkie – bez względu na odległość dzielącą je od macierzystego globu – nie potrafią zmienić swego dobowego rytmu życia, ustanowionego przez cykl światła i ciemności. Pięć minut po pierwszej czasie uniwersalnego drugi oficer Chang tkwił samotnie na mostku, podczas gdy wszyscy na statku spali. W zasadzie Chang również mógłby się położyć, albowiem czujniki elektroniczne na „Galaktyce” potrafiły wykryć każdą usterkę bez jego pomocy. Ale jak

dowodły od stu lat prowadzone badania cybernetyczne, ludzie wciąż przewyższali maszyny w sytuacjach nieznanach, gdy konieczne stają się nierutynowe działania. Powszechnie zaś wiadomo, że nieznanne – zwłaszcza w kosmosie – nadchodzi prędzej czy później.

Gdzie moja kawa? – zastanawiał się poirytowany Chang. Przecież Rosie nigdy się nie spóźnia. Może padła ofiarą tej samej choroby, na którą cierpieli po niepowodzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin pozostali członkowie załogi i naukowcy?

Po fatalnym lądowaniu pierwszego penetrometru zorganizowano pośpiesznie konferencję, by ustalić dalsze działania. Naukowcy mieli tylko jeszcze jedną sondę, którą planowano wysłać na Kallisto, choć równie dobrze można było skorzystać z niej teraz.

– Lądowaliśmy już na Kallisto – przekonywał doktor Anderson – i wiemy, że nic tam nie ma oprócz różnych odmian spękanego lodu.

Nie podniósł się ani jeden głos sprzeciwu. Po dwunastu godzinach, przeznaczonych na wprowadzenie modyfikacji i na testy, penetrometr numer 3 został wystrzelony ku chmurom Europy. Próbnik miał uderzyć w to samo miejsce, w którym nie udało się wylądować poprzednikowi.

Tym razem odbiorniki na statku zarejestrowały pewną ilość danych – lecz transmisja trwała jedynie pół milisekundy. Miernik przyśpieszenia umieszczony w próbniku – odnotowujący przeciążenia do 20,000  $g$  – nadał jeden krótki impuls, po czym zabrakło mu skali. Reszta aparatury uległa zniszczeniu w czasie krótszym niż mgnienie oka.

Po drugiej, jeszcze posępniejszej stypie postanowiono zameldować o wszystkim na Ziemię i czekać dalszych instrukcji - na wysokiej orbicie nad Europą – przed wyruszeniem w kierunku Kallisto i księżyców zewnętrznych.

– Przepraszam za spóźnienie, sir – powiedziała Rose McCullen (jej nazwisko wcale nie wskazywało na to, że dziewczyna ma nieco ciemniejszy kolor skóry niż kawa, którą niosła) – ale chyba źle nastawiłam budzik.

– Mamy szczęście... – odparł z uśmiechem pełniący wachtę oficer – że to nie ty pilotujesz statek.

– Nie pojmuję, jak w ogóle można go pilotować. Jest taki skomplikowany!

– Nie aż tak, jak ci się wydaje – rzucił Chang. – Nie uczyli was podstaw pilotażu na kursie?



– No... tak. Ale niewiele z tego rozumiałam. Myliły mi się te wszystkie orbity, trajektorie i cała reszta.

Drugi oficer Chang był bardzo znudzony wachtą, dlatego postanowił wyświadczyć Rosie uprzejmość i nieco ją oświecić. Co prawda, dziewczyna nie była w jego typie, ale nie brakowało jej urody; mały wysiłek może zaprocentować w przyszłości. Nie przyszło mu do głowy, że Rosie – po wykonaniu swego zadania – chce się zapewne położyć.

Dwadzieścia minut później drugi oficer Chang wskazał na konsolę nawigacyjną i zakończył długą przemowę:

– Widzisz więc, że wszystko odbywa się niemal automatycznie. Wystarczy, jeśli wystukasz na klawiaturze kilka cyfr, a statek zajmie się resztą.

Rose była bardzo zmęczona i zerkała ukradkiem na zegarek.

– Przepraszam – powiedział zatroskany nagle Chang. – Nie powinienem cię zatrzymywać.

– Och, nie... To wszystko jest bardzo interesujące. Proszę mówić dalej.

– Ależ nie! Może innym razem. Dobranoc, Rosie, i dzięki za kawę.

– Dobranoc, sir.

Stewardesa trzeciej klasy Rose McCullen odplynęła (niezbyt wprawnie) ku otwartym drzwiom. Chang nawet nie spojrzał za nią, gdy usłyszał, jak je zamyka.

Kilka sekund później przeżył prawdziwy szok, słysząc za sobą nieznanego kobiecego głos.

– Panie Chang, proszę z łaski swojej nie dotykać przycisku alarmu... Jest wyłączony. Oto koordynaty lądowania. Sprowadzi pan statek na dół.

Powoli – zastanawiając się przy tym, czy to nie koszmarny sen – Chang odwrócił się wraz z fotelem.

Osoba, którą była – jak mniemał – Rose McCullen, unosiła się przy owalnym luku trzymając rękę na dźwigni zamykającej drzwi. Wyglądała teraz zupełnie inaczej; w jednej sekundzie zamienili się rolami. Nieśmiała stewardesa, która nigdy dotąd nie patrzyła wprost na niego, spoglądała na Changę twardo i bezlitośnie. Poczul się jak królik hipnotyzowany przez węży. Mały, ale przecież śmiertelny pistolet, który trzymała w wolnej ręce, wydał mu się niepotrzebną ozdobą. Chang nie miał wątpliwości, że mogłaby go zabić nawet bez broni. Jego dobre imię i honor zawodowy nie pozwalały mu jednak poddać się bez walki. Chciał też zyskać na czasie.

– Rosie... – zaczął, a jego wargi z trudem wymówiły to niestosowne teraz imię. – To chyba jakiś żart! To, o czym mówiłem przed chwilą, to nieprawda! Nie mogę sam sprowadzić statku do lądowania. Obliczenie właściwej orbity zajęłoby mi wiele godzin, a poza tym potrzebowałbym kogoś do pomocy. Drugiego pilota...

Pistolet nawet nie drgnął.

– Nie rób ze mnie idiotki, Chang. Ten statek nie jest limitowany energią, jak stare rakiety chemiczne. Europa oddala się od nas z prędkością zaledwie trzech kilometrów na sekundę. Uczono cię przecież, jak lądować awaryjnie, bez pomocy komputera! Teraz możesz wykorzystać swoją wiedzę w praktyce: okno optymalnego lądowania zgodnie z koordynatami, które ci dałam, otwiera się za pięć minut.

– Awaryjne lądowania bez komputera – rzucił Chang, pocąc się obficie – w dwudziestu pięciu procentach przypadków kończą się katastrofą! – Prawdziwa liczba wynosiła dziesięć procent, ale w tych okolicznościach przesada była usprawiedliwiona. – Poza tym nie ćwiczyłem tego od lat.

– W takim razie – odparła Rose McCullen – będę musiała cię zabić i poprosić kapitana o przysłanie mi kogoś o wyższych kwalifikacjach. Szkoda, bo nie zdążymy na to okno i przyjdzie nam czekać kilka godzin na następne. Zostały cztery minuty.

Drugi oficer Chang wiedział już, że został pokonany; ale przynajmniej usiłował zachować honor.

– Podaj mi te koordynaty.

## 27. Rosie

Kapitan Laplace obudził się natychmiast po pierwszych delikatnych korektach silników kontroli ustawienia – co brzmiało jak odgłos uderzeń dzięcioła w drzewo. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie śni. Nie, statek z całą pewnością obracał się zmieniając położenie!

Może osłony termiczne „Galaktyki” za bardzo się rozgrzały z jednej strony i system nadzoru temperatury wprowadzał minimalne poprawki? Takie rzeczy zdarzały się czasem i były plamą na honorze oficera pełniącego służbę, który powinien wcześniej dostrzec zbliżanie się do progu tolerancji termicznej.

Laplace sięgnął do guzika interkomu. Kto dziś ma wachtę? Aha, na mostku jest Chang. Lecz dłoń kapitana nie dokończyła ruchu.

Po wielu dniach w stanie nieważkości nawet jedna dziesiąta normalnego ciężenia może okazać się szokiem. Kapitanowi zdawało się, że upłynęły minuty – choć nie minęło więcej niż kilka sekund – zanim uporał się z rozpięciem pasów przytrzymujących pościel i potem wstał z koi. Tym razem trafił w guzik. Rozgniewany, nie zdejmował z niego palca. Nikt się jednak nie zgłaszał. Nie zwracał uwagi na zderzenia z nie zabezpieczonymi przedmiotami, poruszonymi powrotem grawitacji. Wszystkie rzeczy zaczęły opadać, choć trwało to bardzo długo. Ale najdziwniejszy był przytłumiony, daleki odgłos silników pracujących pełną mocą. Gwałtownym ruchem odsłonił maleńkie okno kabiny i spojrzął na gwiazdy. Wiedział mniej więcej, w którą stronę powinna być skierowana oś statku. Lecz nawet jeśli pomylił się o trzydzieści albo i czterdzieści stopni, to, co działo się za oknem, nie mieściło się w granicach błędu.

Ktoś sterował „Galaktyką” w taki sposób, by przyspieszyć lub zwolnić jej prędkość orbitalną. Nie ulegało wątpliwości, że statek zaczyna zwalniać, a to może oznaczać tylko jedno: przygotowanie do lądowania na Europie!

Usłyszał natarczywy łomot w drzwi. Zdał sobie sprawę, że nie minęła więcej niż minuta, odkąd zerwał się z łóżka. W wąskim korytarzu ujrzał drugiego oficera Floyda i tłoczących się za nim innych członków załogi.

– Mostek jest zamknięty od wewnątrz, sir – zameldował Floyd, z trudem łapiąc oddech. – Nie możemy się tam dostać, a Chang nie odpowiada. Nie wiemy, co się stało.

– Obawiam się, że najgorsze – odparł Laplace, nakładając szorty. – Wiedziałem, że prędzej czy później jakiś szaleniec spróbuje tego dokonać. Statek został uprowadzony i nawet wiem, dokąd. Ale niech mnie cholera, jeśli wiem, dlaczego.

Spojrzął na zegarek i zrobił parę szybkich obliczeń w pamięci.

– Przy takim ciągu zejdziemy z orbity w piętnaście minut, powiedzmy, dziesięć... dla bezpieczeństwa. To zresztą nieistotne. Czy możemy odciąć napęd bez narażania statku?

Drugi mechanik Yu miał bardzo nieszczęśliwą minę, udzielając odpowiedzi:

– Możemy uruchomić przerywacze obwodów w liniach silników pomp. Odetniemy w ten sposób dopływ paliwa.

– Jak się do nich dostać?

– Z pokładu trzeciego.

– W takim razie idziemy.

– To nie takie proste, sir. Włączy się niezależny system wspomagania. Dla bezpieczeństwa został umieszczony w zamkniętej na trwałe grodzi na pokładzie piątym. Musimy przerwać jego obwód, ale to niemożliwe w ciągu dziesięciu minut.

Kapitan Laplace obawiał się tego. Prawdziwi geniusze, którzy zaprojektowali „Galaktykę”, zabezpieczyli statek na wszelkie sposoby. Zapomnieli jedynie o systemach chroniących przed ludzką złą wolą.

– Czy mamy jakieś inne wyjście?

– Obawiam się, że nie... Przynajmniej nie w tak krótkim czasie.

– W takim razie pójdziemy na mostek i zobaczymy, czy uda się nam porozmawiać z Changiem... i z porywaczem.

Kim jest ten człowiek? – zastanawiał się Laplace. Niemożliwe, żeby to był ktoś ze stałych członków załogi. Jeśli więc wykluczy swoich ludzi... Tak, odpowiedź ma jak na dłoni! Mógł to przewidzieć. Szalony, obłąkany badacz, który chce udowodnić jakąś teorię. Nie powiodły się dwa eksperymenty. Facet decyduje, że dobro nauki jest ważniejsze od wszystkiego.

Scenariusz za bardzo przypominał tandetny melodramat o psychopatycznych naukowcach, idealnie natomiast pasował do sytuacji. Czyżby doktor Anderson doszedł do wniosku, że jest to jedyny sposób na otrzymanie Nobla?

Owa teoria szybko legła w gruzach, gdy pojawił się zdyszany i rozchełstany geolog.

– Wielkie nieba, kapitanie, co się dzieje? Lecimy pełnym ciągiem! Odlatujemy, czy... schodzimy w dół?

– W dół – odparł Laplace. – Mniej więcej za dziesięć minut znajdziemy się na orbicie przecinającej trajektorię Europy. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wyrazić nadzieję, że osoba pilotująca statek wie, co robi.

Stanęli przed zamkniętymi drzwiami na mostek. Po drugiej stronie panowała cisza.

Laplace zastukał z całej siły.

– Mówi kapitan! Proszę mnie wpuścić do środka!

Czuł się głupio, wydając rozkaz, który z pewnością będzie zignorowany, lecz miał nadzieję na jakąś reakcję. I rzeczywiście, tak się stało.

Zewnętrzny głośnik zasyczał, budząc się do życia, i przemówił: – Niech pan nie próbuje żadnych sztuczek, kapitanie. Mam pistolet, a pan Chang był uprzejmy zastosować się do moich poleceń.

– Kto to? – szepnął jeden z oficerów. – Wydawało mi się, że słyszę kobietę!

– Nie mylisz się, chłopcze – odparł ponuro kapitan. Liczba podejrzanych gwałtownie się zmniejszyła, co zresztą w niczym nie poprawiało sytuacji.

– Co zamierzasz zrobić? Wiesz przecież, że nie ujdzie ci to na sucho! – krzyknął, starając się, by jego głos zabrzmiał władczo, a nie błagalnie.

– Łądujemy na Europie. A jeśli chcecie stamtąd wystartować, to nie próbujcie mi przeszkadzać.

– Jej pokój jest pusty – zameldował drugi oficer Chris Floyd pół godziny później. Napęd już nie działał, a „Galaktyka” opadała wzdłuż elipsy, która niebawem zetknie się z atmosferą Europy.

Ich los był już przesądzony; co prawda mogli teraz uruchomić silniki, ale w tej sytuacji równałoby się to samobójstwu. Silniki będą potrzebne podczas lądowania – które zresztą może okazać się bardziej wymyślną formą samobójstwa.

– Rosie McCullen! Kto by pomyślał! Sądzi pan, że jest pod wpływem narkotyków?

– Nie – odparł Floyd. – Wszystko zostało bardzo starannie zaplanowane. Musi mieć gdzieś na statku ukryte radio. Powinniśmy go poszukać.

– Mówisz jak cholerny gliniarz – odezwał się jeden z oficerów.

– Wystarczy, panowie – przerwał kapitan. Nerwy niektórych zawodziły, przede wszystkim z powodu zwykłej frustracji spowodowanej niepowodzeniem w nawiązaniu kontaktów z zabarykadowanym mostkiem. Laplace spojrział na zegarek.

– Za niecałe dwie godziny wejdziemy w atmosferę, a właściwie jej załazek. Będę u siebie... to na wypadek, gdyby zechcieli się ze mną skontaktować. Panie Yu, proszę pozostać przy mostku i meldować mi o wszystkim, co się tam dzieje.

Kapitan nigdy przedtem nie czuł się tak bezradny. Cóż, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać. Wychodząc z oficerskiej mesy, usłyszał czyjś szept: – Wypiłbym kawę. Rosie przyrządziła najlepszą kawę pod słońcem.

– Tak – pomyślał zaszepiony kapitan – z pewnością jest wszechstronna. Bez względu na to, co robi, zawsze wykonuje to dokładnie.

## 28. Rozmowa

Na pokładzie „Galaktyki” był tylko jeden człowiek, dla którego lądowanie na Europie nie stanowiło katastrofy. Możliwe, że umrę – myślał Rolf van der Berg – ale przynajmniej zasłużę sobie na naukową nieśmiertelność. Marna to była pociecha, ale nikt inny na statku nie mógł żywić nadziei na więcej.

Ani przez chwilę nie wątpił, że „Galaktyka” kieruje się ku Górze Zeusa; na Europie nie było żadnego innego obiektu, który mógłby wzbudzić czyjeś zainteresowanie. Góra z kolei była jedynym swego rodzaju fenomenem, czymś, czego nie znajdzie się na żadnej innej planecie. Jego teoria – sam przyznawał, że wciąż była to jedynie teoria – musiała wyjść na jaw. Ale gdzie nastąpił przeciek?

Wujowi Paulowi wierzył bezgranicznie, ale starszy pan mógł przecież dopuścić się niedyskrecji. Bardziej prawdopodobne jednak wydaje się, że ktoś monitorował jego komputer podczas wrywkowej i rutynowej kontroli sieci. Jeśli tak, to wujowi groziło niebezpieczeństwo. Rolf zastanawiał się, czy zdoła – i czy powinien – go ostrzec. Wiedział, że oficer łącznościowy próbuje nawiązać kontakt z Ganimesem za pomocą jednego z awaryjnych nadajników. Automatyczna radiowa latarnia alarmowa zakończyła przed godziną przekazywanie sygnałów, które w tej chwili powinny być już na Ziemi.

– Proszę wejść – rzucił, słysząc ciche pukanie do drzwi. – Och, Chris. Co mogę dla pana zrobić? Był zaskoczony wizytą drugiego oficera Chrisa Floyda, którego znał równie słabo, jak i resztę jego kolegów. Jeśli wylądujemy bezpiecznie na Europie – pomyślał smętnie – poznamy się aż za dobrze.

– Witam, doktorze. Jest pan jedyną osobą w pobliżu, która może mi pomóc.

– Nie wiem, jak w tej sytuacji możemy sobie nawzajem pomagać, ale z chęcią... Czy są jakieś wieści z mostka?

– Nie. Zostawiłem tam Yu i Gillingsa, którzy próbują zainstalować mikrofon na drzwiach. Ale zdaje się, że wewnątrz panuje cisza. Co zresztą nie powinno dziwić: Chang ma pełne ręce roboty.

– Czy on potrafi bezpiecznie posadzić statek?

– Jest najlepszy. Jeśli jemu się nie uda, to nikt inny nie potrafi tego zrobić. Bardziej martwi mnie start.

– Boże, nie wybiegam myślami aż tak daleko. Co nam zagraża?

– W zasadzie nie powinniśmy mieć problemów, ale nie wolno zapominać, że nasz statek jest zaprojektowany do operacji orbitalnych. Nie planowaliśmy lądowania na żadnym większym księżycu, chociaż mieliśmy nadzieję na spotkanie z Ananke i Carme. Możemy więc ugrzęznąć na Europie. Zwłaszcza jeśli Chang będzie musiał marnować paliwo szukając miejsca do lądowania.

– Czy wiemy już, gdzie będzie lądował? – zapytał Rolf, próbując ukryć zainteresowanie. Nie potrafił jednak udawać, bo Chris spojrzał na niego uważnie.

– Teraz jeszcze nie można tego stwierdzić. Możliwe, że poznamy nasz cel, kiedy zacznie hamować. Pan, zdaje się, zna te księżyce... Gdzie by pan wylądował, będąc na jego miejscu?

– Na Europie jest tylko jedno ciekawe miejsce – Góra Zeusa.

– Dlaczego?

Rolf wzruszył ramionami. – Sam chciałbym to wiedzieć. Niestety, próba wyjaśnienia tajemnicy tego szczytu kosztowała nas już dwa bardzo drogie penetrometry.

– Taa... I zdaje się, że nie jest to ostatnia cena, jaką zapłacimy. Ma pan jakieś pomysły?

– Pyta pan jak gliniarz – odparł van der Berg nie całkiem poważnie.

– Zabawne... Jest pan drugą osobą, która w ciągu godziny mówi mi to samo.

W atmosferze kabiny nastąpiła subtelna zmiana, jakby system podtrzymywania życia dokonał jakichś korekt.

– Och, żartowałem. A jest pan gliniarzem?

– Gdybym był, nie przyznałbym się do tego, prawda?

To żadna odpowiedź – pomyślał van der Berg; chociaż z drugiej strony...

Spojrzał przenikliwie na młodego oficera, zauważając – nie po raz pierwszy zresztą – jego uderzające podobieństwo do słynnego dziadka. Ktoś wspominał, zdaje się, że Chris Floyd trafił na „Galaktykę” przez przypadek, normalnie bowiem latał na innym statku flotyli Tsunga. Ta sama osoba dodała sarkastycznie, że nawet w tym interesie dobrze jest mieć znajomości na górze. Nikt jednak nie kwestionował umiejętności Floyda – prawdziwego mistrza w swoim

zawodzie. A może i w innych... - pomyślał Rolf. Wystarczy przyjrzeć się Rosie McCullen – ona również, podobnie jak drugi oficer Floyd, znalazła się na „Galaktyce” tuż przed misją.

Van der Berg poczuł, że zaplątał się w sieci jakiejś potężnej międzyplanetarnej intrygi. Jako naukowiec, nawykły do otrzymywania prostych odpowiedzi na pytania zadawane naturze, nie był zadowolony z tej sytuacji.

Ale nie mógł przecież twierdzić, że on sam jest niewinną ofiarą. Miał przecież wiele do ukrycia... ba, ukrył prawdę! Przynajmniej to, co prawdą mu się wydawało. Konsekwencje tego oszustwa mnożyły się niczym neutrony w reakcji łańcuchowej i kto wie, czy rezultaty nie okażą się równie katastrofalne, jak sam wybuch.

Po której stronie znajdował się Chris Floyd? Ile było tych stron? Jeśli sekret wyszedł na jaw, z pewnością macza w tym palce Bund. Lecz w samym Bundzie również działało wiele grup i przeciwstawnych im frakcji... Istny gabinet luster.

Miał pewność co do jednego: Floydowi można zaufać, choćby ze względu na jego powiązania. Założę się o wszystko – myślał van der Berg – że pracuje dla ASTROPOLU. Przynajmniej w czasie tej misji, która trwać będzie nie wiadomo jak długo...

– Chciałbym panu dopomóc, Chris – powiedział wolno. – Jak słusznie się pan domyśla, mam pewną teorię. Ale na razie nieweryfikowalną i zapewne bzdurną... Za niecałe pół godziny poznamy prawdę. Dlatego nic więcej teraz wolę nie mówić.

– I to nie dlatego – dodał w myślach – że odziedziczyłem po przodkach burski upór.

Jeśli się pomylił, wołałby nie umierać wśród ludzi, którzy by wiedzieli, że przez niego spotyka ich śmierć.

## 29. Niżej

Drugi oficer Chang głowił się nad tym od chwili, gdy „Galaktyka” szczęśliwie – ku jego zaskoczeniu i ogromnej uldze - dotarła na orbitę transferową. Przez następne kilka godzin losy statku pozostawały w rękach Boga i sir Isaaka Newtona; nie mógł zrobić nic innego, jak tylko czekać na końcowe hamowanie i manewr lądowania.

Przyszło mu do głowy, by oszukać Rose i zmienić kierunek lotu przy największym dopuszczalnym zbliżeniu z Europą, dzięki czemu statek otarłby się jedynie o atmosferę, odbił od niej i poleciał w kosmos, gdzie na stałej orbicie mogliby zaczekać na misję ratowniczą z



Ganimedesa. Plan ów miał jednak słabą stronę: Chang z pewnością nie dożyłby momentu przybycia odsieczy. Nie był tchórzem, ale nie chciał też pośmiertnie zostawać bohaterem lotów kosmicznych. Jego szansa na przeżycie następnej godziny była minimalna. Polecono mu sprowadzić na dół – samemu! – trzy tysiące ton żelastwa i posadzić w nieznanym terenie. Nie odważyłby się na coś takiego nawet na świetnie znanym mu Księżycu!

– Ile minut do rozpoczęcia hamowania? – spytała Rosie. Zabrzmiało to raczej jak rozkaz niż pytanie; dziewczyna z pewnością znała podstawy astronawigacji; Chang więc musiał porzucić myśl o próbie jej oszukania.

– Pięć – odparł niechętnie. – Czy mogę ostrzec załogę?

– Ja to zrobię. Daj mi mikrofon... TU MOSTEK. ZA PIĘĆ MINUT ROZPOCZYNAMY HAMOWANIE. POWTARZAM: PIĘĆ MINUT. BEZ ODBIORU.

Zgromadzeni w mesie naukowcy i członkowie załogi spodziewali się takiego komunikatu.

Przynajmniej pod jednym względem mieli szczęście: nie zostały wyłączone zewnętrzne kamery telewizyjne. Może Rose zapomniała o nich? Chyba jednak nie zwracała sobie tym głowy. Mogli więc teraz – zupełnie bezradni – przyglądać się czekającemu na nich miejscu przeznaczenia.

Kamery umieszczone w tylnej części statku pokazywały przesłonięty chmurami półksiężyc Europy. Gruba pokrywa pary wodnej, kondensującej się przy powrocie na nocną stronę, wydawała się szczelna i nieprzenikniona – przynajmniej z tej wysokości. Nie miało to zresztą większego znaczenia, ponieważ lądowaniem, aż do ostatniej chwili, będzie sterował radar.

Pogłębiało to jednak udrękę obserwatorów, którzy musieli polegać wyłącznie na tym, co uda im się zobaczyć na zewnątrz.

Nikt nie wpatrywał się uporczywiej w Europę aniżeli człowiek, który badał ją zapamiętane i bez powodzenia niemal od dziesięciu lat. Rolf van der Berg, usadowiony w jednym z niewygodnych niskociężeniowych foteli z luźno zapiętym pasem bezpieczeństwa, niemal przeoczył powrót grawitacji w chwili rozpoczęcia hamowania.

Po upływie pięciu sekund włączono pełny ciąg. Wszyscy oficerowie wyliczali coś gorliwie na przenośnych komputerach; nie mając dostępu do sterowni, wiele danych opierali na domysłach, jednakże kapitan Laplace czekał na efekt ich wspólnej pracy.

– Jedenaście minut – oznajmił dowódca. – Zakładając, że nie zmniejszy maksymalnego ciągu i zatrzyma się na wysokości dziesięciu kilometrów, tuż nad chmurami, po czym zejdzie w dół. Zajmie to kolejne pięć minut.

Nie musiał dodawać, że ostatnie sekundy owych pięciu minut będą najbardziej krytyczne.

Europa strzegła swych tajemnic do samego końca. Gdy „Galaktyka” wisiała nieruchomo nad chmurami, nic nie wskazywało, iż poniżej znajduje się jakiś ląd czy morze. Potem, przez kilka pełnych napięcia sekund, ekrany wypełniła biel. Od czasu do czasu wyłaniały się z niej fragmenty wysuniętego, nader rzadko używanego podwozia lądowiczego. Hałas towarzyszący jego uruchamianiu spowodował przed kilkoma minutami wybuch paniki wśród pasażerów. Teraz pozostawało tylko mieć nadzieję, że odegra ono swoją rolę bezbłędnie.

Jaką grubość mogą mieć te cholerne chmury? – pytał sam siebie van der Berg. Czyżby sięgały aż do samego dołu?

Nie, przejaśniało się, warstwa chmur stawała się coraz cieńsza, zamieniała się w obłoki i strzępy mgieł – a pod nimi rozciągała się Nowa Europa, odległa jedynie o kilka tysięcy metrów.

Naprawdę była nowa; nie trzeba być geologiem, żeby to widzieć. Może przed czterema miliardami lat podobnie wyglądała Ziemia, w swoim okresie niemowlęctwa, kiedy morza i lądy dopiero zaczynały walkę trwającą między nimi do dziś.

Tutaj jeszcze przed pięćdziesięciu laty nie było ani lądów, ani mórz – był tylko lód. Teraz stopił się na półkuli skierowanej w stronę Lucyfera, woda wyparowała, by zamienić się w wieczną zmarzlinę po nocnej stronie Europy. Przemieszczenie się miliardów ton płynu z jednej półkuli na drugą odsłoniło fragmenty pradawnego morskiego dna, gdzie wcześniej nie docierał słaby blask odległego Słońca.

Jałowy teraz krajobraz zmieni się może kiedyś za sprawą roślinności. Obecnie ukazywał tylko nagie pola zakrzepłej lawy i parujące z lekka błotniste równiny, nad którymi wznosiły się tu i tam skalne wyrzyszenia o dziwnie przebiegających, skośnych warstwach. Z pewnością przewaliły się tu potężne wstrząsy tektoniczne, co nie powinno dziwić choćby w zestawieniu z faktem niedawnego powstania góry dorównującej Everestowi.

Ale oto i ona – wyrasta ponad nienaturalnie bliskim horyzontem. Rolf van der Berg poczuł ucisk w piersiach i przebiegające przez plecy fale dreszczy. Nie potrzebował już żadnych instrumentów. Własnymi oczyma patrzył na górę swoich marzeń.

Wiedział doskonale, że kształtem przypomina z grubsza czworościan pochylony w ten sposób, iż jedna z płaszczyzn jest niemal pionowa. (Prawdziwe wyzwanie dla amatorów wspinaczki – nawet przy tak niskiej grawitacji. Ciekawe, jak by sobie poradzili nie mogąc wbić haków?) Wierzchołek przesłaniały chmury, a większą część niezbyt stromego stoku skierowanego w ich stronę pokrywał śnieg.

– Czy to przez tę górę powstało całe zamieszanie? – mruknął jakiś zde gustowany obserwator. – Wygląda całkiem normalnie. Widziałem mnóstwo takich gór... – Nie zdołał dokończyć, uciszony gniewnymi syknięciami.

„Galaktyka” powoli płynęła w kierunku Góry Zeusa, a Chang szukał odpowiedniego miejsca do lądowania. Statek miał bardzo małą sterowność w poziomie, jako że dziewięćdziesiąt procent głównego ciągu przeznaczano na podtrzymywanie go w pionie. Mieli dosyć paliwa, by unosić się w miejscu może przez pięć minut; nawet potem będzie można jeszcze bezpiecznie wylądować, lecz „Galaktyka” nigdy już nie wystartuje.

Neil Armstrong prawie sto lat temu stanął wobec podobnego dylematu. Jednakże nie pilotował statku z pistoletem przystawionym do głowy.

Przez kilka ostatnich minut Chang zupełnie nie zwracał uwagi ani na pistolet, ani na Rosie. Skoncentrował się na zadaniu, które miał przed sobą, stał się częścią wielkiej maszyny wykonującej manewr lądowania. Jedynym uczuciem, które mu towarzyszyło, nie był strach, lecz uniesienie. Tak, właśnie do tego przygotowywał się przez całe życie... Osiągnął punkt szczytowy swojej kariery – nawet jeśli miałby to być zarazem jej koniec.

Koniec, który zbliżał się nieuchronnie. Podstawa góry znajdowała się niecały kilometr od statku, a Chang wciąż nie znalazł lądowiska. Cały teren poniżej wydawał się potwornie zdeformowany, poprzecinany kanionami i zarzucony olbrzymimi głazami. Nie udało mu się wypatrzeć ani jednego płaskiego miejsca, które byłoby większe od tenisowego kortu – a czerwona kreska wskazująca ilość paliwa osiągnie kres drogi za trzydzieści sekund.

Jest! W końcu dostrzegł gładką powierzchnię – najbardziej płaską z tych, które widział. Teraz albo nigdy! Nie miał czasu na dalsze poszukiwania.

Delikatnie pchnął gigantyczny, rozedrgany cylinder statku w stronę poziomego skrawka ziemi. Chyba leży na nim śnieg? Tak, na pewno. Odrzut silników podnosi tumany śniegu. Ale co jest

pod nim? Wygląda jak lód, jak zamrożone jezioro. Ale jak ten lód jest gruby?! JAK GRUBY

...

Pięciusettonowe uderzenie głównych silników „Galaktyki” spadło na zdradliwie płaską powierzchnię. Pojawił się na niej wzór promienistych linii. Lód zaczął pękać, odłamy kry przewracały się na boki, tonęły i znów pojawiały na wodzie, która nagle zaczęła wrzeć w koncentrycznych falach wyrzucanych na zewnątrz wściekłymi ciosami napędu dmuchającego w odkrytą powierzchnię jeziora.

Chang zareagował automatycznie, nie wahając się ani chwili. Zrobił to, co należało. Postąpił tak, jak powinien każdy na jego miejscu. Lewą ręką wyrwał zatyczkę zabezpieczającą zamek. Prawą chwycił czerwoną dźwignię i przesunął do pozycji otwartej.

Program ABORT, uśpiony od chwili powstania „Galaktyki”, przejął kontrolę nad statkiem i wystrzelił go ku niebu.

### 30. Lądowanie „Galaktyki”

Nagły powrót pełnego ciągu przyjęto w oficerskiej mesie jak zawieszenie wykonania egzekucji. Przerażeni członkowie załogi widzieli łamiący się lód w miejscu lądowania i zdawali sobie sprawę, że jest tylko jedna droga ucieczki. Gdy Chang zrobił to, co powinien, pozwolili sobie na luksus zaczerpnięcia głębokiego oddechu.

Kto wie, ile jeszcze oddechów mają przed sobą? Tylko Chang mógłby im powiedzieć, czy na statku jest dość paliwa, by znaleźć się na stałej orbicie. Lecz nawet gdyby tak się stało – rozmyślał ponuro Laplace – maniaczka z pistoletem może zarządzić ponowne lądowanie. Miał zresztą pewność, że McCullen nie była prawdziwą wariatką; doskonale wiedziała, co robi.

Nagle poczuli zmianę ciągu:

– Silnik numer cztery odłączony – zameldował jeden z mechaników. – Nic dziwnego, chyba się przegrzał. Za długo pracował przy takim obciążeniu.

Oczywiście nie dało się wyczuć zmiany kierunku lotu – zmniejszony ciąg nadal działał wzdłuż osi statku – lecz obraz na ekranach monitorów gwałtownie pochylił się i zadrzał. „Galaktyka” ciągle wznosiła się ku niebu, ale nie w pionie. Stała się rakieta balistyczną, pędzącą ku nieznanemu celowi na Europie.

Ciąg zmienił się ponownie; na monitorach horyzont powrócił na właściwe miejsce.

– Wyłączył przeciwny silnik... Świetny chłopak! Wyprostował statek, ale czy utrzyma wysokość?

Obserwujący wydarzenia w milczeniu naukowcy nie bardzo rozumieli, co się dzieje. Na ekranach monitorów nic nie było widać – horyzont przesłoniła biała mgła.

– Zrzuca paliwo... zmniejsza ciężar statku!

Ciąg spadł do zera. Statek zaczął swobodnie opadać. Po kilku sekundach przebił się przez grubą chmurę kryształków lodu powstałą po zrzuceniu paliwa. Poniżej ujrzeli zbliżającą się w leniwym tempie jednej ósmej przyspieszenia grawitacyjnego powierzchnię głównego morza Europy. Chang nie musiał już wybierać lądowiska. Od tej chwili zaczęły działać standardowe procedury wodowania, znane wszystkim miłośnikom gier komputerowych na Ziemi.

Jedynym zadaniem pilota jest utrzymywanie równowagi pomiędzy ciągiem a ciężeniem, tak by opadający statek miał zerową prędkość na zerowej wysokości. Rzecz jasna dopuszczało się pewien margines błędu, ale nie za duży, nawet przy wodowaniach, które tak lubili pierwsi amerykańscy astronauty - i które tak niechętnie naśladował teraz Chang. Jeśli popełni błąd – a po tylu godzinach pełnych napięcia nikt nie mógłby go za to winić – nigdy już nie usłyszy zatroskanego głosu domowego komputera: „Szkoda, rozbiłeś się. Chcesz spróbować jeszcze raz? TAK/NIE. ...”

Drugi oficer Yu i jego dwaj towarzysze, czekający z przygotowaną naprędce bronią przed zamkniętymi drzwiami na mostek, mieli bardzo trudne zadanie. W korytarzu nie było monitorów informujących, co się dzieje, musieli więc polegać wyłącznie na wiadomościach przekazywanych z mesy. Mikrofon, który zainstalowali na drzwiach, nie na wiele się przydał. Chang i McCullen nie mieli czasu ani chęci na rozmowy.

Lądowanie wypadło wspaniale, statek nawet nie szarpnął. „Galaktyka” opadła kilka metrów pod wodę, a potem się wynurzyła, płynąc pionowo i bez przechyłów – dzięki ciężarowi silników. Dopiero wtedy strażnicy usłyszeli pierwsze słowa z mostka.

– Jesteś obłąkana, Rosie – powiedział Chang tonem wyrażającym raczej wyczerpanie niż gniew.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolona. Zabiłaś nas wszystkich.

Rozległ się jeden wystrzał, a potem zapadła cisza.

Yu i jego koledzy czekali cierpliwie, wiedząc, że coś się wkrótce wydarzy. Usłyszeli otwieranie zamka i mocniej ścisnęli metalowe rurki i łomy służące im za broń. McCullen może zabić jednego, ale z pewnością nie wszystkich.

Drzwi otworzyły się bardzo powoli.

– Wybaczcie – powiedział drugi oficer Chang. – Chyba na moment zemdlałem...

Po czym, jak każdy rozsądny człowiek, zemdlał ponownie.

### 31. Morze Galilejskie

Nie pojmuję, jak można z własnej woli zostać lekarzem – zastanawiał się kapitan Laplace. – Albo grabarzem, jeśli już o tym mowa. Fatalne profesje... Bardzo przykre obowiązki.

– Znaleźliście coś?

– Nie, kapitanie. Oczywiście nie mam odpowiedniego sprzętu. Obecnie stosuje się implanty, które... o ile mi wiadomo... można wykryć tylko za pomocą mikroskopu. Z tym że urządzenia te mają bardzo mały zasięg.

– Może gdzieś na statku jest jakiś przekaźnik? Floyd sugerował poszukiwania. Zdjął pan odciski palców? Zabezpieczył pan wszystko, co pomoże ustalić jej tożsamość?

– Tak... Przekażemy to na Ganimedesa, gdy nawiążemy kontakt. Wątpię jednak, czy dowiemy się, kim była Rosie i dla kogo pracowała. I dlaczego, na Boga, zrobiła to wszystko!

– Wykazała przynajmniej jakieś ludzkie instynkty – powiedział zamyślony Laplace. – Domyśliła się, że przegrała, kiedy Chang włączył program ABORT. Mogła go zastrzelić, a jednak pozwoliła mu wylądować.

– Obawiam się, że to nam nie pomoże. Pozwoli pan, że opowiem, co zaszło, kiedy wraz z Jenkinsem wyrzucaliśmy jej ciało za burtę zsypem na śmieci...

Lekarz skrzywił się z niesmakiem.

– Rzecz jasna, postąpił pan słusznie, każąc ją wyrzucić do morza. Nie mamy tutaj warunków. Mniejsza z tym. Cóż, nie zadaliśmy sobie trudu obciążenia ciała, które unosiło się na powierzchni przez kilka minut. Czekaliśmy, aż oddali się od statku. I wtedy...

Doktor szukał odpowiednich słów.

– Co, do cholery?

– Coś wynurzyło się z wody. Jakby papuzi dziób, ale ze sto razy większy. Chwyciło Rosie jednym kłapięciem i zniknęło. Naprawdę mamy tutaj zdumiewające towarzystwo! Nawet jeśli na zewnątrz da się oddychać, nie zalecałbym morskich kąpiei...

– Mostek do kapitana – odezwał się pełniący służbę oficer. - Coś kłębi się w wodzie. Kamera numer trzy... dam panu obraz.

– Właśnie to widziałem! – krzyknął doktor. Poczul nagły chłód na myśl, że to coś przyszło po więcej.

Nagle powierzchnię oceanu przebił potężny kadłub i łukiem popłynął ku niebu. Przez chwilę cały monstrualny kształt wisiał między chmurami a wodą. Potem opadł.

Znane może być tak samo szokujące jak i nieznanne, zwłaszcza gdy pojawia się w najmniej spodziewanym miejscu. Kapitan i doktor wykrzyknęli jednocześnie: – Rekin!

Mieli dość czasu, by odnotować kilka subtelnych różnic. Oprócz potwornego papuziego dzioba stworzenie miało dodatkową parę płetw. Brakowało mu jednak skrzeli, a także oczu. Po obu stronach dzioba miało natomiast dziwne guzy, które były zapewne organami jakichś zmysłów.

– Konwergencja ewolucji! – rzucił doktor. – Te same problemy, te same rozwiązania. Na każdej planecie! Choć wystarczy przypatrzeć się Ziemi: rekiny, delfiny, ichtiozaury – wszystkie oceaniczne drapieżniki mają z grubsza podobną budowę. Zastanawia mnie tylko ten dziób...

– Proszę spojrzeć teraz!

Stworzenie znowu wypłynęło, tym razem powoli, jakby wyczerpane poprzednim skokiem. W rzeczy samej, miało jakieś kłopoty... Chyba zdychało! Biło ogonem o fale, płynąc zupełnie bez celu.

Nagle zwymiotowało swój ostatni posiłek, przewróciło się brzuchem do góry i zamarło bez życia, kołysząc się na fali.

– O mój Boże... – szepnął z obrzydzeniem kapitan. – Chyba rozumiem, co się stało.

– Całkowicie różna biochemia – dodał doktor. Nawet on wydawał się poruszony. – Zdaje się, że Rosie jednak znalazła ofiarę...

Morze Galilejskie nazwano oczywiście imieniem człowieka, który odkrył Europę – natomiast on zawdzięczał swój przydomek innemu, mniejszemu morzu starego świata.

Ten ocean był bardzo młody, liczył sobie tylko pięćdziesiąt lat i, podobnie jak większość niemowlaków, potrafił dać się we znaki. Co prawda atmosfera Europy była za cienka, by mogły powstawać w niej prawdziwe huragany, ale z lądu ku strefie tropikalnej, nad którą stale wisiał Lucyfer, wiał silny, jednostajny wiatr. Tutaj, w miejscu, w którym wciąż trwało południe, woda bez przerwy wrzała, choć jej temperatura w rzadkiej atmosferze nie przekraczała kilkudziesięciu stopni.

Na szczęście parujący i niespokojny region tuż pod Lucyferem oddalony był od statku o dobre tysiąc kilometrów; „Galaktyka” wodowała na stosunkowo spokojnym morzu, w odległości stu kilometrów od najbliższego lądu. Lecąc z największą prędkością pokonałaby ów dystans w ułamku sekundy, teraz jednak – kołysząc się na falach pod chmurnym niebem Europy - była zupełnie bezradna, a ląd wydawał się tak odległy jak najdalszy kwazar. Co gorsza, wiejący od brzegu wiatr spychał statek na pełne morze. Lecz nawet jeśli „Galaktyce” udało by się dopłynąć do jakiejś dziewiczej plaży tego nowego świata, jej sytuacja nie zmieniłaby się ani na jotę. Natomiast wszyscy poczuli by się lepiej. Statki kosmiczne, choć stuprocentowo wodoszczelne, nie pływają po morzach z lekkością swoich oceanicznych imienników. Zachowując pion, „Galaktyka” dryfowała unoszona w górę i w dół lekkim, acz niezbyt przyjemnym ruchem wody. Połowa załogi cierpiała już z powodu choroby morskiej.

Kapitan Laplace, uporawszy się z meldunkami o zniszczeniach, rozpoczął poszukiwania ludzi mających doświadczenie w sterowaniu łodziami – dowolnych rozmiarów i kształtu. Można się było spodziewać, że wśród trzydziestu inżynierów astronautyki i naukowców kosmicznych znajdzie się przynajmniej kilku prawdziwych wilków morskich. I rzeczywiście: Laplace znalazł od ręki pięciu żeglarzy amatorów i jednego profesjonalistę – płatnika Franka Lee, który rozpoczął swoją karierę zawodową pływając na statkach linii oceanicznych Tsunga, a dopiero później przeniósł się w kosmos.

Zazwyczaj płatnicy są bardziej obcy z maszynami księgującymi (w przypadku Franka Lee było to liczydło z kości słoniowej, pochodzące sprzed dwustu lat) niż z instrumentami nawigacyjnymi, ale każdy przed wyruszeniem w morze musiał zdać egzamin z podstaw żeglarstwa. Lee do tej pory nie miał okazji sprawdzić swych umiejętności. Teraz – o miliard kilometrów od Morza Wschodniochińskiego – nadszedł na to czas.



– Powinniśmy zalać zbiorniki paliwa – tłumaczył kapitanowi. – Statek zanurzy się głębiej i przestanie kołysać.

Wpuszczenie wody do wnętrza „Galaktyki” wydało się Laplace'owi pomysłem niezbyt rozsądnym i kapitan wahał się przed wydaniem rozkazu.

– A co będzie, jeśli osiadziemy na mieliźnie?

Nikt nie skomentował tego pytania w najbardziej oczywisty sposób: „A co to za różnica?” Bez poważniejszych dyskusji wszyscy się zgodzili, że lepiej będzie im na lądzie – jeśli zdołają do niego dotrzeć.

– Wówczas ponownie opróżnimy zbiorniki. Tak czy inaczej, trzeba będzie to zrobić po dopłynięciu do brzegu, gdzie musimy położyć statek poziomo. Dzięki Bogu mamy jeszcze energię...

Jego głos zawisł w powietrzu niczym znak zapytania – wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Bez dodatkowego reaktora, z którego czerpał energię system podtrzymywania życia, zginęliby w ciągu kilku godzin. Jeśli nie zdarzy się jakaś awaria, statek może być ich domem nieskończenie długo.

Kiedys wyczerpią się zapasy żywności. Wiedzieli już – po dramatycznym wydarzeniu z ciałem Rosie – że w morzach Europy nie ma nic oprócz trucizny.

Udało im się wreszcie nawiązać kontakt z Ganimesem. Teraz cała ludzkość wiedziała o ich losie. Najtęższe umysły w całym Układzie Słonecznym będą się głowić, w jaki sposób przyjąć im z pomocą. Jeśli ratunek nie nadejdzie, załoga i pasażerowie „Galaktyki” będą musieli pocieszyć się faktem, że umierają na oczach całego świata.

#### IV

Przy studni

32. Dywersja

– Według najnowszych wiadomości – oznajmił kapitan Smith zgromadzonym pasażerom – „Galaktyka” wodowała na Europie bez większych problemów. Jedna osoba nie żyje. Nie znamy szczegółów. Pozostali czują się dobrze.

Wszystkie systemy statku działają normalnie. Pojawiło się kilka przecieków, lecz uporali się z nimi. Kapitan Laplace utrzymuje, że nie ma bezpośredniego zagrożenia dla życia ludzi, ale statek, pchany uporczywym wiatrem, oddala się od lądu i dryfuje ku środkowi dziennej strony. Co zresztą nie stanowi problemu, ponieważ na Morzu Galilejskim jest kilka dużych wysp, do których mają nadzieję dobić. Obecnie znajdują się dziewięćdziesiąt kilometrów od najbliższego lądu. W oceanie widzieli jakieś duże morskie stworzenia, które jednak nie atakują statku. Jeśli nie zdarzy się jakaś awaria, powinni przetrwać kilka miesięcy, dopóki nie skończy się im żywność, którą zaczęli racjonować. Według kapitana Laplace'a stan psychiczny ludzi jest dobry. Teraz o tym, co nas czeka. Jeśli natychmiast powrócimy na Ziemię, by uzupełnić tam paliwo i sprzęt, jesteśmy w stanie dotrzeć na Europę w ciągu osiemdziesięciu pięciu dni. „Wszechświat” jest obecnie jedynym zarejestrowanym statkiem kosmicznym, który może wylądować na tym księżycu i wystartować stamtąd przy pełnym obciążeniu. Promy z Ganimedesa będą dostarczać rozbitkom zaopatrzenie i nic więcej, chociaż dla tych ludzi może to być sprawa życia lub śmierci.

Przykro mi, panie i panowie, że nasza wizyta na Halleyu kończy się wcześniej, ale chyba państwo zgodzą się ze mną, że pokazaliśmy wszystko, co przewidywał program. Jestem pewien, że wszyscy zrozumieją konieczność podjęcia nowej misji, choć jej szanse są według mnie niewielkie. To wszystko, co miałem do powiedzenia. Doktorze Floyd, czy mógłbym zamienić z panem dwa słowa?

Pasażerowie „Wszechświata” powoli i w zamyśleniu opuszczali główną kabinę – tradycyjne miejsce narad – kapitan zaś przeglądał zestaw bieżących komunikatów. Słowo drukowane na papierze wciąż było najwygodniejszym środkiem przekazywania informacji, lecz nawet w tej starożytnej metodzie udało się wprowadzić kilka technologicznych ulepszeń. Kartki, które przerzucał kapitan, były z faksowego papieru wielokrotnego użytku, co znacznie zredukowało zawartość skromnych kosmicznych koszy na śmieci.

– Heywood – zaczął kapitan, gdy zostali sami i mogli obejść się bez formalności – jak się zapewne domyślasz, nasze obwody komunikacyjne aż dymią od napływu informacji. Dzieje się mnóstwo rzeczy, których nie rozumiem.

– Podobnie jak ja – odparł Floyd. – Masz coś od Chrisa?

– Nie, ale Ganimedes potwierdził przekazanie wiadomości od ciebie. Priorytet mają komunikaty oficjalne, ale twoje nazwisko zrobiło odpowiednie wrażenie.

– Dzięki, kapitanie. W czym mógłbym ci pomóc?

– W zasadzie w niczym. Gdybym czegoś potrzebował, dam ci znać.

Rozstawali się jak przyjaciele po raz ostatni na bardzo długo. Wkrótce doktor Heywood Floyd stanie się w oczach kapitana „tym starym szaleńcem!”, a na statku rozpoczną się wydarzenia nazwane później „buntem na Wszechświecie”. Buntem, który wzniecił dowódca!

W zasadzie nie był to pomysł Floyda – a szkoda...

Roy Jolson pełnił funkcję „gwiazdora”, czyli oficera nawigacyjnego. Heywood znał go tylko z widzenia i nie zamienił z nim nawet dwóch słów oprócz zwyczajowego „dzień dobry”. Toteż zdziwił się bardzo, gdy po nieśmiałym pukaniu ujrzał właśnie Roya na progu kabiny.

Astrogator trzymał w ręce plik tablic i wydawał się nieco zmieszany. Stan ów nie mógł być efektem zetknięcia się oko w oko ze znakomitością – do obecności Floyda przyzwyczaili się już wszyscy na statku – istniał więc jakiś inny powód.

– Doktorze Floyd – zaczął Jolson, a jego głos miał w sobie tyle natarczywej niecierpliwości, że przypominał ton sprzedawcy, którego cała przyszłość zależy od powodzenia tej właśnie transakcji. – Chciałbym się pana poradzić... I prosić o pomoc.

– Oczywiście. Czym mogę służyć?

Jolson rozwinął tablicę przedstawiającą pozycje wszystkich wewnętrznych planet Lucyfera.

– Wpadłem na pewien pomysł, wspominając jedną z pańskich sztuczek. W czasie misji „Leonowa” połączyliście ten sta tek z „Discovery”, by uciec z okolic Jowisza przed jego implozją...

– Nie ja na to wpadłem. Wymyślił to Walter Curnow.

– Och, nie wiedziałem! Tak czy inaczej, nie mamy tutaj drugiego statku, który by nam służył dodatkowym napędem. Ale mamy coś znacznie lepszego!

– Co pan ma na myśli? – zapytał zdziwiony Floyd.

– Proszę się nie śmiać ze mnie. Pomyślałem, że nie ma potrzeby wracać na Ziemię, by zatankować paliwo, kiedy tuż obok Stary Wierny wyrzuca co sekundę całe tony wody na odległość kilkuset metrów. Gdyby się nam udało przechwycić ją, dotarlibyśmy na Europę nie za trzy miesiące, ale za trzy tygodnie!

Pomysł był tak prosty i tak śmiały, że Floyd oniemiał z wrażenia. Natychmiast wyobraził sobie rozliczne przeszkody, ale żadna nie pochodziła z gatunku poważnych.

– A co myśli o tym kapitan?

– Nie powiedziałem mu jeszcze i dlatego właśnie potrzebuję pańskiej pomocy. Chciałbym sprawdzić z panem moje obliczenia; dopiero wtedy pójdę do kapitana. Z pewnością odrzuci mój pomysł i nie będę się temu dziwił. Gdybym był kapitanem, postąpiłbym podobnie...

W małej kabinie na długo zapadła cisza. A potem Heywood Floyd powiedział z namaszcczeniem:

– Pozwoli pan, że przedstawię wszystkie uniemożliwiające to powody. Później pan mi powie, dlaczego nie mam racji.

Drugi oficer Jolson znał swojego dowódcę: kapitan Smith jeszcze nigdy nie słyszał tak idiotycznej propozycji...

Jego sprzeciw był poparty wieloma słusznymi argumentami i nie wynikał z osławionego syndromu: „Dlaczego ja na to nie wpadłem?”

- Och, teoretycznie wszystko jest możliwe – przyznał Smith. - Ale, człowieku, pomyśl o stronie praktycznej całego przedsięwzięcia! W jaki sposób chcesz przetransportować paliwo z gejzeru do zbiorników?

– Rozmawiałem z inżynierami. Postawimy statek na krawędzi krateru... Nic nam nie grozi, jeśli nie zbliżymy się bardziej niż na pięćdziesiąt metrów. W nie wykorzystanej części kabin pasażerskich jest dosyć rur, które można wymontować, połączyć i potem wsadzić w gardziel Starego Wiernego. Wtedy zostaje nam tylko poczekać, aż zacznie wypluwać wodę, a wiesz, że na niego można liczyć...

– Owszem, ale dostaniemy kryształki lodu i parę, a nie wodę w stanie płynnym.

– Wszystko skondensuje się w zbiornikach.

– Dobrze to sobie przemyślałeś, prawda? – mruknął kapitan nie bez podziwu. – Ale ja po prostu w to nie wierzę. Dlaczego? A kto nam zagwarantuje, że woda jest odpowiednio czysta? Co z zanieczyszczeniami, zwłaszcza z okruszkami węgla?

Floyd nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Kapitan Smith zaczynał mieć obsesję na punkcie sadzy.

– Większe cząstki zostaną odfiltrowane. Mniejsze nie będą miały wpływu na przebieg reakcji. A tak przy okazji: stosunek izotopu wodoru jest tutaj lepszy niż na Ziemi. Dzięki temu polecimy szybciej!

– Co myślą o tym twoi przyjaciele? Jeżeli polecimy stąd prosto ku Lucyferowi, miną miesiące, nim powrócą do domu...

– Nie rozmawiałem z nimi. Zresztą, co to za różnica, gdy chodzi o tyle istnień ludzkich. A może uda się nam dotrzeć do „Galaktyki” siedemdziesiąt dni wcześniej, niż planowaliśmy!

Siedemdziesiąt dni! Pomyśl, co może wydarzyć się na Europie przez ten czas.

– Biorę pod uwagę czynnik czasu – warknął kapitan. – Szczególnie jeśli chodzi o nasz statek. Nie wiem, czy starczy nam zapasów na tak długą podróż.

Teraz szuka dziury w całym – pomyślał Floyd – i wie, że ja o tym wiem. Lepiej zachowam takt...

– Na kilka dodatkowych tygodni? Nie wierzę, aby margines tolerancji był tak mały. Poza tym karmisz nas aż za dobrze. Nikomu nic się nie stanie, jeśli ograniczysz przez jakiś czas nasze racje.

Kapitan uśmiechnął się lodowato: – Powiedz to Willisowi i Michajłowiczowi. Mimo wszystko obawiam się, że cały pomysł jest szalony.

– W takim razie pozwól nam skontaktować się z właścicielami. Chciałbym porozmawiać z sir Lawrence'em.

– Oczywiście. Nie mogę ci w tym przeszkodzić – odparł kapitan Smith tonem, w którym pobrzmiwał żal, iż nie może tego uczynić. – Ale wiem dokładnie, co ci odpowie.

I bardzo się mylił.

Sir Lawrence Tsung od trzydziestu lat nie grał na wyścigach; obstawianie koni było niestosowne przy jego wysokiej pozycji w świecie interesów. Ale w czasach swej młodości często grywał na

torze w Hongkongu, zamkniętym zresztą później przez purytańską administrację z uwagi na publiczną moralność. Jakież to typowe dla naszego życia – myślał z żalem sir Lawrence. Kiedy mógł grać, nie miał pieniędzy. Teraz, kiedy je ma, nie może obstawiać, ponieważ jako najbogatszy człowiek na Ziemi - musi świecić przykładem.

Jak nikt inny sir Lawrence zdawał sobie sprawę, jakim hazardem są interesy. Robił wszystko, co mógł, by zmniejszyć ryzyko inwestycji: gromadził informacje i słuchał ekspertów, którzy według jego opinii służyli mu najlepszymi radami. Kiedy się mylili, zawsze miał dość czasu, żeby się wycofać, musiał jednak liczyć się z prawdopodobieństwem strat.

Gdy czytał memorandum przysłane przez Heywooda Floyda, poczuł dawny dreszczyk emocji – dreszczyk, którego nie zaznał od czasu, gdy po raz ostatni oglądał konie wpadające w galopie na metę. Znowu musiał ryzykować: grać o największą – i kto wie, czy nie ostateczną – stawkę w swojej karierze. Rzecz jasna, nie powie o tym Radzie Nadzorczej. Ani lady Jasmine.

– Bill – zwrócił się do syna – co o tym myślisz?

Młody Tsung (człowiek odpowiedzialny i stanowczy, któremu jednak brakowało iskry bożej, co było chyba powszechną przypadłością ludzi z jego pokolenia) udzielił odpowiedzi zgodnej z oczekiwaniami ojca:

– W teorii wszystko jest możliwe. Nie wątpię, że „Wszechświat” może tego dokonać... na papierze. Straciliśmy już jeden statek. Ryzykujemy następny.

– „Wszechświat” i tak poleci w okolice Jowisza... To znaczy Lucyfera.

– Tak, ale po dokładnym przeglądzie na orbicie okołozemskiej. Czy zdajesz sobie sprawę, jak będzie wyglądać ta misja proponowana przez Floyda? Będą musieli pobić wszystkie rekordy szybkości! Podczas zwrotu osiągną prędkość tysiąca kilometrów na sekundę!

Było to coś najgorszego, co mógł powiedzieć; w uszach sir Lawrence'a znowu rozległ się grzmot końskich kopyt.

Tsung senior zachował jednak obojętny wyraz twarzy. – Masz rację. Nikomu jednak nie zaszkodzi, jeśli przeprowadzą wstępne testy, chociaż kapitan Smith uparcie się temu sprzeciwia. Grozi nawet złożeniem dymisji. Tymczasem sprawdź, jakie stanowisko zająłby w tej sprawie Lloyd... Niewykluczone, że będziemy musieli wycofać wniosek o pokrycie straty „Galaktyki”. Tym bardziej – mogłoby dodać – jeśli rzucimy na stół żeton w postaci „Wszechświata”.

Martwiła go postawa Smitha. Teraz gdy Laplace był uziemiony na Europie, Smith stał się najlepszym dowódcą, jakim mógł dysponować.

### 33. Wodopój

– Najgorsza robota, jaką widziałem od ukończenia studiów - narzekał główny inżynier. – Ale nic innego nie da się zrobić w tak krótkim czasie.

Przygotowany naprędce rurociąg przecinał pięćdziesiąt metrów oślepiająco jasnej skały, pokrytej przeróżnymi substancjami chemicznymi, biegł aż do wlotu spokojnego teraz Starego Wiernego i tam się kończył prostokątnym, skierowanym w dół filtrem lejowym. Słońce właśnie weszło nad pagórkami. Ziemia zaczynała drżeć, do wewnętrznych rezerwuarów gejzeru przenikało poranne ciepło.

Heywood Floyd obserwował wschód Słońca z głównego hallu. Nie mógł uwierzyć, że tak wiele zmieniło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Po pierwsze: uczestnicy wyprawy podzielili się na dwie frakcje. Na czele jednej stał kapitan, drugiej przewodził – chcąc nie chcąc – on sam. Nie doszło jeszcze do decydującej wymiany ciosów i wszyscy byli wobec siebie lodowato uprzejmi, Heywood jednak dowiedział się, że w pewnych kręgach przeciwnego obozu zaczęło się o nim mówić „samobójca Floyd”. I wcale się z tego nie cieszył.

Nikt nie potrafił wykazać słabości projektu zwanego obecnie „manewrem Floyda-Jolsona”.

(Niesłusznie zresztą: Heywood nalegał, by cały honor przypadł młodemu oficerowi, lecz nikt go nie słuchał. A Michajłowicz zapytał nawet: „Czyżbyś obawiał się odpowiedzialności?”)

Początek pierwszego testu – za dwadzieścia minut, gdy Stary Wierny z opóźnieniem powita świt. Jeśli nawet test się powiedzie i zbiorniki „Wszechświata” wypełni przejrzysta woda, a nie - jak przewidywał kapitan Smith – błotnista maź, droga na Europę wciąż będzie zamknięta.

Pewną rolę w procesie decyzyjnym odgrywały życzenia pasażerów. Wybitne osobistości goszczące na „Wszechświecie” spodziewały się powrotu do domu za dwa tygodnie. Teraz, ku ich zaskoczeniu, a nawet konsternacji, trzeba było liczyć się z perspektywą niebezpiecznej wyprawy przez połowę Układu Słonecznego, która – nawet w przypadku powodzenia – skończy się nie wiadomo kiedy.

Willis był w kropce. Wszystkie jego plany wezmą w łeb. Pływał po statku mruczając coś o procesach, ale nikt nie współczuł mu nawet odrobinę.

Z kolei Greenberg wpadł w ekstazę. Ponownie miał szansę przeżycia prawdziwej kosmicznej przygody. Michajłowicz, który spędzał czas komponując w swojej wcale nie dźwiękochłonnej kabine, był nie mniej zadowolony. Żywił nadzieję, iż nowe przeżycia staną się dla niego niewyczerpanym źródłem inspiracji.

Maggie M. podeszła do sprawy filozoficznie: – Jeśli uda się nam uratować choćby jedno życie – stwierdziła, spoglądając z ukosa na Willisa – to nikt nie powinien mieć żadnych wątpliwości, czy postępujemy słusznie.

Jeśli chodzi o Yvę Merlin, to Floyd osobiście postarał się wyjaśnić jej sytuację i stwierdził, że aktorka doskonale rozumie ich położenie. To właśnie Yva – ku zdumieniu Heywooda – zadała pytanie, nad którym dotąd nikt się specjalnie nie zastanawiał:

– A co będzie, jeśli Europejczycy nie pozwolą na lądowanie? Nawet lądowanie misji ratunkowej?

Floyd spojrział na nią zaskoczony. Nawet teraz miał trudności z zaakceptowaniem jej jako zwykłej istoty ludzkiej i nie wiedział, czy to, co mówi, jest przebłyskiem geniuszu, czy wyrazem zwykłej głupoty.

– Świetne pytanie, Yvo. Wierz mi, pracuję nad tą sprawą.

Powiedział prawdę. Nie mógłby okłamać Yvy Merlin. Kłamstwo wobec niej byłoby profanacją świętości.

Nad wylotem gejzeru pojawiły się pierwsze obłoczki pary. Tryskały pionowo, oddalając się od źródła po nienaturalnych próżniowych trajektoriach, po czym znikwały we wściekłych promieniach Słońca.

Stary Wierny zakasłał i odchrząknął. Ku niebu wspięła się śnieżnobiała i zadziwiająco zwarta kolumna kryształków lodu i kropel wody. Wszystkie ziemskie instynkty ludzi podpowiadały im, że powinna się załamać na szczycie i opaść, ale nic takiego, rzecz jasna, nie nastąpiło. Wznosiła się coraz wyżej, grubiejąc u góry, i wreszcie zniknęła w gęstej, lśniącej mgie coraz dłuższego ogona komety. Floyd stwierdził z satysfakcją, że rurociąg zaczyna drżeć i transportować płyn na statek.



Dziesięć minut później na mostku zwołano naradę wojenną. Kapitan Smith – wciąż obrażony – powitał Floyda lekkim skinieniem głowy. Przemawiał zastępca Pierwszego i robił to z zażenowaniem.

– No cóż, rurociąg funkcjonuje zaskakująco dobrze. W takim tempie napelnimy zbiorniki w ciągu dwudziestu godzin, choć trzeba będzie lepiej umocować wlot rury.

– Co z zanieczyszczeniami? – zapytał ktoś stojący z boku.

Zastępca kapitana podniósł do góry próbkę z przezroczystym, bezbarwnym płynem.

– Filtry oczyściły wodę z cząsteczek większych niż kilka mikronów. Żeby się zabezpieczyć, powtórzmy filtrowanie przepompowując paliwo z jednego zbiornika do drugiego. Obawiam się, że aż do Marsa nie będzie plażowania.

Ostatnia uwaga oficera wywołała salwy śmiechu. Nawet kapitan rozluźnił się nieco.

– Sprawdzimy działanie silników przy minimalnym ciągu. Jeśli zauważymy jakieś nieprawidłowości w ich działaniu, wywołane H<MV>2<D>O z Halleya, odwołujemy akcję i wracamy do domu na dobrej wodzie księżycowej z Arystarcha.

Zapadło milczenie. Każdy czekał, aż odezwie się ktoś inny. W końcu kapitan Smith przerwał kłopotliwą ciszę.

– Jak wiecie – zaczął – nie jestem zwolennikiem tego pomysłu. Chciałem nawet... – urwał zdanie, lecz wszyscy wiedzieli, co miał na myśli. Smith chciał złożyć rezygnację na ręce sir Lawrence'a, w obecnych okolicznościach byłby to jednak bezcelowy gest.

Mniejsza z tym. Przez kilka ostatnich godzin wyjaśniło się parę istotnych spraw. Właściciel zgadza się na projekt, ale pod warunkiem, że testy wypadną pomyślnie. Co więcej, Światowa Rada Kosmiczna – to jest największa niespodzianka i nie pytajcie mnie, kto jest autorem tej inicjatywy – nie tylko poparła, ale wręcz zażądała przeprowadzenia misji, przejmując wszystkie koszty na siebie. Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć.

Mam jeszcze jedno zmartwienie... – Smith popatrzył z niesmakiem na próbkę, którą trzymał teraz pod światło Heywood Floyd i potrząsał nią lekko. – Jestem inżynierem, a nie jakimś cholernym chemikiem. Ten płyn wygląda na czysty, ale kto zagwarantuje, że nie zniszczy nam izolacji zbiorników?

Floyd nie miał pojęcia, dlaczego kapitan zachowuje się tak niedorzecznie. Jego upór był całkowicie nieuzasadniony. Może Smith chciałby wreszcie skończyć z dyskusjami i po prostu zabrać się do pracy? A może potrzebuje moralnego wsparcia?

Jednym szybkim ruchem Floyd wyszarpnął zatyczkę z próbówki i wlał sobie do gardła dwadzieścia centymetrów sześciennych komety Halleya.

– Oto odpowiedź, kapitanie – oznajmił, przełknąwszy ostatnią kroplę.

– Zachował się pan jak dziecko – stwierdził pokładowy lekarz pół godziny później. – W życiu nie widziałem tak idiotycznej demonstracji. Czy nie wie pan, że w tej wodzie są cyjanki, dwucyjany i Bóg wie co jeszcze?

– Oczywiście, że wiem – odparł uśmiechnięty Floyd. – Widziałem analizy. Cyjanki, dwucyjany i „Bóg wie co jeszcze” występują w ilości kilku części na milion. Nie warto sobie nimi zawracać głowy. Z drugiej strony – ta woda ma pewne właściwości lecznicze...

– Doprawdy? A jakież to?

– Gdyby udało się panu przemycić trochę tego płynu na Ziemię, zrobiłby pan fortunę sprzedając go pod nazwą: Patentowany Środek Przeczyszczający z Halleya.

#### 34. Myjnia

Ich los został już przesądzony i atmosfera na pokładzie „Wszechświata” diametralnie się zmieniła. Ucichły spory, wszyscy zabrali się do pracy i w czasie dwóch następnych obrotów jądra komety, trwających łącznie sto ziemskich godzin, tylko niewielu członków załogi mogło sobie pozwolić na sen.

Pierwszą halleyowską dobę poświęcono na wciąż ostrożne czerpanie wody ze Starego Wiernego. Gdy uspokoił się on przed zapadnięciem zmroku, przyszedł czas na ulepszenia techniczne rurociągu. Na statku znajdowało się już ponad tysiąc ton wody. Następnego dnia zbiorniki wypełniły się do końca.

Heywood Floyd schodził z drogi kapitanowi, aby nie irytować go swoim widokiem. Smith i tak miał mnóstwo pracy i tysiące szczegółowych spraw na głowie. Odciążono go jedynie przy

obliczaniu nowej orbity. Wzięli to na siebie specjaliści z Ziemi, którzy nieustannie sprawdzali dane i przeprowadzali komputerowe symulacje.

Nie ulegało wątpliwości, że pomysł był genialny, a oszczędności da większe, aniżeli przewidywał Jolson. Tankując na Halleyu, „Wszechświat” uniknie dwóch istotnych zmian orbit niezbędnych przy powrocie na Ziemię. Statek może polecieć prosto do celu z maksymalnym przyśpieszeniem, oszczędzając tym samym wiele cennych tygodni. Pomimo ryzyka, które wciąż istniało, wszyscy wychwalali plan manewru.

Były jednak wyjątki.

Na Ziemi wrzało oburzeniem istniejące od niedawna towarzystwo pod nazwą „Ręce precz od Halleya!” Jego członkowie (w liczbie 236 znajdujących się na reklamie osobników) byli zdania, że nic – nawet ratowanie ludzkiego życia – nie może usprawiedliwić naruszania spokoju któregokolwiek z ciał niebieskich. Nie przemawiały do nich argumenty, że „Wszechświat” tylko przejmuje wodę, którą kometa i tak wyrzuciłaby w przestrzeń. Towarzystwu jakoby chodziło o zasadę. Jego gniewne komunikaty dostarczały rozrywki tak potrzebującym urozmaicenia pasażerom „Wszechświata”.

Kapitan Smith, ostrożny aż do przesady, przeprowadził pierwsze próby przy minimalnym obciążeniu, wykorzystując w tym celu jeden z silników kontrolnych, bez którego – gdyby coś się nie powiodło – statek mógł się obejść. Nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości. Silnik działał jak na najlepszej destylowanej wodzie z księżycowych kopalni.

Następnie kapitan zabrał się za testowanie środkowego, głównego silnika numer jeden. Jeśli ten uległby awarii, statek nie straciłby zdolności manewrowania, a jedynie pełny ciąg, co oznaczało, że byłby w pełni sprawny, lecz jego prędkość przy maksymalnym przyśpieszeniu zmniejszyłaby się o dwadzieścia procent.

I tu nie było żadnych problemów. Nawet sceptycy zaczęli odnosić się z szacunkiem do Heywooda Floyda, a drugi oficer Jolson przestał być towarzyskim wyrzutkiem.

Start został zaplanowany na późne popołudnie, tuż przed końcem dziennej aktywności Starego Wiernego. (Czy za siedemdziesiąt sześć lat ta kosmiczna pompa paliwowa będzie wciąż czynna? – zastanawiał się Floyd. Możliwe, przecież istniała już w roku 1910, co potwierdzały wtedy zrobione fotografie.)

Nie włączono odliczania – w stylu rodem z przylądka Canaveral. Gdy kapitan Smith doszedł do wniosku, że wszystko działa sprawnie, włączył pięć ton ciągu silnika numer jeden i „Wszechświat” uniósł się powoli nad sercem gościnnej komety. A potem odleciał.

Przyśpieszenie nie było duże, za to efekty pirotechniczne mogły budzić podziw. Szczególnie wśród nie spodziewających się niczego pasażerów. Do tej pory strumienie wydobywające się z głównych silników zawsze były niewidoczne, składały się bowiem głównie z wysoko zjonizowanego tlenu i wodoru. Pierwiastki te dopiero po ochłodzeniu w odległości setek kilometrów od pojazdu mogły wchodzić w reakcje chemiczne, lecz nawet wtedy nic nie było widać, ich związki bowiem nie świeciły w spektrum rozpoznawalnym dla oka.

Teraz jednak „Wszechświat” oddalał się od Halleya na świetlistej kolumnie odrzutu – zbyt jasnej, by można było na nią patrzeć. Statek wznosił się na potężnym słupie płomieni, które uderzając w skałę powodowały eksplozje na powierzchni Halleya i nad nim. Odlatujący na zawsze „Wszechświat” składał swój podpis, kosmiczne graffiti, przez całe jądro komety.

Większość pasażerów, przyzwyczajona do podróży kosmicznych bez efektów specjalnych, zareagowała zdziwieniem na wspaniałe widowisko. Floyd czekał na nieuniknione komentarze. Jedną z jego rozrywek było przyłapywanie Willisa na błędach w sprawach naukowych, co zresztą nieczęsto się zdarzało i od razu było zρέcznie korygowane.

– Węgiel – oznajmił Willis. – Rozżarzony węgiel, dokładnie taki sam jak w płomieniu świecy, tylko że trochę gorętszy.

– Trochę – mruknął Floyd.

– Nie spalamy już, jeśli tak można powiedzieć – Willis spojrzał na Floyda, który wzruszył jedynie ramionami – czystej wody. Choć paliwo zostało starannie przefiltrowane, wciąż zawiera mnóstwo koloidalnego węgla. A także związki, które można usunąć tylko podczas destylacji.

– Tak, wspaniałe widowisko – dodał Greenberg. – Martwi mnie jednak, czy promieniowanie cieplne nie zniszczy silników, czy nie przegrzeje statku?

Pytanie było najzupełniej uzasadnione i wywołało znaczne poruszenie. Floyd czekał na reakcję Willisa, lecz sprytny manipulator natychmiast odbił piłeczkę.

- Wolałbym usłyszeć odpowiedź z ust doktora Floyda. W końcu to był jego pomysł.

– Jolsona, jeśli łaska. Natomiast rozumiem niepokój pana Greenberga. Mogę zapewnić wszystkich, że nic nam nie grozi. Po włączeniu pełnego ciągu fajerwerki zostaną daleko, mniej więcej tysiąc kilometrów za nami. Nie ma potrzeby martwić się nimi.

Statek unosił się na wysokości dwóch kilometrów ponad jądrem komety. Gdyby nie oślepiający blask odrzutu, można by widzieć w dole całą oświetloną Słońcem powierzchnię małego świata. Na tej wysokości – czy raczej z tej odległości - kolumna Starego Wiernego wydawała się szersza. Przypomina - pomyślał Floyd – jedną z fontann na Jeziorze Genewskim. Nie widział ich od pięćdziesięciu lat i nie miał pojęcia, czy wciąż działają.

Kapitan Smith testował silniki pozycyjne powoli obracając statek, a następnie unosząc go i skręcając wzdłuż osi Y i Z. Wydawało się, że wszystko działa bez zarzutu.

– Do godziny zero czasu misji pozostało dziesięć minut – oznajmił Smith. – Punkt jeden g przez pięćdziesiąt godzin; następnie punkt dwa aż do zwrotu, który nastąpi za sto pięćdziesiąt godzin od tej chwili. – Przerwał oficjalny komunikat dając pasażerom i załodze czas na pełne jego zrozumienie. Do tej pory żaden skonstruowany przez człowieka statek kosmiczny nie utrzymywał ciągłego przyspieszenia aż tak długo. Jeśli nie powiedzie się manewr hamowania, „Wszechświat” przejdzie do podręczników historii jako pierwszy załogowy pojazd międzygwiazdny.

Statek ustawiał się poziomo – jeśli można tak powiedzieć w warunkach braku ciężenia.

Skierował dziób ku białej kolumnie pary i kryształów lodu unoszącej się nad kometa. I ruszył w jej stronę...

- Co on wyprawia?! – krzyknął zaniepokojony Michajłowicz.

Spodziewając się zapewne takich pytań, kapitan Smith znów się odezwał. Zdaje się, że w pełni odzyskał swój dobry humor; w jego głosie pobrzmiwały nutki rozbawienia.

– Zanim odlecimy stąd na dobre, czeka nas jeszcze jedno zadanie. Proszę się nie martwić, doskonale wiem, co robię. Mój zastępca w pełni popiera moją decyzję, prawda?

– Tak jest, choć początkowo myślałem, że pan żartuje, sir - padła odpowiedź z mostka.

– Co się tam dzieje? – zapytał Willis, który po raz pierwszy niczego nie rozumiał.

Statek zaczął się obracać powoli i wciąż zbliżał się „spacerkiem” do tryskającego parą gejzeru. Z tej odległości – mniej niż sto metrów – kolumna wody rzeczywiście wyglądała jak tamte ziemskie fontanny, o których pomyślał Floyd.

Chyba nie chce tam wlecieć...

A jednak chciał. „Wszechświat” zadrzał lekko, zanurzając się w kolumnie piany. Wciąż się obracał, jakby przewiercając gigantyczny gejzer. Ekran telewizyjny i okna obserwacyjne przesłoniła mlecznobiała mgła.

Cała operacja nie trwała dłużej niż dziesięć sekund. Po chwili znaleźli się już po drugiej stronie. Oficerowie na mostku bili brawo. Natomiast pasażerowie nie wiedzieli, co myśleć.

– Teraz możemy już lecieć – powiedział bardzo z siebie zadowolony kapitan. – „Wszechświat” znów jest czystym i schludnym statkiem.

Przez następne pół godziny ponad dziesięć tysięcy osób obserwujących amatorsko Halleya z Ziemi i Księżyca meldowało, że kometa podwoiła swój blask. Komputerowa Sieć Obserwacyjna przestała działać wskutek przeładowania, co przyprawiło o wściekłość zawodowych astronomów.

Publiczność jednak była zachwycona, a kilka dni później – parę godzin przed świtem – „Wszechświat” zorganizował jej jeszcze lepsze przedstawienie.

Przyśpieszając co sześćdziesiąt minut o tysiąc kilometrów na godzinę, statek znalazł się daleko we wnętrzu orbity Wenus. Przy przejściu w peryhelium „Wszechświat” znajdzie się w pobliżu Słońca i okrąży je znacznie szybciej niż jakiegokolwiek naturalne ciało niebieskie, po czym ruszy ku Lucyferowi.

Gdy rakieta znalazła się między Ziemią a Słońcem, jej tysiackilometrowy ogon z rozżarzonego węgla był doskonale widoczny jako gwiazda czwartej wielkości. A przez jedną godzinę przed świtem można było podziwiać jego ruch na tle konstelacji. Na początku misji ratowniczej na „Wszechświat” były zwrócone oczy całej ludzkości.

### 35. Dryf

Niespodziewana wiadomość o misji ratunkowej siostrzanego „Wszechświata” – który prawdopodobnie przyleci na Europę szybciej, niż ośmielali się marzyć – wywołała wśród

członków załogi „Galaktyki” stan nieomal euforii. Zapomnieli nagle, że dryfują bezradnie po obcym oceanie, w otoczeniu nieznanymi potworów.

Potwory chyba też o nich zapomniały, chociaż od czasu do czasu można je było widzieć na powierzchni. Spotykali gigantyczne „rekiny” – omijające statek z daleka nawet wtedy, gdy usuwali do morza odpadki. Było to zastanawiające, sugerowało bowiem, że ogromne bestie w przeciwieństwie do swoich ziemskich odpowiedników stworzyły sprawny system przekazywania informacji. Być może należało zakwalifikować je do gromady delfinów, a nie ryb.

Pojawiały się także ławice mniejszych stworów morskich – ryb, na które nikt by nie spojrzął na ziemskim targowisku. Jednemu z oficerów, zapalonemu wędkarzowi, udało się po kilku próbach złowić jedną z nich na goły haczyk. Kapitan nie zezwolił jednak wnieść ryby na pokład. Nie pozostało nic innego, jak tylko zmierzyć i sfotografować zdobycz, a potem wrzucić ją do oceanu. Dumny wędkarz musiał jednak zapłacić pewną cenę za swoje trofeum. Kiedy wszedł do śluzy powietrznej w półciśnieniowym skafandrze kosmicznym, jego ubiór zaczął wydzielać charakterystyczną dla siarkowodoru woń zgniłych jaj, co dowcipnisiom nasunęło temat do całej serii żartów. Obca biochemia dała o sobie znać po raz kolejny.

Pomimo błagań naukowców kapitan nie zezwolił na dalsze wędkowanie. Badacze musieli zadowolić się obserwacją i nagrywaniem – kolekcjonowanie jakichkolwiek eksponatów zostało zabronione. Poza tym ich specjalnością była – wspomniawszy Laplace – geologia planetarna, a nie kosmobiologia. Żaden nie zabrał ze sobą formaliny, która zresztą i tak na nic by się nie zdała w tym środowisku.

Któregoś dnia statek płynął przez kilka godzin wśród dryfujących na morzu mat czy płacht w jasnozielonym kolorze. Twory te miały owalny kształt i średnicę blisko dziesięciu metrów. Wszystkie były mniej więcej tych samych rozmiarów. „Galaktyka” przebiegała przez nie z łatwością, a maty skupiały się ponownie w owal za statkiem. Można było przypuszczać, że to kolonie jakichś organizmów.

Pewnego ranka oficer pełniący wachtę przeżył istny szok. Otóż z wody wynurzył się jakby peryskop, na jego końcu zaś otworzyło się błękitne oko, łagodne w wyrazie, które – jak opowiadał ów nieszczęśnik, gdy doszedł do siebie – przypominało oko chorej krowy. Ów

przedziwny narząd wzroku przyglądał się ze smutkiem statkowi przez kilka minut, a potem, znudzony, wrócił w głąb oceanu.

Wszystkie tutejsze stworzenia poruszały się bardzo wolno – z całkiem zrozumiałej przyczyny.

Europa wciąż była światem niskoenergetycznym, gdzie brakowało wolnego tlenu, który pozwalała ziemskim zwierzętom – od chwili zaczerpnięcia pierwszego oddechu po urodzeniu – wieść życie podobne nieprzerwanej serii eksplozji. Jedynie pierwszy napotkany rekin wykazał się pewną gwałtownością – i nic dziwnego, wszak targają nim ostatnie, agonalne spazmy.

Możliwe, że wróżyło to dobrze ludziom, którzy nawet w ograniczających ruchy skafandrach byli szybsi od stworów Europy. Tutaj nic nie mogło ich pochwycić, nawet gdyby chciało.

Kapitan Laplace z kwaśnym uśmiechem przekazywał dowodzenie statkiem płatnikowi.

Zastanawiał się, czy coś takiego wydarzyło się kiedyś na morzu lub w kosmosie.

Pan Lee nie miał zresztą wiele roboty. „Galaktyka” dryfowała w pozycji pionowej, w dwóch trzecich zanurzona w wodzie, pochylając się lekko z wiatrem, który popychał ją ze stałą prędkością pięciu węzłów. Wykryto jedynie kilka przecieków poniżej linii zanurzenia, które natychmiast zostały uszczelnione. Kadłub nie uległ dekompresji – i to było najważniejsze.

Większość sprzętu nawigacyjnego okazała się nieprzydatna, mimo to doskonale orientowali się w swoim położeniu. Co godzina Ganimedes precyzyjnie wyznaczał pozycję ich latarni awaryjnej i przekazywał dane na statek. Jeśli „Galaktyka” utrzyma dotychczasowy kurs, po trzech dniach powinna wylądować u brzegu dużej wyspy. Gdyby tak się nie stało, popłynie dalej i na otwartym morzu znajdzie się w niebezpiecznym rejonie wrzącego oceanu, tuż pod Lucyferem. Perspektywa ta nie musiała kryć w sobie katastrofy, choć z pewnością nie była przyjemna. Pełniący obowiązki kapitana płatnik Lee spędzał wiele godzin na obmyślaniu sposobów uniknięcia najgorszego.

Żagle – nawet gdyby znalazł odpowiedni materiał i olinowanie – nie wpłynęłyby zasadniczo na ich kurs. Lee nakazał więc opuszczenie na głębokość pięciuset metrów kilku prowizorycznych sond z kotwicami. Spodziewał się odkryć przydatne w ich podróży prądy morskie – nie znalazł żadnego. Podobnie zresztą jak i dna, które musiało leżeć o wiele kilometrów głębiej.



Ta okoliczność wcale go nie martwiła. Duża odległość od dna chroniła ich przed wstrząsami sejsmicznymi, które nieustannie nękały nowy ocean. Zdarzało się, że „Galaktyka” zaczynała drżeć, jakby ktoś walił w nią ciężkim młotem. Przyczyną były fale sejsmiczne, rozchodzące się kręgami w wodzie. Po kilku godzinach na któreś z europejskich wybrzeży zwałało się olbrzymie tsunami – fala wysokości kilkunastu metrów. Na otwartym oceanie śmiertelnie niebezpieczne wstrząsy zostawiały po sobie jedynie drobne zmarszczki.

Kilka razy w znacznej odległości od statku zaobserwowano powstawanie wirów. Wyglądały niebezpiecznie – ich leje były wystarczająco szerokie, by wessać „Galaktykę” w galilejskie odmęty. Na szczęście tworzyły się za daleko, by zaszkodzić rozbitkom.

Pewnego razu w odległości stu metrów od kadłuba wyłoniła się z wody i pękła olbrzymia bania pełna gazów. Widok robił wrażenie, lecz wszyscy zgodzili się ze zdaniem doktora, który stwierdził: – Chwała Najwyższemu, że nie musimy tego wąchać.

Zadziwiająca jest, jak szybko powszednieją nawet najbardziej niezwykle sytuacje. Po kilku dniach życie na pokładzie dryfującej „Galaktyki” wróciło do normy, a podstawowym zmartwieniem kapitana Laplace'a stało się wynajdywanie zajęć dla załogi. Nic nie wpływa tak ujemnie na stan psychiczny jak beczynność i dowódca często zachodził w głowę, czym zajmowali się marynarze w czasie długich wypraw morskich na żaglowcach. Przecież nie mogli przez cały czas szorować pokładu i wiązać lin!

Naukowcy stwarzali problemy zupełnie innej natury. Ciągłe proponowali jakieś testy i eksperymenty, które musiał poważnie przemyśleć przed wyrażeniem zgody. Gdyby bowiem aprobował wszystkie, badacze z pewnością zmonopolizowałyby i tak już przeciążony kanał komunikacyjny.

Główna antena statku znalazła się na linii powierzchni wody, tak że bez przerwy rozbijały się o nią fale, wskutek tego zaś „Galaktyka” utraciła bezpośredni kontakt z Ziemią. Wszelkie informacje przekazywał Ganimes w paśmie kilku żalonych megaherców. Jedyny funkcjonujący kanał telewizyjny ściągał na siebie uwagę wszystkich i kapitan musiał opędzać się od próbujących wymuszać przekazy dla ziemskich sieci. Zresztą cóż mogli zaprezentować szerokiej publiczności – widoki pełnego oceanu, zatłoczonego wnętrza statku i wreszcie załogi,

która swoje dobre samopoczucie manifestowała nosząc długie włosy i brody, jak na rozbitków przystało.

Niezwykle dużo informacji napływało na ręce oficera Floyda, którego zaszyfrowane odpowiedzi były tak krótkie, że z pewnością nie zawierały błahostek. Mimo to Laplace postanowił przeprowadzić z nim zasadniczą rozmowę.

– Panie Floyd – zaczął – byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby pan zechciał mi wyjawić, dla kogo pan pracuje.

Floyd wydawał się zaskoczony i mocniej wsparł się o brzeg biurka, gdy statkiem zakołysał nagle podmuch.

– Bardzo bym chciał, sir, ale nie mogę. Nie upoważniono mnie do tego.

– Kto pana nie upoważnił, jeśli wolno spytać?

– Mówiąc szczerze – nie wiem, sir.

Nie kłamał. Podejrzewał, że był to ASTROPOL, ale dwaj milkliwi, mocno zbudowani panowie, którzy szkolili go na Ganimesie, zapomnieli dokładnie się przedstawić.

– Jako kapitan tego statku, a szczególnie w obecnych okolicznościach, mam prawo wiedzieć, co się tu dzieje. Jeśli kiedykolwiek wydostaniemy się stąd, kilka lat życia spędzę odpowiadając na pytania Izb, Komisji i Sądów. Prawdopodobnie pana również to czeka, drogi panie...

Floyd zdobył się na krzywy uśmiech. – To nieproste być wyratowanym, czyż nie, sir? Wszystko, co wiem, zamyka się w stwierdzeniu, że jakaś agencja wysokiego szczebla spodziewała się kłopotów w czasie tej misji, lecz nie mogła dociec, co może się wydarzyć. Powiedziano mi tylko, bym miał oczy otwarte! Obawiam się, że nie mają ze mnie wiele pożytku, ale byłem jedyną przeszkoloną osobą, która znalazła się pod ręką.

– Proszę się nie obwiniać. Któż by mógł pomyśleć, że Rosie...

Kapitan przerwał, gdyż nagle uderzyła go pewna myśl.

– Podejrzewa pan, że miała współpracowników? – Chciał dodać: „Na przykład mnie?”, ale i bez tego sytuacja była dostatecznie paranoiczna.

Floyd spojrzał na niego uważnie, a potem najwyraźniej powziął jakąś decyzję.

– Powinienem był porozmawiać z panem wcześniej, sir, ale nie mieliśmy na to czasu. Jestem przekonany, że doktor van der Berg ma coś wspólnego z tą sprawą. Jest Medecykiem, a jak pan wie, kolonizatorzy z Ganimesa to nieco dziwni ludzie i, prawdę mówiąc, czasami ich nie

rozumiem... – I nie lubię, mógłby dodać. Tworzą zamknięty klan i nie są przyjaźni wobec przybyszów z ojczystej planety. Choć z drugiej strony, trudno im się dziwić. Zapewne wszyscy kolonizatorzy nowych lądów byli tacy sami.

– Van der Berg, powiada pan? Hmm. A co z resztą naukowców?

– Zostali sprawdzeni. Są całkowicie czysti, a ich postępowanie nie budzi podejrzeń.

Co nie do końca było prawdą. Na przykład doktor Simpson miał u swego boku więcej żon, niż dopuszcza prawo, a doktor Higgins ukrywał przed światem dużą kolekcję bardzo osobliwych książek. Drugi oficer Floyd nie miał pojęcia, dlaczego mu o tym powiedziano. Może jego mentorzy chcieli, by ich uznawał za wszechwiedzących? Doszedł do wniosku, że praca dla ASTROPOLU (czy innej potężnej agencji) ma swoje zabawne strony.

– Dobrze – oznajmił na koniec kapitan, spoglądając na zbierającego się do wyjścia agenta amatora. – Proszę informować mnie na bieżąco o pańskich odkryciach. Wszystkich odkryciach, które mogą mieć wpływ na bezpieczeństwo statku.

W tych okolicznościach każdy drobiazg mógł mieć ogromne znaczenie, każde ryzyko mogło grozić katastrofą.

### 36. Obcy brzeg

Jeszcze na dwadzieścia cztery godziny przed pojawieniem się wyspy na horyzoncie nikt nie miał pewności, czy „Galaktyka” zdoła dopłynąć do brzegu i czy wiatr nie zepchnie jej w pustkę środkowej części oceanu. Codziennie nanoszono pozycję statku – ustalaną przez radary z Ganimedesa – na wielką tablicę, w którą co kilka godzin wpatrywali się wszyscy rozbitkowie. Dobicie do brzegu także oznaczało problemy. Jeśli wyspa będzie skalista, statek rozbije się i zatoni. A nic nie pozwalało liczyć, że ląd powita ich piaszczystymi plażami.

Pełniący obowiązki kapitana Lee doskonale zdawał sobie sprawę ze wszystkich niebezpieczeństw. Przed laty zdarzyło mu się być rozbitkiem na ziemskim morzu, gdy statek wycieczkowy, którym pływał, poszedł na dno u wybrzeży Bali na skutek awarii silników. Nikomu wprawdzie nic się nie stało, mimo dramatycznej sytuacji, Lee wolałby jednak nie powtarzać tamtego doświadczenia, szczególnie u wybrzeży nie patrolowanych przez ekipy ratownicze.

Los rozbitków z „Galaktyki” był w rzeczy samej kosmicznie absurdalny. Znajdowali się na pokładzie jednego z najnowocześniejszych transportowców, które wyszły spod ręki ludzkiej - statku zdolnego przebyć cały Układ Słoneczny – i nie mieli najmniejszego wpływu na zmianę jego kursu chociaż o kilka metrów. Nie byli jednak całkiem bezradni. Lee miał jeszcze parę asów w rękawie.

Po raz pierwszy ujrzeli wyspę z odległości pięciu kilometrów. Nie mogli jej dotąd widzieć z powodu bliskości horyzontu na Europie. Lee odetchnął z ulgą: nie dostrzegł skał, których obawiał się tak bardzo. Ale nigdzie też nie zauważył piaszczystej plaży, gotowej przyjąć rozbitków. Geolodzy ostrzegali go, że jeśli chce znaleźć piasek, musi przylecieć tu za kilka milionów lat. Europejskie młyny niedawno rozpoczęły pracę i jeszcze nie starły na proszek zbyt wiele minerałów.

Zaraz gdy upewniono się, że „Galaktyka” zmierza ku wyspie, Lee polecił wypompować wodę z głównych zbiorników statku, które zostały zatopione tuż po wylądowaniu. Na kilka następnych rozkołysanych godzin pewna część załogi zupełnie straciła zainteresowanie wydarzeniami na pokładzie.

„Galaktyka” unosiła się coraz wyżej nad powierzchnią morza, a wraz z tym coraz bardziej i bardziej wzmagano się kołysanie. W końcu statek runął na bok w wielkich fontannach wody – i leżał na powierzchni jak martwy pług napompowany powietrzem przez niesławnej pamięci wielorybników. Po sprawdzeniu pozycji, w jakiej spoczywał statek, Lee usprawnił jego pływalność przez lekkie zanurzenie rufy i wyniesienie mostka nad linię oceanu.

Tak jak oczekiwał, „Galaktyka” ustawiła się burtą pod wiatr. Kolejna część załogi zgłosiła niezdolność do pracy. Lee jednak miał dość pomocników, by rzucić kotwicę przygotowaną specjalnie na tę okazję. Kotwicą była zwykła tratwa z powiązanych ze sobą pustych pudeł i skrzyń, które po wyrzuceniu w morze pociągnęły siłą bezwładności korpus statku w stronę wybrzeża.

Wiedzieli już, gdzie przyjdzie im lądować. Statek zmierzał z dręczącą ospałością ku wąskiemu pasemku kamienistej plaży. Jeśli nie mogło być piasku, kamienie wcale nie były takie złe... Mostek zawisł nad plażą, gdy reszta korpusu „Galaktyki” zaryła w ziemię. Lee wyciągnął swoją ostatnią kartę. Nie wiedział, czy mu się uda – przeprowadził zaledwie jedną próbę maszyn z obawy, by nie zawiodły w najważniejszej chwili.

„Galaktyka” po raz ostatni wysunęła podwozie. Statek zadrżał, usłyszeli zgrzyt, gdy łapy na brzuchu rakiety wkopywały się w obcy brzeg. Teraz zakotwiczyli na dobre. Nie groził im już wiatr ani fale nie znającego pływów oceanu.

Nie ulegało wątpliwości, że statek znalazł miejsce wiecznego spoczynku. Pozostało pytanie: a co z jego załogą?

## V

Przez asteroidy

### 37. Gwiazda

„Wszechświat” leciał teraz z taką prędkością, że jego orbita nawet w przybliżeniu nie przypominała trajektorii jakiegokolwiek naturalnego obiektu w Układzie Słonecznym. Merkury – planeta najbliższa Słońcu – w peryhelium rozwijał prędkość zaledwie pięćdziesięciu kilometrów na sekundę; „Wszechświat” już pierwszego dnia gnał dwa razy szybciej – zaledwie z połową przyśpieszenia, jakie osiągnie stając się lżejszy o kilka tysięcy ton wody.

Przez kilka godzin, gdy lecieli wewnątrz orbity Wenus, planeta owa była – obok Słońca i Lucyfera – najjaśniejszym obiektem na niebie. Sam małeńki glob ledwie dało się widzieć gołym okiem, nawet najsilniejsze teleskopy na statku miały trudności z przebicciem się przez otaczającą go jasność. Wenus, podobnie jak Europa, zazdrośnie strzegła swych tajemnic.

Zbliżając się do Słońca – teraz wewnątrz orbity Merkurego – „Wszechświat” nie tylko pędził na skrót, lecz zyskiwał dodatkowe, „darmowe” przyśpieszenie dzięki polu grawitacyjnemu gwiazdy. Ponieważ saldo Natury zawsze musi być wyrównane, Słońce straciło nieco ze swej prędkości w wyniku tej transakcji; efekty owej „kradzieży” jednak będzie można zmierzyć dopiero za kilka tysięcy lat.

Kapitan Smith wykorzystał przejście statku w peryhelium do odbudowania swej reputacji, wyraźnie nadwątlonej przez wcześniejszy upór.

– Teraz już wiecie – tłumaczył pasażerom – dlaczego wykąpałem statek w Starym Wiernym. Gdybyśmy nie zmyli sadzy z kadłuba, „Wszechświat” paskudnie by się teraz przegrzewał. Wątpię, czy osłony termiczne zniosłyby taki ładunek energii. Przypominam, że temperatura dziesięciokrotnie przewyższa ziemską średnią. – Spoglądając przez niemal czarne filtry na złowrogo nabrzmiałe Słońce, pasażerowie nie mogli mu nie wierzyć. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy gwiazda powróciła do swych normalnych rozmiarów, po czym zaczęła się zmniejszać, gdy „Wszechświat” przecinał orbitę Marsa lecąc ku środkowi Układu – w ostatniej części swojej podróży z Halleya.

Słynna Piątka przystosowała się na swój sposób do niespodziewanej zmiany życiowych planów. Michajłowicz komponował wytrwale i bardzo głośno. Pokazywał się tylko w czasie posiłków i bawił wtedy wszystkich niesamowitymi opowieściami, a także dokuczał naprędce wyszukiwanym ofiarom, szczególnie Willisowi. Greenberg sam mianował się – przy braku sprzeciwów – honorowym członkiem załogi i spędzał większość czasu na mostku.

Maggie M. traktowała całą sytuację ze smętnym rozbawieniem.

– Pisarze zawsze marzą o tym – powiedziała kiedyś – by tworzyć w jakimś odludnym miejscu, gdzie nikt im nie przeszkadza i nie stoi nad głową. Dlatego uwielbiają latarnie morskie i więzienia. Ja nie mogę narzekać, choć wolałabym szybciej dostawać zamawiane materiały, a nie czekać, aż zwolni się kanał łączności.

Do podobnych wniosków doszedł Victor Willis, który zajął się opracowywaniem rozmaitych dalekosiężnych projektów. Miał jeszcze jeden powód, by nie za często opuszczać kabinę: czekał, aż znów zacznie wyglądać jak dawniej, przed zgoleniem brody.

Yva Merlin przesiadywała całymi godzinami w centrum rozrywkowym, oglądając swoje ulubione – jak twierdziła – klasyczne filmy. Na szczęście przed dziewiczym lotem „Wszechświata” uporano się ze skompletowaniem filmoteki i zainstalowaniem urządzeń projekcyjnych. Choć kolekcja była nie za bogata, i tak starczyłaby na jedno długie życie oglądania.

Na statku znajdowały się wszystkie najszlachetniejsze dzieła sztuki wizualnej, począwszy od jej niemego dzieciństwa. Yva знаła większość filmów i z radością dyskutowała na ich temat.

Floyd lubił jej słuchać, bo podczas rozmów Yva ożywała, zrzucała maskę bogini i stawała się zwykłą ludzką istotą. Smutne i zarazem fascynujące było jednak to, że jej kontakt z rzeczywistością wymagał protezy – tych właśnie sztucznych, nagranych na taśmie obrazów. Jednym z najdziwniejszych doświadczeń w stosunkowo bogatym w wydarzenia życiu Heywooda Floyda było oglądanie z Yvą gdzieś daleko za Marsem oryginalnej wersji <MI>Przeminęło z wiatrem<D>. Siedział tuż za nią i chwilami patrzył na jej słynny profil, nakładający się na twarz Vivien Leigh. Porównywał obydwie aktorki, choć nie umiałby powiedzieć, która z nich była lepsza; z pewnością każda była kobietą <MI>sui generis<D> genialną.

Gdy zapaliły się światła, Floyd stwierdził ze zdumieniem, że Yva płacze. Ujął jej dłoń i powiedział czule: – Ja także płakałem, kiedy umarła Bonny.

Yva uśmiechnęła się słabo.

– Ja... płaczę po Vivien – szepnęła. – Kiedy kręciliśmy wersję drugą, wiele o niej czytałam. Była bardzo nieszczęśliwa. A teraz, kiedy tak lecimy pośród gwiazd, przypomniałam sobie, co powiedział o niej Larry\*, gdy przywiózł ją po załamaniu nerwowym z Cejlonu. Oznajmił wtedy przyjacielom: „Poślubiłem kobietę z kosmosu”.

\*Sir Laurence Olivier, mąż Vivien Leigh (przyp. tłum.).

Yva przerwała, a po jej policzku spłynęła (dość teatralnie, pomyślał Floyd) kolejna łza.

– Jest jeszcze coś naprawdę dziwnego. Vivien nakręciła swój ostatni film dokładnie sto lat temu... A wiesz, jaki miał tytuł?

– Nie mam pojęcia?

– Wyobrażam sobie, jak to zaskoczy Maggie, jeśli rzeczywiście pisze tę książkę, którą nam wciąż zagraża. Otóż ostatni film Vivien nosi tytuł <MI>Statek szaleńców<D>.

### 38. Kosmiczne góry lodowe

Teraz, gdy nikt nie mógł narzekać na brak czasu, kapitan Smith zgodził się w końcu na udzielenie Victorowi Willisowi zagwarantowanego kontraktom i dawno odkładanego wywiadu. Rozmowę odwlekał teraz sam Victor, a powodem była – jak mówił Michajłowicz – ”amputacja brody”. Nic nie wskazywało, by mogła ona wrócić do dawnych rozmiarów przez kilka

najbliższych tygodni, toteż Willis postanowił prowadzić wywiad zza kadru. Na Ziemi uzupełnił materiał jego starymi zdjęciami.

Usiedli w umeblowanej tylko częściowo kabinie kapitana, popijając wyborne wino, które stanowiło większość bagażu Willisa. Mieli ostatnią szansę, gdyż za kilka godzin silniki „Wszechświata” będą zatrzymane, a statek wejdzie w dryf. „Nieważkie wino” zaś – jak utrzymywał Willis – było paskudne. Nie zgadzał się na przelanie swoich cennych zapasów do plastikowych tubek.

– Z pokładu statku kosmicznego „Wszechświat” mówi Victor Willis. Jest piątek, 15 lipca 2061 roku, godzina 18.30. Nie przebyliśmy jeszcze połowy drogi, a znajdujemy się daleko poza orbitą Marsa i osiągnęliśmy prawie maksymalną szybkość, która wynosi... kapitanie?

– Tysiąc pięćdziesiąt kilometrów na sekundę.

– Więcej niż tysiąc kilometrów na sekundę, czyli niemal cztery miliony kilometrów na godzinę! Zdumienie Willisa wypadło całkiem naturalnie i nikt by się nie domyślił, że zna orbitalne parametry lotu nie gorzej od kapitana. Jedną z cech telewizyjnego talentu Victora była umiejętność odgrywania roli przeciętnego widza – odgadywanie jego pytań, rozbudzanie jego zainteresowania.

– Tak, to prawda – dodał kapitan, nie kryjąc dumy. – Lecimy dwukrotnie szybciej niż ktokolwiek z ludzi od początków czasu.

To ja powinienem być powiedzieć, pomyślał Victor. Nie lubił być wyprzedzany przez osoby, z którymi rozmawiał. Jako profesjonalista, umiał się jednak przystosować.

Nie odzywał się, jakby spoglądając na ekran swego słynnego elektronicznego notatnika, z którym się nie rozstawał i którego nikomu nie pokazywał.

– Co dwanaście sekund przemierzamy dystans równy średnicy Ziemi. A jednak dolecimy do Io..., ach, do Lucyfera – rzecz jasna – dopiero za dziesięć dni. Daje to nam obraz skali Układu Słonecznego... Ale chcę zapytać o coś innego, o sprawę bardzo delikatną, która wielce absorbuje naszych widzów, o czym świadczą pytania napływające do mnie przez ostatni tydzień.

O nie! – jęknął w duszy Smith. Czyżby znów chciał pytać o bezgrawitacyjne toalety?

– W tej chwili przelatujemy przez środek pasa asteroidów...

(Szkoda, że nie zapytał o te toalety, pomyślał Smith.)



– ...i choć do tej pory nie doszło do żadnej poważnej kolizji, istnieje przecież jej prawdopodobieństwo. Mamy tutaj bowiem miliony ciał, z których najmniejsze nie przekracza rozmiarami piłki plażowej, orbitujących na stosunkowo dużym obszarze kosmosu. Co gorsza, znamy dokładną pozycję zaledwie kilku tysięcy tych skalnych odłamków...

– Więcej niż kilku, bo ponad dziesięciu tysięcy.

– Tak czy inaczej, pozostają miliony, o których nic nie wiemy.

– To prawda. Ale nawet gdybyśmy wiedzieli, na niewiele by nam to się zdało.

– Co pan ma na myśli?

– Nic nie da się z nimi zrobić.

– Dlaczego?

Kapitan Smith zamyślił się. Willis miał rację, sprawa istotnie była niezwykle delikatna. Jeśli powie coś, co odstraszy potencjalnych klientów, Kwatera Główna na pewno nie puści mu tego płazem.

– Po pierwsze, kosmos jest tak olbrzymi, że nawet tutaj, jak pan powiedział: w samym środku pasa asteroidów, możliwość kolizji jest nieskończenie mała. Przykład: chcielibyśmy pokazać państwu asteroid. Najbliższym asteroidem jest Hanuman, mający zaledwie trzysta metrów średnicy. Podkreślam, że jest to najbliższy asteroid, a tymczasem dzieli nas od niego ćwierć miliona kilometrów.

– Hanuman jednakże jest gigantem w porównaniu z resztą nie znanych nam śmieci dryfujących gdzieś nie opodal. Czy ich też się pan nie obawia?

– Obawiam się tak, jak pan o to, iż uderzy w pana piorun na Ziemi.

– Co zresztą nie jest tak rzadkie. Ledwo kiedyś uszedłem z życiem na Górze Pike'a w Kolorado. Błyskawica i uderzenie gromu nastąpiły niemal jednocześnie. Ale do rzeczy... Przyznaje pan, że pewne ryzyko istnieje. Czy w takim razie nie zwiększamy go, podróżując z tak olbrzymią prędkością?

Oczywiście Willis doskonale znał odpowiedź na swoje pytanie, lecz po raz kolejny odgrywał rolę widza, który siedzi przed telewizorem gdzieś na niezbyt dużej planecie, oddalającej się co sekundę o tysiąc kilometrów.

– Trudno to wyjaśnić, nie odwołując się do matematyki – odparł kapitan (często używał tej frazy, nawet bez potrzeby!). - Ale mówiąc wprost, nie ma bezpośredniego związku między

prędkością, z jaką lecimy, a groźbą kolizji z asteroidem. I nie tylko. Przy kosmicznych szybkościach zderzenie z czymkolwiek musi skończyć się katastrofą. Mówiąc obrazowo: jeśli stoimy w pobliżu bomby atomowej w momencie jej wybuchu, naprawdę nie jest istotne, czy jej siłę rażenia mierzy się w kilo- czy w megatonach.

Zabrzmiało to niezbyt przekonująco – i z pewnością nie spodoba się w Centrali – ale w tej chwili kapitan nie potrafił wymyślić nic lepszego. Z tego też powodu nie czekał na kolejne pytanie Willisa i mówił dalej:

– Pozwoli pan, że przypomnę, iż to... eee... dodatkowe ryzyko podejmujemy w sprawie najszluszniejszej z możliwych. Teraz nawet godzina może się stać granicą między życiem a śmiercią.

– Tak, wszyscy z pewnością o tym wiemy... – Willis przerwał na chwilę. Chciał dodać: „Tylko dlaczego ja jadę na tym samym wózku”, lecz w porę ugryzł się w język. Ktoś mógłby pomyśleć, że jest tchórzem – co wcale nie znaczy, że nim nie jest... Poza tym znalazł się tu nie z własnej woli, nie dano mu możliwości wyboru, chyba że postanowiłby wrócić spacerkiem do domu...

– Ale wracajmy do tematu – podjął na nowo rozmowę. – To, o czym mówiliśmy do tej pory, przypomniało mi o pewnym wydarzeniu sprzed stu pięćdziesięciu lat, o katastrofie, do której doszło na północnym Atlantyku w roku...

– 1911?

– Dokładnie w 1912.

Kapitan Smith wiedział, rzecz jasna, o co chodzi, tylko dla dobra dramaturgii udawał ignorancję.

– Czy ma pan na myśli tragedię „Titanica”?

– Właśnie – Willis nie krył rozczarowania wiedzą kapitana. - Otrzymałem informacje od blisko dwudziestu osób, którym wydaje się, że jako jedyne dostrzegły paralełę...

– Jaką paralełę? „Titanic” podjął niepotrzebne ryzyko próbując pobić rekord szybkości...

Smith chciał jeszcze dodać: „I miał za mało łodzi ratunkowych”, ale na szczęście uniknął tego błędu. Jedyne prom, który mieli na pokładzie „Wszechświata”, mógł pomieścić zaledwie pięciu pasażerów. Gdyby Willis przyłapał go na takim lapsusie, kapitan z pewnością nie zdołałby wykręcić się sianem.

– No cóż, przyznaję, że analogia jest nieco naciągnięta. Istnieje jednak inne uderzające podobieństwo, na które wskazują wszyscy. Czy wie pan, jakie nazwisko nosił pierwszy i zarazem ostatni kapitan „Titanica”?

– Nie mam najmniej... – zaczął Smith, ale opadła mu szczęka.

– Tak, kapitanie. Brzmiało ono tak samo jak pańskie – stwierdził Victor Willis z uśmiechem jaśniejszym od Słońca.

Kapitan Smith chętnie udusiłby tych wszystkich badaczy amatorów. Nie mógł jednak winić swoich rodziców, że odziedziczył najpopularniejsze z angielskich nazwisk.

### 39. Kapitański stół

Szkoda, że widzowie na Ziemi (i poza nią) nie mogli brać udziału w nieformalnych dyskusjach prowadzonych na pokładzie „Wszechświata”. Życie na statku biegło w uregulowanym, spokojnym rytmie, który wyznaczało kilka powtarzających się wydarzeń, w tym zwłaszcza obrządek celebrowany przy kapitańskim stole.

Każdego dnia, dokładnie o osiemnastej, sześciu pasażerów i pięciu nie pełniących służby oficerów zjawiało się na obiedzie u kapitana Smitha. Nie obowiązywały rzecz jasna stroje wieczorowe, konieczne w pałacach pływających po wodach północnego Atlantyku, wszyscy jednak starali się błysnąć z tej okazji czymś wyjątkowym. Prym wiodła tu oczywiście Yva, przyciągając uwagę a to nową broszką, a to pierścieniem, naszyjnikiem czy wstążką, pachnąc perfumami ze swych niewyczerpanych zasobów.

Jeśli statek akurat przyśpieszał, pierwsze danie stanowiła zupa; podczas dryfu w stanie nieważkości podawano rozmaite przystawki. Zawsze przed daniem głównym zabierał głos kapitan Smith, który przekazywał swym gościom najnowsze wiadomości bądź starał się rozwiewać ostatnie plotki, rozpowszechniane zazwyczaj przez stacje telewizyjne z Ziemi i Ganimedesa.

Pogłoski dotyczyły zwłaszcza przyczyn porwania „Galaktyki”. W eterze krzyżowały się oskarżenia i przeciwnatarcia, najbardziej fantastyczne teorie mające wyjaśniać ów nieczny czyn. Wskazywano palcem wszystkie znane – chociaż tajne – organizacje, jak również te, które istniały jedynie w wyobraźni oskarżycieli. Większość hipotez miała wspólną cechę: nie przedstawiały one wiarygodnego motywu.

Zamęt jeszcze się zwiększył po ujawnieniu pewnego faktu. Otóż wyczerpujące badania detektywistyczne ASTROPOLU wykazały, że prawdziwe nazwisko niejkiej Rose McCullen brzmiało Ruth Mason, że urodziła się w północnym Londynie, a swego czasu została zwerbowana do pracy w Policji Metropolitalnej, gdzie wróżono jej dobrą przyszłość, lecz niespodziewanie otrzymała zwolnienie z powodu – jak wieść niesła – uprawiania działalności rasistowskiej. Mason wyemigrowała do Afryki i tam zniknęła. Zapewne związała się z politycznym podziemiem, nękającym ów nieszczęsny kontynent. W raportach z tego okresu często pojawiało się imię Shaka, czemu niestrudzenie zaprzeczał rząd Stanów Zjednoczonych Afryki Południowej.

Przy kapitańskim stole bez końca (i bez specjalnego pożytku) debatowano nad związkiem tych faktów z Europą. Maggie M. wyznała, że kiedyś nosiła się z zamiarem napisania powieści o Shace. Narratorką chciała uczynić jedną z tysięcy nieszczęsnych żon zuluskiego despoty. Lecz im bardziej zagłębiała się w temacie, tym większą czuła do niego odrazę. – W końcu zdecydowałam się porzucić cały ten projekt – przyznała ponuro. - Dokładnie pojęłam, co czuje współczesny Niemiec w stosunku do Hitlera.

Z czasem tego rodzaju osobiste wyznania stały się coraz częstsze przy kapitańskim stole. Po skończonym posiłku na trzydzieści minut oddawano głos jednemu z biesiadników. Większość gości kapitana miała mnóstwo doświadczeń – ziemskich i pozaziemskich – którymi przy kawie chętnie dzieliła się z pozostałymi.

Ku zaskoczeniu wszystkich, najmniej interesującym gawędziarzem okazał się Victor Willis, który zresztą szczerze przyznał się do tej ułomności i podał nawet jej uzasadnienie.

– Za bardzo się przyzwyczailem – tłumaczył się prawie, ale nie całkiem w przeproszającym tonie

– do występowania przed milionową publicznością, dlatego też trudno mi znaleźć wspólny język z małą grupą przyjaciół, taką jak ta tutaj.

– Czy lepiej czułbyś się wśród wrogów? – spytał Michajłowicz, zawsze chętny do ironicznej pomocy. – Jeśli tak, możemy ci to załatwić.

Yva natomiast wypadła lepiej, niż się spodziewano, chociaż jej wspomnienia dotyczyły tylko świata rozrywki. Wszystkim podobały się szczególnie jej anegdoty z życia sławnych – bądź osławionych – reżyserów, z którymi pracowała, zwłaszcza Davida Griffina.

– Czy to prawda – zapytała Maggie M., myśląc niewątpliwie o Shace – że Griffin nienawidził kobiet?

– Wcale nie – odparła z miejsca Yva. – Nienawidził natomiast aktorów. Nie uważał ich za ludzi. Reminiscencje Michajłowicza dotyczyły również jednego obszaru – wielkich orkiestr i baletów, słynnych dyrygentów i kompozytorów oraz nieprzeliczonych rzesz wielbicieli i oportunistów rozkwitających w blasku nie swojej sławy. Rosjanin znał mnóstwo historyjek o zakulisowych intrygach i związkach, o sabotowanych premierach i krwawych zemstach primadonn. Potrafił rozśmieszyć do łez nawet niemuzykalnych słuchaczy i chętnie mu przyznawano dodatkowy limit czasu.

Zupełnym przeciwieństwem opowiadań kompozytora były rzeczowe relacje z niezwykłych wydarzeń, prezentowane przez pułkownika Greenberga. Pierwsze lądowanie na stosunkowo łagodnym południowym biegunie Merkurego było swego czasu bardzo nagłaśnianym osiągnięciem ludzkości, toteż astronauta nie miał wiele do dodania. Wszystkich natomiast interesowała kwestia: „Kiedy tam wrócimy?”, a zaraz po niej: „Czy chciałby pan polecieć tam jeszcze raz?”

– Oczywiście, gdyby mi to zaproponowano – odparł Greenberg. – Podejrzewam jednak, że z Merkurym będzie jak z Księżycem, na którym wylądowaliśmy po raz pierwszy w 1969 roku, po czym zostawiliśmy go w spokoju przez następne trzydzieści lat. Tym bardziej że Merkury nie jest nam tak potrzebny jak Księżyc, choć któregoś dnia na pewno się przyda. Nie ma tam wody. Co prawda dawniej sądzono, że na Księżycu – lub raczej w Księżycu – także nie ma wody... ale to zupełnie inna historia. Nie tak efektowna jak lądowanie na Merkurym, kto wie jednak, czy nie ważniejsza. Brałem w niej udział, pomagając przy organizacji „karawan mułów” z Arystarcha...

– Karawan mułów?

– Taa... Zanim wybudowano na Księżycu dużą równikową wyrzutnię, z której wystrzeliwuje się łód wprost na orbitę, musieliśmy transportować go z kopalni do portu kosmicznego Imbrium. Oznaczało to wybudowanie drogi przez pokryte lawą równiny i przerzucenie kilku mostów nad skalnymi urwiskami. Lodowa Autostrada – tak ją nazywaliśmy – miała zaledwie trzysta kilometrów długości, ale kosztowała kilka ludzkich istnień...

„Mułami” nazywane były ośmiokołowe traktory, wyposażone w potężne opony i niezależne zawieszenie. Przyczepiało się do każdego nawet po dwanaście platform, z których każda wiozła sto ton lodu. Karawany podróżowały nocą ze względu na topnienie ładunku.

Kilkakrotnie jeździłem w takich karawanach. Podróż zajmowała około sześciu godzin; nie wysyłano nas przecież, byśmy bili rekordy. Potem przeładowywaliśmy lód do wielkich, próżniowych zbiorników i czekaliśmy na wschód Słońca. Gdy lód się stopił, pompy tłoczyły wodę na statki.

Lodowa Autostrada jeszcze istnieje, ale teraz korzystają z niej głównie turyści. Chcąc w pełni docenić jej urok, trzeba nią podróżować w nocy, tak jak my to robiliśmy. Czysta magia, mówię wam. Ziemia w pełni prosto nad głowami... Ziemia dająca tyle światła, że mało kiedy korzystaliśmy z lamp. Często wyłączaliśmy radio, zostawiając tylko automatyczne latarnie, by sobie nie psuć spektaklu gadaniną. Chcieliśmy być sami w tej wielkiej, rozświetlonej pustce – dopóki istniała, bo przecież wiedzieliśmy, że nie przetrwa długo.

Teraz wokół równika budują terawoltowy akcelerator kwarkowy, a na Imbrium i Serenitatis wszędzie widać kopuły. My poznaliśmy natomiast prawdziwą lunarną pustkę, tę samą, którą widział Armstrong z Aldrinem. Kto mógł przypuszczać, że po kilkunastu latach w Bazie Spokoju zaczną sprzedawać pocztówki z napisem: „Szkoda, że cię tu nie ma”.

#### 40. Potwory z Ziemi

– ...masz szczęście, że nie byłeś na dorocznym balu. Możesz mi wierzyć lub nie, ale wynudziliśmy się bardziej niż przed rokiem. Nasza rezydentka mastodontka, droga pani Wilkinson, po raz kolejny zmiądzzyła stopy partnera w tańcu, mimo połowy zwykłego ciężenia na parkiecie.

A teraz przejdźmy do interesów. Ponieważ twój pobyt wśród gwiazd przedłuża się, Admin ma chrapkę na twoje mieszkanie - ładna okolica, blisko do centrum handlowego, wspaniały widok na Ziemię i tak dalej, i tym podobne – i chce je wynająć na czas twojej nieobecności. Proponuje korzystne warunki, oszczędzisz więc masę pieniędzy, chłopie! Przechowamy ci wszystkie drobiazgi z mieszkania.

Jeśli chodzi o tego Shake... Wiemy z Jerrym, że uwielbiasz nas nabierać, ale szczerze mówiąc – jesteśmy przerażeni! Teraz rozumiem, dlaczego Maggie M. zrezygnowała z pisania o nim...

Oczywiście, czytaliśmy te jej <MI>Olimpijskie swawole<D>. Zabawna książka, choć za bardzo feministyczna, jak na nasz gust.

Co za potwór! Nic dziwnego, że jego imieniem ochrzciła się banda afrykańskich terrorystów. Łobuz zabijał swoich wojowników, jeśli odkrył, że są żonaci! I wyrznął wszystkie krowy w swoim nieszczęsnym imperium z tego tylko powodu, że były rodzaju żeńskiego! A najgorsze były te wynalezione przez niego włócznie! Miał naprawdę zadziwiające maniery: przebijał włócznią każdego, kto mu nie oddał należnej czci...

A cóż to za antyreklama dla gejów! Po przeczytaniu jego biografii zastanawiałem się, czy nie zmienić orientacji seksualnej. Zawsze twierdziliśmy, że ludzie naszego pokroju są delikatni i mili (a także szalenie utalentowani artystycznie!), ale gdy na twoją wyraźną prośbę przeczytaliśmy życiorysy tak zwanych Wielkich Wojowników (nawiasem mówiąc, nie wiem, co może być „wielkiego” w zabijaniu ludzi?), zaczęliśmy się wstydzić takiego towarzystwa. Owszem, wiedzieliśmy o Hadrianie i Aleksandrze, ale nie mieliśmy pojęcia, że Ryszard Lwie Serce i Saladyn także... no wiesz... Albo Juliusz Cezar, choć ten walczył na dwie strony, o czym zaświadcza boski Antoniusz i piękna Kleo. I nawet Fryderyk Wielki, chociaż na jego korzyść przemawia pozytywny stosunek do Bacha.

Kiedy wspomniałem Jerry'emu, że Napoleon był wyjątkiem i nie musimy się go obawiać, wiesz, co powiedział mój mąż? „Założę się, że Józefina była chłopcem”. Powtórz to Yvie!

Popsułeś nam opinię, zrujnowałeś morale, ty szelmo! Wytarzałeś w krwawej smole! (Wybacz tę podwójną metaforę.) Dlaczego, och, dlaczego nie pozwoliłeś nam trwać w szczęśliwej ignorancji?

Pomimo to ściskamy cię czule, serdeczności przesyła także Sebastian. Pozdrów od nas napotkanych Europejczyków. Sądząc po meldunkach z „Galaktyki”, niektórzy z nich byłiby idealnymi partnerami dla pani Wilkinson...

#### 41. Wspomnienia stulatka

Doktor Heywood Floyd wolał nie opowiadać o pierwszej wyprawie na Jowisza ani późniejszej o dziesięć lat misji „Leonowa”. Wszystkie te wydarzenia były już tak odległe! Nie zostało nic, o czym nie wspomniałby w niezliczonych zeznaniach przed komisjami Kongresu lub Rady Kosmicznej czy w wywiadach dla dziennikarzy, takich jak Victor Willis.

Miał jednak zobowiązania wobec współpasażerów „Wszechświata” – trzydziestominutowe wspomnienia, których nie dało się uniknąć. Pozostał jedynym wśród żywych świadkiem narodzin nowego słońca i nowego systemu słonecznego, a poza tym wszyscy spodziewali się, że doskonale zna światy, do których się zbliżali. Było to naiwne przypuszczenie. Floyd wiedział znacznie mniej o jowiańskich satelitach niż naukowcy i inżynierowie pracujący na nich i ponad nimi od kilkunastu lat. Kiedy pytano go: „Jak naprawdę wygląda Europa (albo Ganimedes, Io czy Kallisto)?”, odsyłał ciekawskich dość obcesowo do niezliczonych raportów dostępnych w bibliotece statku.

Istniała jednak dziedzina, w której doświadczenia Floyda można uznać za unikalne. Po upływie półwiecza Heywood zastanawiał się niekiedy, czy to, co pamiętał, wydarzyło się naprawdę. A może jednak śnił, gdy na pokładzie „Discovery” ujrzał przed sobą Davida Bowmana. Łatwiej mógł uwierzyć, że statek był nawiedzony niż...

Nie, nie śnił tego dnia, gdy unoszące się w powietrzu kłębki kurzu i drobne pyłki uformowały upiorny obraz człowieka, który nie żył od dziesięciu lat. Gdyby nie jego ostrzeżenie (Floyd doskonale pamiętał, że zjawy nie poruszała ustami, a jej głos wydobywał się z konsoly komputera), „Leonow” wraz z całą załogą wyparowałby jak kropla wody podczas implozji Jowisza.

– Dlaczego to zrobił? – zadawał retoryczne pytanie Floyd podczas którejś z poobiednich sesji. – Zastanawiałem się nad tym przez pięćdziesiąt lat. Bez względu na to, kim lub czym stał się Bowman, potem gdy wyruszył w kosmicznej kapsule, by zbadać Monolit, jego... duch nie do końca zerwał więzy z ludzkością. David nie stał się kimś obcym. Domyślamy się - na podstawie incydentu z orbitującymi bombami nuklearnymi - że na krótko wrócił na Ziemię. Istnieją także przekonujące dowody, iż odwiedził matkę i swoją dawną dziewczynę... Niczego w tym stylu nie robi istota, która całkowicie wyzbyła się ludzkich emocji.

– W takim razie, czym lub kim jest teraz? – zapytał Willis. - I gdzie się znajduje, jeśli już o tym mowa?

– Uważam, że to ostatnie pytanie nie ma sensu, nawet z czysto ludzkiego punktu widzenia. Czy wiesz, gdzie znajduje się twoja świadomość, Victorze?

– Nie przepadam za metafizyką. A co do świadomości... gdzieś w mózgu, rzecz jasna.



- Kiedy byłem młody – westchnął Michajłowicz, mający wyjątkowy dar sprowadzania wszystkiego na ziemię – moja świadomość znajdowała się o jakiś metr niżej.
- Przyjmijmy, że Bowman gości teraz na Europie. Wiemy, że jest tam Monolit, a David z pewnością był z nim jakoś związany. Świadczy o tym choćby sposób przekazania ostrzeżenia.
- Sądysz, że to drugie ostrzeżenie jest także jego autorstwa? Myślę o „zakazie wjazdu”.
- Który niedługo złamiemy...
- ...w dobrej wierze.

Kapitan Smith, który zazwyczaj pozwalał na niczym nie skrepowaną dyskusję, tym razem wtrącił swoje trzy grosze.

- Doktorze Floyd – zaczął – pańskie doświadczenie jest wyjątkowe i powinniśmy z niego skorzystać. Bowman w pana obecności przybrał ludzką postać specjalnie po to, by wam pomóc. Jeśli wciąż tu jest, może znów zechce to uczynić. Bardzo martwi mnie ten zakaz lądowania. Gdyby ktoś... Bowman... zapewnił nas, że zakaz czasowo – powiedzmy – został zawieszony, byłbym znacznie spokojniejszy.

Ze wszystkich stron dobiegły słowa aprobaty, po czym przemówił Floyd:

- Tak, ja też o tym myślałem. Przekazałem nawet komunikat na „Galaktykę” nakazujący czujność w obliczu możliwych, powiedzmy, zjawisk nadnaturalnych... To znaczy prób nawiązania kontaktu.
  - A jeśli on już nie żyje? – spytała Yva. – Oczywiście, jeżeli duchy umierają... – poprawiła się. Nawet Michajłowicz nie potrafił skomentować tej uwagi. Yva wyczuła, że lekceważą jej twórczy wkład do dyskusji, ale nic sobie z tego nie robiąc, ponownie się odezwała:
  - Woody, mój drogi, czy pomyślałeś, żeby skontaktować się z nim przez radio? Przecież po to je wymyślono, prawda?
- Floyd faktycznie zastanawiał się nad tym, lecz pomysł wydał mu się zbyt naiwny, by potraktować go poważnie.
- Spróbuję – odrzekł. – Myślę, że nie zaszkodzi spróbować...

## 42. Minilit

Tym razem Floyd był pewny, że śni...

Nigdy nie spało mu się dobrze przy zerowej grawitacji, a „Wszechświat” dryfował teraz z maksymalną prędkością – bez wsparcia silników. Za dwa dni rozpocznie się tydzień jednostajnego wyhamowywania; statek musi zwolnić, jeśli chce dotrzeć na rendez-vous z Europą.

Heywood po dziesięć razy zmieniał długość pasów i zawsze były za ciasne albo za luźne. W pierwszym przypadku nie mógł oddychać, w drugim odpływał z koi.

Kiedys zdarzyło mu się obudzić w powietrzu dobre kilka metrów od łóżka i męczył się przez kilka minut, zanim dopłynął do najbliższej ściany. Później przypomniał sobie, że wystarczyło poczekać; system wentylacyjny kabiny sam by go przyciągnął do siatki klimatyzatora, wcale nie musiał się więc męczyć. Powinien o tym wiedzieć, stary kosmiczny wyga, a jedynym rozsądnym wytłumaczeniem tamtej sytuacji była panika, w którą wpadł wyrwany ze snu.

Dziś jednak udało mu się zapiąć pasy bez większych kłopotów; zaczęła się na nowo, kiedy powróci ciężenie. Leżał kilka minut, rozmyślając nad rozmową przy obiedzie, a potem usnął. Przyśniło mu się, że dalej prowadzi dyskusję przy stole, choć okoliczności uległy pewnej zmianie, czemu zresztą wcale się nie dziwił. Willis na przykład znów miał brodę, chociaż tylko na połowie twarzy. Miało to związek – tak przynajmniej uważał we śnie – z jakimś projektem badawczym, którego celu nie potrafił jednak ustalić.

W tej chwili miał zresztą własne zmartwienia. Bronił się przed krytyką Millsona, przedstawiciela Administracji Kosmicznej, który nie wiedząc czemu przyłączył się do ich towarzystwa. Floyd próbował dociec, w jaki sposób Millson znalazł się na pokładzie „Wszechświata” (czyżby podróżował na gapę?). To, że administrator nie żył już od czterdziestu lat, nie miało większego znaczenia.

– Heywoodzie – oznajmił jego dawny wróg – Biały Dom jest bardzo zaniepokojony.

– Nie rozumiem dlaczego?

– Z powodu informacji radiowej, którą niedawno wysłałeś na Europę. Czy miałeś pozwolenie Departamentu Stanu?

– Nie myślałem, że to konieczne. Nadałem tylko prośbę o zezwolenie na lądowanie.

– No właśnie! Do kogo ją nadałeś? Czy utrzymujemy stosunki z rządem tej planety? Obawiam się, że nie. Działasz wbrew przepisom!

Millson zniknął, wciąż mruczając coś pod nosem. Dobrze, że to tylko sen – pomyślał Floyd. A to co znowu?

No cóż, mogłem się tego spodziewać. Czołem, stary druhu! Robią cię we wszystkich rozmiarach, prawda? No tak, AMT-1 nie zmieściłaby się w mojej kabinie, a jej Wielki Brat z łatwością mógłby wchłonąć dziesięć „Wszechświatów”.

Czarny Monolit stał – a raczej pływał – zaledwie dwa metry od koi. Floyd z przestraszeniem zauważył, że bryła dokładnie odpowiada kształtem i rozmiarami zwykłemu nagrobkowi. Nieraz zwracano mu uwagę na to podobieństwo, lecz dopiero teraz - wskutek zmiany skali – mógł je należycie ocenić. I wcale nie było mu z tym dobrze. Odczuwał niepokój, nawet strach... Wiem, że to tylko sen, ale ludziom w moim wieku nie trzeba przypominać o śmierci.

No dobrze, co tu robisz? Przynosisz jakieś wieści od Davida Bowmana? A może sam jesteś Davem?

Nie, wcale nie liczyłem, że mi odpowiesz. Nigdy nie byłeś specjalnie rozmowny, prawda? Lecz gdziekolwiek się pojawiłeś, tam zawsze działo się coś niezwykłego. Sześćdziesiąt lat temu wysłałeś z Tycho sygnał w stronę Jowisza. Musiałeś poinformować swoich, że cię odkopaliśmy. A co zrobiłeś z samym Jowiszem dziesięć lat później!?

Co teraz zamierzasz?

## VI

### Przystań

#### 43. Ocalenie

Pierwszym zadaniem kapitana Smitha i jego załogi po wylądowaniu na <MI>terra firma była konieczność reorientacji. „Galaktyka” bowiem zmieniła swoje położenie i to, co dawniej było ścianą, stało się teraz podłogą. Statki kosmiczne buduje się z myślą o różnych warunkach działania w stanie nieważkości i w orientacji pionowej – podczas pracy silników – wzdłuż osi rakiety. A teraz „Galaktyka” leżała niemal poziomo, przypominając olbrzymią, przewróconą na

bok latarnię morską. Niezbędne okazało się więc przestawienie wszystkich mebli, gorsze było jednak to, że połowa instrumentów pokładowych nie działała należycie.

Mimo niedogodności położenie statku okazało się błogosławieństwem, które w pełni wykorzystał kapitan Laplace. Członkowie załogi byli tak zajęci przebudową „Galaktyki” – priorytet miały, rzecz jasna, instalacje hydrauliczne – że dowódca nie musiał martwić się o ich morale. Dopóki kadłub statku pozostanie szczelny, a generatory mionowe sprawne, nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Muszą tylko przetrwać dwadzieścia najbliższych dni, a potem ocalenie przyniesie zstępujący z nieba „Wszechświat”. Nikt głośno nie mówił, że nieznana potęga władająca Europą może się sprzeciwić drugiemu lądowaniu. Ale do tej pory przecież nic się nie stało, zignorowano ich, dlatego więc ktoś miałby przeszkadzać misji ratowniczej? Sama Europa okazała się jednakże nie tak wspaniałomyślna. Gdy „Galaktyka” dryfowała po otwartym morzu, niestraszne jej były wstrząsy sejsmiczne targające małym globem. Teraz statek był uwięziony na lądzie – już na zawsze – i co kilka godzin miotają nim sejsmiczne paroksyzmy. Gdyby wylądował w nor malnej, pionowej pozycji, od dawna leżałby przewrócony na bok. Wstrząsy trudno by uważać za przyjemne, lecz nie stanowiły one bezpośredniego zagrożenia dla ludzi. Mimo to ci spośród załogi, którzy pamiętali bądź przeżyli trzęsienia ziemi w Tokio w 2033 albo w Los Angeles w 2045 roku, cierpieli z powodu koszmarnych snów. I na nic zdała się świadomość, że wstrząsy występują w łatwych do przewidzenia momentach i zwiększają swą siłę oraz częstotliwość co trzy i pół dnia, kiedy Europa zbliża się do Io, pędzącego po wewnętrznej części swojej orbity. Mało pocieszające było również to, że pływy grawitacyjne Europy wywołują podobne perturbacje na Io.

Po sześciu dniach wytężonej pracy kapitan Laplace stwierdził z zadowoleniem, że statek wygląda i funkcjonuje bez zarzutu - oczywiście jeśli uwzględnić jego położenie. Ogłoszone zostało święto, które większość załogi spędziła śpiąc. Następnie zaczęło się planowanie zadań na drugi tydzień pobytu na satelicie.

Naukowcy chcieli zbadać nowy świat, na którym tak nieoczekiwanie przyszło im zamieszkać. Według map radarowych nadesłanych przez Ganimedesa wyspa miała piętnaście kilometrów długości i pięć szerokości. Najwyższe wzniesienie sięgało zaledwie stu metrów – za nisko, stwierdził ktoś ponuro, żeby uciec przed prawdziwym tsunami.

Trudno sobie wyobrazić bardziej niegościnne i posępne miejsce. Pół wieku działalności tutejszych słabych wiatrów i deszczy nie naruszyło poduchy lawy, okrywającej połowę wyspy, ani nie złagodziło ostrych kształtów granitowych bloków wystających z rzeź zamarzniętej skały. Wyspa była jednak ich tymczasowym domem i musieli jej nadać jakąś nazwę.

Beznadziejnie ponure propozycje w rodzaju: Hades, Inferno, Piekło lub Czyściec zostały stanowczo odrzucone przez kapitana. Laplace żądał czegoś pogodniejszego. Natychmiast ktoś zgłosił nieco żartobliwy – lecz wyrażający estymę dla odważnego wroga – pomysł, który miał szansę na akceptację. Przepadł jednak w powszechnym głosowaniu, odrzucony stosunkiem trzydziestu dwóch do dziesięciu głosów: wyspa nie będzie się więc nazywać Różany Ogród. W końcu jednogłośnie zwyciężyła nazwa – Przystań.

#### 44. Wytrwałość<D>

„Historia nigdy się nie powtarza, czego nie można powiedzieć o wydarzeniach historycznych”.

Kapitan Laplace przypomniał sobie to zdanie przekazując swój codzienny meldunek na Ganimesa. Zacytowała je Margaret M'Bala – zbliżająca się do nich z prędkością tysiąca kilometrów na sekundę – w mającej dodać otuchy przemowie adresowanej do rozbitków. – Proszę przekazać panie M'Bala, że jej mała lekcja historii doskonale wpłynęła na postawę załogi. Jesteśmy bardzo wdzięczni za słowa otuchy...

Pomimo niedogodności, którą sprawiły nam podłogi i ściany zamieniając się miejscami – mówił dalej kapitan – żyjemy w luksusowych warunkach w porównaniu z tymi, jakich doświadczyli pierwsi polarnicy. Niektórzy z nas słyszeli o Erneście Shackletonie, ale większość nie znała sagi „Wytrwałości”. Naprawdę trzeba podziwiać ludzi, którzy spędzili rok uwięzieni na krze, potem przeżyli antarktyczną zimę w jaskini, przepłynęli tysiąc kilometrów morzem w otwartej łodzi i wreszcie pokonali nie oznaczone na mapie góry, by dotrzeć do najbliższych ludzkich siedzib! A to był dopiero początek. Najbardziej niesamowite i zarazem inspirujące jest to, że Shackleton wracał cztery razy, by uratować swoich ludzi uwięzionych na małej wyspie – i uratował wszystkich co do jednego! Domyślcie się, jak bardzo potrzebna była nam tego rodzaju opowieść. Wszyscy od razu poczuli się lepiej. Koniecznie przefaksujcie nam tę książkę w czasie następnej transmisji, wszyscy chcą ją przeczytać.

Ciekawe, co by pomyślał Shackleton, jeśli znalazłby się w naszym położeniu? Oczywiście mamy się nieporównanie lepiej niż którykolwiek z dawnych odkrywców. Aż trudno wierzyć, że jeszcze przed kilkudziesięciu laty ludzie znikający za horyzontem byli zupełnie odcięci od reszty swego gatunku. Powinniśmy się wstydzić narzekać na niedostateczną szybkość światła, wskutek czego nie możemy rozmawiać w czasie rzeczywistym z naszymi przyjaciółmi i czekamy po kilka godzin na odpowiedzi z Ziemi... Tamci ludzie nie kontaktowali się z nikim całymi miesiącami, a nawet latami! Panno M'Bala, jeszcze raz serdeczne dzięki.

Oczywiście ziemscy Discovery mieli nad nami tę przewagę, że mogli oddychać powietrzem. Nasz zespół badawczy koniecznie chciał wyjść poza statek, musieliśmy więc trochę zmodyfikować skafandry. Teraz można w nich przebywać na zewnątrz około sześciu godzin. Przy tutejszym ciśnieniu atmosferycznym nie trzeba pełnego zabezpieczenia, wystarczy osłona od pasa w górę. Wypuszczam po dwóch ludzi za jednym razem, pod warunkiem wszakże, iż pozostaną w zasięgu wzroku, nie pójdą dalej.

Na koniec informacja o pogodzie. Ciśnienie wynosi dzisiaj 250 barów, temperatura na stałym poziomie dwudziestu pięciu stopni, wiatr zachodni, w porywach do trzydziestu kilometrów na godzinę, zachmurzenie jak zwykle – całkowite. Wstrząsy sejsmiczne o sile od jednego do trzech na otwartej skali Richtera...

Nawiasem mówiąc, nigdy nie podobał mi się termin „otwarta skala” Richtera, szczególnie teraz, gdy znów zbliża się koniunkcja Io...

#### 45. Misja

Gdy członkowie załogi prosili o grupową audiencję, kapitan Laplace wiedział, że nieuchronne będą kłopoty, a co najmniej czeka go podjęcie trudnej decyzji. Od jakiegoś czasu – o czym nie omieszkało go powiadomić – Chris Floyd i van der Berg spędzali wiele godzin na poważnych dyskusjach. Często dołączał do nich drugi oficer Chang i choćby z tego powodu nietrudno było zgadnąć, czego dotyczą rozmowy. Mimo to zgłoszona przez nich propozycja zaskoczyła Laplace'a.

– Chcecie zbadać Górę Zeusa! Jak, jeśli wolno spytać? Może popłyniecie tam w otwartej łodzi? Zdaje się, że odbiło wam po przeczytaniu tej książki o Shackletonie...

Floyd wyglądał na lekko skonsternowanego. Kapitan trafił w dziesiątkę. W rzeczy samej <MI>Południe<D> zainspirowało ich pod wieloma względami.

– Nawet gdybyśmy mogli zbudować łódź, zajęłoby nam to za wiele czasu. „Wszechświat” ma być tutaj za dziesięć dni...

– Nie jestem także pewny – dodał van der Berg – czy chciałbym pływać akurat po tym Morzu Galilejskim. Trudno zakładać, iż wszyscy jego mieszkańcy dowiedzieli się, że jesteśmy niejadalni.

– W takim razie zostaje tylko jedno wyjście, prawda? Z góry zaznaczam, że do propozycji jestem nastawiony sceptycznie, ale z chęcią dam się przekonać. Mówcie.

– Rozmawialiśmy o tym z panem Changiem i on twierdzi, że jest to możliwe. Góra Zeusa leży w odległości trzystu kilometrów. Prom doleci do niej w niecałą godzinę.

– A co ze znalezieniem lądowiska? Jak sobie zapewne przypominacie, poprzednim razem pan Chang miał z tym niemało problemów.

– To nie to samo, sir. Prom „William Tsung” ma tylko setną część masy „Galaktyki”.

Przypuszczam, że utrzyma się na lodzie. Przeglądaliśmy filmy z naszej próby lądowania i znaleźliśmy tam przynajmniej dziesięć lądowisk odpowiednich dla promu.

– Poza tym – włączył się van der Berg – nikt nie będzie pilotowi przystawiał pistoletu do głowy. A to różnica...

– Z pewnością. Największy jednak problem istnieje tutaj. W jaki sposób chcecie wydobyć prom z garażu? Ustawicie dźwig? Nawet przy tej grawitacji będzie to dość duży ciężar.

– Nie ma takiej potrzeby, sir. Pan Chang wyleci promem z garażu.

Zapadła długa cisza. Kapitan Laplace rozważał – bez entuzjazmu – pomysł odpalenia silników rakietowych wewnątrz jego statku. Mały, stutonowy prom „William Tsung” – potocznie nazywany „Billy Tee” – zaprojektowano wyłącznie do operacji orbitalnych. Zazwyczaj był wypychany delikatnie z garażu poza statek i dopiero w próżni, w bezpiecznej odległości od macierzystej jednostki, odpalał rakietowe silniki.

– Opracowaliście, rzecz jasna, wszystkie szczegóły – stwierdził z przekąsem kapitan. –

Chciałbym jednak wiedzieć, co zamierzacie w sprawie kąta startu? Tylko mi nie mówcie, że macie zamiar przeturlać „Galaktykę” i ustawić w taki sposób, żeby „Billy Tee” mógł wylecieć wprost do góry. Garaż przy obecnym położeniu statku znajduje się w połowie jego boku. Macie

szczęście, że nie jest pod brzuchem, choć przy waszej determinacji na pewno zrobilibyście podkop...

– Start odbędzie się pod kątem sześćdziesięciu stopni do poziomu. Silniki położenia powinny dać sobie z tym radę.

– Jeśli pan Chang tak twierdzi, to nie mam powodu, by mu nie wierzyć. Co z odrzutem we wnętrzu statku?

– Cóż, garaż ulegnie zniszczeniu, ale i tak już nigdy nie będziemy z niego korzystali. Grodzie powinny wytrzymać, były budowane z myślą o przypadkowych wybuchach. Sądzę więc, że reszcie statku nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Poza tym na wszelki wypadek będą czuwać ekipy strażackie.

Pomysł był niewątpliwie genialny. Gdyby się udało, misja nie zakończyłaby się całkowitą porażką. W ciągu minionego tygodnia kapitan Laplace wcale nie pamiętał o tajemnicy Góry Zeusa, która sprowadziła na nich nieszczęście. Wtedy liczyło się tylko przetrwanie. Odkąd jednak pojawiła się nadzieja na ratunek, mieli dość czasu, by myśleć o przyszłości. Warto było zaryzykować i przekonać się, dlaczego ten mały świat stał się przyczyną tak wielkiej intrygi.

#### 46. Prom

– Jeśli dobrze pamiętam – stwierdził doktor Anderson – pierwsza rakieta Goddarda przeleciała około pięćdziesięciu metrów. Ciekawe, czy panu Chang uda się pobić ten rekord?

– Mam nadzieję, w przeciwnym razie wszyscy popadniemy w kłopoty. Większość naukowców zebrała się w kabinie obserwacyjnej i każdy z niepokojem patrzył na widoczny przez boczne okna kadłub statku. Pod takim kątem nie mogli, co prawda, widzieć wylotu garażu, ale z łatwością zobaczą „Billy'ego Tee”, jeśli zdoła się on wydobyć z wnętrza „Galaktyki”.

Nie było odliczania. Chang nie śpieszył się sprawdzając działanie wszystkich instrumentów. Odpali, kiedy uzna to za stosowne. Prom został ogołocony z niepotrzebnych detali i zatankowany na sto sekund lotu. Jeśli się uda, paliwa na pewno wystarczy; jeśli nie, większa ilość mogłaby okazać się niebezpieczna.

– Jedziemy – rzucił od niechcienia Chang.

Wyglądało to niemal jak sztuczka prestidigitatora. Wszystko potoczyło się w takim tempie, że obserwujący start nie zdążyli zareagować. Nikt nie zauważył, kiedy „Billy Tee” opuszczał



garaż, prom skrywała bowiem chmura dymu. Gdy wiatr ją rozwiął, „Billy” lądował już w odległości dwustu metrów od statku.

W kabinie obserwacyjnej rozległ się głośny krzyk radości.

– Udało się! – wrzasnął były kapitan Lee. – Pobił rekord Goddarda!

Stojący na czterech krótkich nóżkach prom wyglądał jak większa i brzydsza wersja księżycowego modułu „Apolla”. Kapitan Laplace miał jednak inne skojarzenie: zdawało mu się, że jego statek jest uwięzionym na mieliźnie wielorybem, który na obcym sobie lądzie wydał na świat jedno młode. Miał nadzieję, że ono przetrwa.

Po czterdziestu ośmiu godzinach wypełnionych pracą „William Tsung” był załadowany, sprawdzony podczas dziesięciokilometrowego lotu nad wyspą i gotów do podjęcia misji. Wciąż mieli na nią mnóstwo czasu. Według najbardziej optymistycznych rachunków „Wszechświat” nie zjawi się na Europie w ciągu następnych trzech dni, a wyprawa na Górę Zeusa powinna zająć – biorąc pod uwagę czas potrzebny na rozstawienie armii instrumentów van der Berga – nie więcej niż sześć godzin.

Kapitan Laplace wezwał do siebie drugiego oficera Changa, zaraz gdy ten wyprowadził prom z garażu. Dowódca – pomyślał Chang – nie ma wesołej miny.

– Dobra robota, Walter. Rzecz jasna, tego właśnie wymagamy od naszych ludzi.

– Dziękuję, sir. O co więc chodzi?

Kapitan uśmiechnął się. Zgrana załoga nie może mieć przed sobą tajemnic.

– Centrala, jak zwykle. Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale dostałem polecenie, by na wyprawę zezwolić jedynie van der Bergowi i drugiemu oficerowi Floydowi.

– Rozumiem – odparł Chang z odrobiną goryczy w głosie. - Czy pan się zgodził?

– Jeszcze nie. Dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Jestem gotów im powiedzieć, że tylko ty możesz pilotować prom.

– Będą wiedzieć, że to absurd. Przecież Floyd też jest pilotem i poprowadzi misję nie gorzej niż ja; jeżeli oczywiście nie będzie awarii, a to może przydarzyć się każdemu.

– Wciąż jestem gotów upierać się przy tobie, jeśli chcesz. Nikt nie może mnie powstrzymać, a po powrocie na Ziemię wszyscy będziemy bohaterami.

Chang zamyślił się. Wyraz jego twarzy świadczył, że prowadzi szybko jakieś skomplikowane obliczenia. Ich wynik musiał okazać się pozytywny, uśmiechnął się bowiem po chwili.

– Gdyby zastąpić kilkaset kilogramów ładunku paliwem, otworzyłyby się przed nami nowe, interesujące możliwości. Chciałem wspomnieć o tym wcześniej, ale „Billy Tee” nie dałby sobie rady z całym sprzętem i pełną załogą...

– Nie kończ. Myślisz o Wielkim Murze.

– Tak jest, sir. Wystarczyłby jeden, najwyżej dwa przeloty, żeby się przekonać, co to jest naprawdę.

– Myślę, że doskonale to wiemy, natomiast nie jestem pewien, czy powinniśmy się do niego zbliżyć. Lepiej nie kusić szczęścia.

– To prawda, sir. Ale jest jeszcze jeden powód, bardzo ważny dla niektórych z nas...

– Jaki?

– „Tsien”. Wrak powinien znajdować się w odległości dziesięciu kilometrów od Muru. Chcielibyśmy zrzucić tam wieniec.

A więc to o tym tak zawzięcie dyskutowali jego chińscy oficerowie! Kapitan Laplace żałował nie po raz pierwszy, że swego czasu nie opanował dialektu mandaryńskiego.

– Rozumiem – odrzekł cicho. – Będę to musiał przemyśleć i omówić z van der Bergiem i Floydem. Mam nadzieję, że się zgodzą.

– A co z Centralą?

– Niech ją szlag! Sam podejmę decyzję.

#### 47. Odpryski<D>

– Lepiej się pośpieszcie – radziła Centrala z Ganimedesa. – Następna koniunkcja zapowiada się fatalnie, bo oprócz Io będziecie mieli także nas na karku. Nie chcemy was straszyć, ale założywszy, że nasz radar nie oszalał, góra zapadła się o kolejne sto metrów od ostatniego pomiaru.

W takim tempie, pomyślał van der Berg, za dziesięć lat Europa znów będzie płaska. Tutaj wszystko działa się szybciej niż na Ziemi, dlatego i ów księżyc cieszył się taką popularnością wśród geologów.

Van der Berg siedział przypięty pasami do fotela numer dwa, tuż za plecami Floyda. Niemal ze wszystkich stron otaczały go konsolety naukowego sprzętu. Wyruszając w tę podróż odczuwał podniecenie i żal, oto bowiem za kilka godzin dobiegnie końca największa intelektualna przygoda jego życia. Wszystko wyjaśni się w taki czy inny sposób. W przyszłości nie wydarzy się już nic równie wielkiego.

Nie bał się. Całkowicie ufał człowiekowi i maszynie. W głębi duszy wdzięczny był nieszczęsnej Rose McCullen, bez której nigdy by tu nie wylądował i zapewne zszedł z tego świata niepewny własnych odkryć.

Wylądowany „Billy Tee” z trudem pokonywał przy starcie jedną dziesiątą grawitacji. Prom zbudowano z myślą o innej pracy, toteż będzie mu łatwiej wracać do domu, gdy już pozbędzie się ładunku. Dwaj lecący nim ludzie z napięciem obserwowali opadającą w ślimaczym tempie powierzchnię Europy. Mieli wrażenie, że samo tylko wzniesienie się ponad „Galaktykę” trwa całe wieki. Czas ten pozwolił dokładnie przyjrzeć się uszkodzeniom kadłuba i śladom korozji, wywołanej przez padające niekiedy lekko kwaśne deszcze. Floyd był skoncentrowany na procedurze startu. Van der Berg przekazał w tym czasie krótki raport na temat stanu technicznego statku widzianego z tak dogodnej pozycji. Postąpił słusznie, chociaż zdawał sobie sprawę, że jeśli dopisze im szczęście, stan techniczny „Galaktyki” nie będzie miał wkrótce żadnego znaczenia.

Chwilę później patrzyli na rozciągniętą w dole całą Przysiań, a van der Berg pomyślał pełen podziwu o wspaniałej robocie wykonanej przez pełniącego obowiązki kapitana Lee. Nie można było lepiej zakotwiczyć statku. Na całej wyspie tylko kilka miejsc nadawało się do bezpiecznego lądowania. Lee miał sporo szczęścia, któremu umiejętnie dopomógł wykorzystując wiatr i pływającą kotwicę.

Otoczyła ich mgła. „Billy Tee” wznosił się po semibalistycznej trajektorii, minimalizującej wpływ ciężenia. Potrwa ze dwadzieścia minut, zanim będzie można coś wypatrzeć. Szkoda, pomyślał van der Berg. W dole na pewno pływają jakieś ciekawe stwory, których już nikt nigdy nie zobaczy...

– Minuta do wyłączenia silników – zameldował Floyd. – Wskaźniki w normie.

– Doskonale, „Billy Tee”. Na twojej wysokości brak ruchu powietrznego. Ciągłe masz priorytet na pasie lądowania.

– Co to za dowcipniś? – zapytał van der Berg.

– Ronnie Lim. Sam tego nie wymyślił. Termin „priorytet na pasie lądowania” wywodzi się z czasów misji „Apolla”.

Van der Berg zrozumiał żart. Poczucie humoru – byle nie w przesadnej dawce – było najlepszym środkiem rozładowującym napięcie ludzi zajętych skomplikowanymi i niebezpiecznymi czynnościami.

– Piętnaście minut do hamowania – zameldował Floyd. – Sprawdźmy, kto oprócz nas rozmawia w eterze.

Włączył automatyczną funkcję przeglądu pasm radiowych. W kabinie rozległy się gwizdy i bzyki oddzielane krótkimi chwilami ciszy. Tuner rezygnował z nieczytelnych częstotliwości wspinając się po radiowej skali.

– Tylko miejscowe radiolatarnie i transmisje danych – meldował Floyd. – Miałem nadzieję, że... Aha, mam cię!

Usłyszeli słaby muzyczny ton, wznoszący się i opadający niczym śpiew szalonej sopranistki.

Floyd spojrzął na wyświetlacz częstotliwości.

– Minimalne przesunięcie Dopplera. Hamują całą mocą.

– Co to – tekst?

– Chyba skaner wideo. Przesyłają mnóstwo materiałów na Ziemię przez wielką antenę Ganimedesa. Telewizja domaga się nowości.

Słuchali hipnotycznego, ale bezsensownego dźwięku przez kilka minut. Potem Floyd wyłączył radio. Choć transmisja z „Wszechświata” była nieczytelna dla ludzkich zmysłów, zawierała najistotniejszą wiadomość: pomoc nadchodzi i niedługo będzie tutaj!

Chcąc zabić czas, a także z czystej ciekawości, van der Berg zapytał Floyda: – Rozmawiałeś ostatnio z dziadkiem?

Oczywiście nie miał na myśli rozmowy w czasie rzeczywistym, wykluczonej tam, gdzie w grę wchodziły planetarne odległości. Do tej pory nikt jednak nie znalazł dobrego synonimu słowa „rozmawiać”. Pojawiały się na krótko, po czym przepadały na zawsze wyrazy potworki w rodzaju: „głosogram”, „audiopoczta” czy „głoskarta”. Nawet teraz większość ludzi nie mogła uwierzyć, że rozmowy w czasie rzeczywistym stają się niemożliwe po przekroczeniu pewnej

odległości w Układzie Słonecznym, i często słyszało się zadawane przez laików pytanie:  
„Dlaczego naukowcy jakoś temu nie zaradzą?”

– Tak – odparł Floyd. – Dziadek trzyma się świetnie i bardzo chcę się z nim spotkać.

W jego głosie można było wyczuć lekkie napięcie. Ciekawe, myślał van der Berg, kiedy widzieli się po raz ostatni? Wolał jednak nie pytać, byłoby to nietaktem. Przez następne dziesięć minut sprawdzali więc z Floydem całą procedurę wyładunku i ustawienia sprzętu. Być może dzięki temu uda im się uniknąć zamieszania po wylądowaniu.

Sygnal „rozpocząć hamowanie” odezwał się ułamek sekundy później, gdy Floyd już rozpoczął tę część programu. Jestem w dobrych rękach, pomyślał van der Berg. Nie pozostaje mi nic innego, jak wziąć głęboki oddech i skupić się na własnej robocie. Gdzie się podziała ta kamera? Niemożliwe, znów odpłynęła...

Chmury rzedyły. Choć radar ukazywał niemal naturalny obraz tego, co znajdowało się pod nimi, przeżyli szok po raz pierwszy, widząc górę wznoszącą się zaledwie kilka kilometrów od promu.

– Spójrz! – krzyknął Floyd. – Tam po lewej, obok tego podwójnego szczytu... Daję ci jedną szansę na odgadnięcie!

– Masz rację. Zdaje się, że nasz penetrometr nie spowodował żadnych szkód. Po prostu rozprysnął się na kawałki. Ciekawe, gdzie uderzył ten drugi?

– Wysokość tysiąc metrów. Które lądowisko? Alfa nie wygląda stąd najlepiej.

– Fakt, spróbuj Gammę. Jest bliżej góry.

– Pięćset metrów. Niech będzie Gamma. Zatrzymam się nad nią na dwadzieścia sekund, jeśli ci się nie spodoba, skorzystamy z Beta. Czteryście metrów... Trzyście metrów... Dwieście metrów... („Powodzenia, «Billy Tee»,” – odezwała się „Galaktyka”). Dzięki, Ronnie... Sto pięćdziesiąt metrów... Sto metrów... Pięćdziesiąt metrów... Co myślisz, Rolf? Tylko parę małych skał i – ciekawostka – coś jak potłuczone szkło. Ktoś nieźle się tu zabawił...

Pięćdziesiąt... Pięćdziesiąt... W porządku, Rolf?

– Idealnie. Ląduj.

– Czterdzieści... Trzydzieści... Dwadzieścia... Dziesięć... Nie zmieniłeś zdania...? Dziesięć...

Trochę tu nakurzyliśmy, jak powiedział kiedyś Neil, a może Buzz? Pięć... Kontakt! Łatwo poszło, prawda? Nie wiem, za co mi płacą.

48. Lucy<D>

– Halo, Centrala Ganneya. Wylądowaliśmy idealnie – to znaczy Chris wylądował – na płaskiej powierzchni jakiejś metamorficznej skały. Prawdopodobnie jest to ten sam pseudogranit, który nazwaliśmy przystanitem. Od podstawy góry dzielą nas zaledwie dwa kilometry, ale nie ma potrzeby zbliżać się do niej...

Nakładamy teraz górne części skafandrów. Rozpoczniemy rozładunek za pięć minut. Monitory zostawiamy włączone. Będziemy się zgłaszać co kwadrans. Van der, bez odbioru.

– Co miałeś na myśli mówiąc, że „nie ma potrzeby” zbliżać się do góry? – zapytał Floyd.

Van der Berg uśmiechnął się. Podczas ostatnich kilku minut odmłodził o całe lata i zachowywał się jak bez troski chłopiec.

– <MI>Circumspice<D> – rzucił uszczęśliwiony – co po łacinie znaczy: „Rozejrzyj się wokół”.

Najpierw wyjmijemy tę dużą kamerę... Ojej! Co u diabła?

„Billy Tee” opadł nagle o kilka stóp i przez chwilę kołysał się na pneumatycznych nogach podwozia. Gdyby ruch ten trwał dłużej niż kilka sekund, przyprawiłby ich o coś w rodzaju choroby morskiej.

– Ganimedes miał rację co do wstrząsów – stwierdził Floyd, gdy doszli do siebie. – Myślisz, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

– Chyba nie. Do koniunkcji zostało jeszcze trzydzieści godzin, a ta skała wygląda w miarę solidnie. Nie traćmy jednak czasu. Czy mam prawidłowo zamocowaną maskę? Nie czuję się w niej za dobrze.

– Masz luźny pasek. OK. Tak jest lepiej. Wciągnij głęboko powietrze – dobrze, teraz pasuje idealnie. Wyjdę pierwszy.

Van der Berg żałował, że nie stanie u podnóża góry jako pierwszy, ale Floyd dowodził misją i do jego obowiązków należało sprawdzenie stanu promu po wylądowaniu, podobnie jak i przygotowanie go do natychmiastowego startu.

Drugi oficer obszedł dokoła cały pojazd, sprawdzając podwozie. Po chwili podniósł do góry kciuk, co oznaczało, że van der Berg może zejść po drabinie na dół. Geolog pracował już w lekkiej masce do oddychania podczas badań Przystani, mimo to nie czuł się w niej dobrze i po zejściu na dół zatrzymał się przy „stopie” podwozia, by poprawić sprzęt. Po chwili podniósł wzrok i zamarł widząc, co zamierza Floyd...

– Nie dotykaj tego! – krzyknął. – To niebezpieczne!

Floyd odskoczył o dobry metr od odprysków szklistej skały, po którą sięgał. Nie był geologiem, dlatego odłamki przypominały mu nieudany wytop z huty szkła.

– Czy to jest radioaktywne? – spytał zaniepokojony.

– Nie. Ale pozwolisz, że ja to najpierw obejrzę.

Floyd zauważył ze zdumieniem, że van der Berg ma na dłoniach grube rękawice. Wszyscy przyzwyczaili się już – mimo początkowych oporów – że na Europie można pracować gołymi rękoma. Nigdzie, nawet na Marsie, nie było takich luksusów.

Van der Berg pochylił się i podniósł ostrożnie długi sopel szkliwa. Nawet w rozproszonym świetle skała lśniła niezwykle blaskiem, a Floyd stwierdził, że ma niesamowicie ostre krawędzie.

– Najostrzejszy nóż w całym Wszechświecie – oznajmił uszczęśliwiony van der Berg.

– Ugrzęźliśmy tutaj z powodu noża?! – spytał z niedowierzaniem Floyd.

Van der Berg roześmiał się, co wcale nie było łatwe z maską na twarzy.

– Wciąż nie wiesz, o co tu chodzi?

– Zdaje się, że tylko ja tego nie wiem.

Geolog ujął Floyda za ramię i odwrócił twarzą do olbrzymiej Góry Zeusa. Widziany z tej odległości szczyt przesłaniał połowę nieba – ponadto był nie tylko największym, lecz co więcej: jedynym wzniesieniem na całej planecie.

– Masz minutę na podziwianie krajobrazu. Muszę się pilnie z kimś skontaktować.

Wystukał sekwencję kodu na swoim zestawie komunikacyjnym, zaczekał, aż zabłyśnie sygnał „Gotów”, po czym powiedział:

– Centrala Ganimedesa, jeden-zero-dziewięć. Mówi van der. Jak mnie słyszysz?

Po wynikającym z odległości opóźnieniu odezwał się niewątpliwie elektroniczny głos:

– Halo, van der. Mówi Centrala Ganimedesa, jeden-zero-dziewięć. Gotów do odbioru.

Van der Berg odczekał kilka sekund, delektując się chwilą, której nie zapomni do końca życia.

– Kontakt Ziemia, identyfikator Oom-siedem-trzy-siedem. Przekaż następującą wiadomość: NA NIEBIE JEST LUCY. NA NIEBIE JEST LUCY. Koniec komunikatu. Powtórz.

Może powinienem go powstrzymać – pomyślał Floyd – bez względu na to, co oznacza to hasło? Ganimedes powtórzył poprawnie informację – było już za późno. Za godzinę komunikat dotrze na Ziemię.

– Wybacz, Chris – rzucił przeproszającym tonem zadowolony z siebie van der Berg. – Mam swoje priorytety, jak każdy zresztą...

– Jeśli natychmiast nie zaczniesz mówić, poćwiartuję cię jednym z tych patentowanych, szklanych noży!

– Oj, nie szklanych, nie szklanych! No cóż, wyjaśnienie wszystkiego – a zapewniam cię, że są to sprawy tyleż fascynujące, co i skomplikowane – zajęłoby mi godzinę. Pozwolisz więc, że podam ci suche fakty.

Otóż Góra Zeusa jest pojedynczym diamentem o masie – w przybliżeniu – miliona, powtarzam: miliona ton! Albo jeżeli wolisz: jakieś dwa razy dziesięć do siedemnastej potęgi karatów. Nie gwarantuję, oczywiście, że cały szczyt ma wartość jubilerską.

## VII

### Wielki Mur

#### 49. Kaplica<D>

Podczas rozładunku sprzętu i ustawiania go na małym, granitowym lądowisku Chris Floyd nie mógł oderwać oczu od gigantycznego klejnotu wznoszącego się nad Europą. Pojedynczy diament – większy od Mount Everestu! Same okruchy wokół promu muszą być warte miliony, jeśli nie miliardy...

Z drugiej strony, ich wartość może spaść do ceny... cóż, szklanej stłuczki. Notowania diamentów zawsze były kontrolowane przez handlarzy i producentów, gdyby na rynku pojawiła się więc nagle prawdziwa diamentowa góra, ceny spadłyby na łeb na szyję. Floyd pojął wreszcie, dlaczego Europa budziła takie zainteresowanie. Ekonomiczne i polityczne skutki objęcia w posiadanie Góry Zeusa były niewyobrażalne.



Po sprawdzeniu wreszcie słuszności swej teorii van der Berg stał się znowu zwykłym, zatopionym w pracy naukowcem, który niecierpliwie oczekuje końcowych wyników eksperymentu. Z pomocą Floyda – sam nie poradziłby sobie z cięższym sprzętem zgromadzonym w kabinie – dokonał najpierw odwiertu rdzenia długości jednego metra. Pobrany materiał zaniósł ostrożnie na prom.

Floyd inaczej rozplanowałby pracę, ale zgadzał się, że najcięższe roboty powinny być wykonane na początku. Gdy rozstawili czujniki sejsmograficzne i panoramiczną kamerę telewizyjną na niskim, ciężkim statywie, van der Berg zgodził się na zebranie kilku ciekawszych okazów bogactw rozsypanych wokół.

– W najgorszym razie – drwił z Floyda, ostrożnie podnosząc co bezpieczniejsze okruchy – będziesz miał wspaniałe prezenty dla dziewcząt.

– Jeśli wcześniej nie zamordują mnie przyjaciele Rosie.

Geolog spojrzał ostro na Chrisa. Zastanawiał się, ile on wie tak naprawdę, a ile zgaduje, podobnie jak reszta.

– Teraz, gdy wyjawiliśmy sekret, nie byłbyś wart zachodu. Za mniej więcej godzinę wszystkie komputery na ziemskich giełdach oszaleją!

– Spryciarz z ciebie – powiedział Floyd bardziej z podziwem aniżeli z wyrzutem. – A więc tego dotyczyła twoja zaszyfrowana wiadomość!

– Nigdzie nie jest napisane, że naukowiec nie może trochę zarobić na boku; zresztą te przyziemne szczegóły zostawiam moim przyjaciółom na ojczystej planecie. Wierz mi, bardziej interesuje mnie praca, którą tu wykonujemy. Podaj mi klucz... tak, ten... jeśli łaska.

Zanim ukończyli rozstawianie automatycznej stacji naukowej u stóp Góry Zeusa, trzykrotnie padali na ziemię zwalani z nóg wstrząsami sejsmicznymi. Najpierw czuli łagodną wibrację skorupy Europy, potem wszystko zaczynało się trząść, wreszcie podskakiwać przy wtórze potwornego, przeciągłego jęku, który niósł się ze wszystkich stron – nawet z góry, co według Floyda było najdziwniejsze w tym wszystkim. Chris nie przywykł jeszcze do tego, że na satelicie istniała wystarczająco gruba warstwa atmosfery, by można było rozmawiać w bliskiej odległości bez pomocy radia.

Van der Berg zapewniał go, że wstrząsy są całkiem nieszkodliwe, ale Floyd nauczył się nie wierzyć do końca ekspertom. To prawda, że geolog dopiero co udowodnił bezspornie, iż można

polegać na jego wiedzy, ale spoglądając na prom, kołyszący się na hydraulicznych nogach niczym miotany sztormem statek, Floyd nie za bardzo ufał zapewnieniom naukowca.

– Zdaje się, że skończyłem – oznajmił ten wreszcie, ku uldze Floyda. – Ganimedes ma wyraźny sygnał na wszystkich kanałach. Miejmy nadzieję, że baterie słoneczne sprawdzą się w tych warunkach.

– Dam głowę, że za tydzień nie będzie śladu po tym żelastwie. Przysięgam, że góra poruszyła się przynajmniej dwa razy, odkąd tu wylądowaliśmy. Lepiej znikajmy, nim zwali się nam na głowy.

– Bardziej się obawiam – zauważył geolog – że odrzut promu zniszczy całą naszą pracę.

– Bądź spokojny. Prom stoi w bezpiecznej odległości od sprzętu, a poza tym po wylądowaniu tych wszystkich śmieci wystartujemy na połowie mocy. Chyba że chcesz jeszcze zabrać ze sobą parę miliardów. Albo trylionów.

– Nie bądźmy chciwi. Tak czy inaczej, nie mam pojęcia, ile to będzie warte po naszym powrocie na Ziemię. Większość okazów zgarną oczywiście muzea, a po nich – kto wie?

Floyd manipulował niestrudzenie przełącznikami na tablicy sterowniczej, rozmawiając jednocześnie z „Galaktyką”.

– Zakończono pierwszy etap misji. „Billy Tee” gotów do startu. Plan lotu – tak jak przewidziano. Nie zdziwili się, słysząc kapitana Laplace'a.

– Jesteście pewni, że chcecie lecieć dalej? Pamiętajcie, że decyzja należy do was. Poprę każdy wasz wybór.

– Tak jest, sir. Bardzo nas to cieszy. Rozumiemy, co czuje załoga. Chodzi nam też o badania naukowe. Obaj jesteśmy podekscytowani...

– Chwileczkę! Wciąż czekamy na wasz meldunek w sprawie Góry Zeusa!

Floyd spojrzął na van der Berga, który wzruszył ramionami i powiedział do mikrofonu:

– Gdybyśmy złożyli go teraz, kapitanie, pomyślałby pan, że oszaleliśmy albo stroimy sobie żarty. Proszę o jeszcze kilka godzin cierpliwości. Do naszego powrotu... z dowodami.

– Hm! Wydawanie rozkazu chyba nie miałoby sensu, prawda? No cóż, życzę powodzenia. Macie też błogosławieństwo właściciela, któremu bardzo spodobał się pomysł uczczenia pamięci „Tsiena”.

– Wiedziałem, że sir Lawrence zgodzi się na tę misję – powiedział Floyd do towarzysza. – „Galaktyka” i tak spisana jest na straty, utrata „Billy'ego Tee” została więc w kalkulowanej w koszty...

Van der Berg rozumiał punkt widzenia Floyda, chociaż nie podpisywał się pod nim do końca. Zyskał już naukową sławę, teraz chciałby się nią nacieszyć.

– A tak przy okazji – odezwał się Floyd – kim była Lucy? Czy to ktoś wyjątkowy?

– Raczej nie, o ile wiem. Natknęliśmy się na nią przeszukując bazy danych i doszliśmy do wniosku, że to idealne tajne hasło. Każdy, kto je usłyszy, natychmiast skojarzy Lucy z Lucyferem, ta półprawda zaś niezawodnie sprowadzi go na manowce.

A sama Lucy? No cóż, jakieś sto lat temu w Europie działała grupa popularnych muzyków, których, nawiasem mówiąc, nigdy nie słyszałem. Nazywali się dziwnie: The Beatles – pisane B-E-A-T-L-E-S – nie pytaj mnie dlaczego. I owi The Beatles napisali piosenkę o równie dziwnym tytule <MI>Lucy na diamentowym niebie<D><\$F <MI>Lucy in the Sky with Diamonds<D> (przyp. tłum.).>. Niesamowite, co? Jakby wiedzieli...

Według map radarowych sporządzonych na Ganimedesie wrak „Tsiena” spoczywał trzysta kilometrów na zachód od Góry Zeusa, na pograniczu tak zwanej Strefy Mroku, za którą rozciągała się wieczna zmarzlina. Zmarzlina istotnie była wieczna, lecz nie panowały tam ciemności – rozświetlało je bowiem odległe Słońce. Jednakże pod koniec długiego solarnego dnia Europy temperatura na powierzchni satelity spadała znacznie poniżej zera. Ponieważ woda w stanie płynnym mogła występować tylko na półkuli zwróconej ku Lucyferowi, na pograniczu panowały bardzo niestabilne warunki atmosferyczne, z licznymi burzami i obfitymi opadami, podczas których o pierwszeństwo walczyły między sobą deszcz z gradem i śnieg z marznącą mżawką.

W okresie półwiecza, które minęło od katastrofy „Tsiena”, wrak statku przemieścił się niemal o tysiąc kilometrów. Zapewne przez kilka lat dryfował – jak „Galaktyka” – po nowo powstałym Morzu Galilejskim, a potem na dłużej spoczął na niegościnnym brzegu pogranicza.

Floyd odebrał radarowe echo wraka pod koniec drugiego trzystukilometrowego skoku promu przez Europę. Sygnał był zdumiewająco słaby jak na tak duży obiekt; zrozumieli dlaczego, gdy przebili się przez chmury.

Wrak statku kosmicznego „Tsien” – pierwszego załogowego pojazdu, który wylądował na satelicie Jowisza – spoczywał w samym środku małego, kolistego jeziora, które nie mogło być tworem naturalnym. Z jeziora odchodził kanał łączący je z morzem, odległym zaledwie o trzy kilometry. Ze statku ocalał jedynie szkielet, i to niekompletny. Wrak został rozebrany do czysta! Kto to mógł zrobić? – pytał sam siebie van der Berg. W okolicy nie było ani śladu życia. Miejsce wyglądało na całkowicie opuszczone. Mimo to nie miał wątpliwości, że coś rozebrało wrak, zrobiło to celowo i z chirurgiczną niemal precyzją!

– Zdaje się, że można lądować – rzucił Floyd i czekał kilka sekund na roztrągnięcie głowy van der Berga. Geolog zajęty był filmowaniem szczątków tajemniczego wraka.

„Billy Tee” usiadł bez kłopotu tuż obok jeziora. Dwaj mężczyźni spojrzeli ponad zimną, ciemną wodę – na pomnik ludzkich wysiłków poznawczych. W żaden sposób nie mogliby dostać się do wraka, co zresztą nie miało znaczenia.

Włożyli skafandry i zanieśli wieniec nad brzeg wody, stanęli z nim w powadze przed obiektywem kamery, po czym rzucili go w stronę pozostałości statku. Hołd od załogi „Galaktyki”. Wieniec był naprawdę ładny, choć wykonany został ze sztucznych materiałów, takich jak folia, plastik, papier i drut. Kwiaty i liście wyglądały jak żywe. Pośród nich znajdowało się wiele karteczek pokrytych starożytnym – zastąpionym teraz przez łacińskie – ideograficznym pismem.

Gdy wracali do promu, Floyd powiedział z namysłem: – Czy zauważyłeś, że z wraka nie została praktycznie ani jedna metalowa część? Tylko szkło, plastik, materiały syntetyczne...

– A sam szkielet, rama?

– Kompozyt węglowo-borowy. Ktoś tutaj bardzo potrzebuje metalu, a co ważniejsze – potrafi go rozpoznać. Ciekawa sprawa...

Bardzo, pomyślał van der Berg. Na świecie, gdzie nie można rozpalić ognia, metale i stopy muszą być tak cenne jak... – właśnie, jak diamenty...

Gdy Floyd składał meldunek do bazy, usłyszał podziękowania od drugiego oficera Changa i jego ziomków. Następnie podniósł prom na wysokość tysiąca metrów i poleciał na zachód.

– Ostatnia runda – powiedział. – Nie ma sensu lecieć wyżej... Będziemy na miejscu za dziesięć minut. Nie wyląduję, rzecz jasna. Jeśli Wielki Mur jest tym, czym sądzimy, iż może być, postąpilibyśmy niezbyt rozsądnie. Przelecimy szybko i wracamy do domu. Przygotuj kamery. Może się to okazać ważniejsze nawet od Góry Zeusa.

Wkrótce przekonam się – dodał w duchu – co czuł dziadek, widząc Mur, nie tak znów daleko od tego miejsca, przed pięćdziesięciu laty. Będziemy mieli o czym rozmawiać, gdy spotkamy się za niecały tydzień... Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

#### 50. Otwarte miasto<D>

Co za okropne miejsce – pomyślał Chris Floyd. Nic, tylko mżawka, tumany śniegu i skrawki łądu poprzecinane smugami lodu. W porównaniu z tym Przystań wydaje się tropikalnym rajem! Wiedział, że jeszcze gorsze warunki panują po nocnej stronie, ledwie kilkaset kilometrów za linią horyzontu.

Ku jego zaskoczeniu pogoda poprawiła się, zanim dotarli do celu. Chmury uciekły wyżej i dostrzegli przed sobą olbrzymią czarną ścianę wznoszącą się niemal na kilometr, i to bezpośrednio na szlaku „Billy'ego Tee”. Mur był tak wielki, że stwarzał z pewnością własny mikroklimat. Powstrzymywał wiatry gigantyczną powierzchnią, wokół której panował zupełny spokój.

Był to Monolit. Jego kształt rozpoznałoby każde ziemskie dziecko. Lecz tym razem Monolit nie był sam: u jego podnóża dostrzegli setki kopulastych budowli, lśniących upiorną bielą w promieniach wiszącego nisko słońca, które kiedyś było Jowiszem. Zupełnie jak ule – pomyślał Floyd – ulepione ze śniegu ule. Kształt budowli nasuwał jakieś skojarzenia – niewątpliwie związane z Ziemią – które wyartykułował Rolf.

– Igloo! – oznajmił triumfalnie. – Ten sam problem, to samo rozwiązanie. W okolicy nie ma innego materiału budowlanego oprócz skał, znacznie trudniejszych w obróbce. Pomaga im też słabe przyciąganie. Niektóre kopuły są dość duże. Ciekawe, kto w nich mieszka?...

Byli jeszcze za daleko, żeby dostrzec istoty zamieszkujące to małe miasto na końcu świata. Miasto bez ulic.

– Wenecja! Lodowa Wenecja! – krzyknął Floyd. – Igloo i kanały.

– To muszą być jakieś stworzenia ziemno-wodne – dorzucił van der Berg. – W zasadzie można się było tego spodziewać. Ciekawe, gdzie są teraz?

– Mogliśmy je spłoszyć. „Billy Tee” robi sporo hałasu na zewnątrz.

Van der Berg był tak zajęty filmowaniem i składaniem meldunków o wszystkim „Galaktyce”, że nie odpowiedział od razu. Upłynęło kilka minut, nim odezwał się ponownie:

– Nie możemy stąd odlecieć bez próby nawiązania kontaktu. Miałeś rację, to jest ważniejsze od Zeusa!

– I niebezpieczniejsze.

– Nie widzę śladu zaawansowanej technologii. Przepraszam, to coś... wygląda jak stary dwudziestowieczny radar! Możesz podlecieć bliżej?

– I dać się zestrzelić? Nie, dziękuję. Poza tym mamy za mało paliwa. Możemy tu zostać jeszcze dziesięć minut, jeśli myślisz o powrocie do domu.

– A czy nie moglibyśmy wylądować i rozejrzeć się po okolicy? Tam dalej widzę kawałek skały. Gdzie oni się pochowali, do cholery?!

– Boją się, tak jak i ja. Dziewięć minut. Przelecę jeszcze raz nad miastem. Filmuj wszystko, co widzisz. Tak, „Galaktyko”, słyszę cię, wszystko w porządku, jesteście trochę zajęci. Połączymy się później.

– Wiesz co, to nie jest radar. Wygląda na coś sprytniejszego. Spójrz, wycelowany prosto w Lucyfera... To piec słoneczny! Bardzo rozsądnie. Jedyne kumulowanie ciepła na planecie, gdzie słońce stoi w miejscu i gdzie nie ma ognia.

– Osiem minut. Szkoda, że wszyscy pochowali się w domach.

– Albo w wodzie. Czy możemy zerknąć na ten duży budynek pośrodku placu? Wygląda jak ratusz!

Van der Berg wskazywał na konstrukcję większą od pozostałych i wyglądającą inaczej. Składała się z pionowo ustawionych cylindrów, przypominających olbrzymie puszczalki organów. Co więcej, budowla nie była śnieżnobiała jak wszystkie igloo. Całą powierzchnię „ratusza” pokrywał misterny deseń.

– Europejska sztuka! – krzyknął van der Berg. – To musi być jakiś fresk! Bliżej! Bliżej! Trzeba to sfilmować!

Floyd posłusznie wykonał manewr i prom zaczął opadać coraz niżej, niżej i niżej. Dowódca „Billy'ego Tee” musiał zapomnieć o wcześniejszych obawach co do ilości paliwa. Van der Berg stwierdził z niedowierzaniem, że Chris ma zamiar wylądować.

Geolog oderwał oczy od szybko zbliżającej się powierzchni Europy, by spojrzeć na pilota. Chris całkowicie panował nad statkiem, ale wyglądał jak zahipnotyzowany. Wpatrywał się w jeden punkt gdzieś w dole.

– Co się dzieje, Chris? – zawołał naukowiec. – Na pewno wiesz, co robisz?

– Oczywiście. Nie widzisz go?

– Kogo, na Boga?!

– Tego człowieka, który stoi przy największym cylindrze. Bez maski i bez skafandra!

– Nie bądź idiotą, Chris! Tam nikogo nie ma!

– Patrzy na nas. Macha... Chyba go rozpoznaj... O, mój Boże!

– Chris, powtarzam: tam nikogo nie ma! Nie ma! Do góry! Leć do góry!

Floyd nie zwracał na niego uwagi. Był zupełnie spokojny. Posadził „Billy'ego Tee” z wprawą profesjonalisty, nie zapominając o wyłączeniu silników tuż przed lądowaniem.

Bardzo dokładnie sprawdził odczyty instrumentów i włączył odpowiednie zabezpieczenia. Gdy ukończył czynności związane z lądowaniem, uniósł głowę i wyjrzał przez luk obserwacyjny. Na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech.

– Witaj, dziadku – powiedział miękko, tyle że nie wiadomo do kogo.

## 51. Zjawia<D>

Zdaje się, że śnię najgorszy koszmar w swoim życiu – pomyślał doktor van der Berg. Jestem uwięziony w maleńkiej kapsule na obcym świecie, mając szaleńca za towarzysza. Całe szczęście, że jest spokojny. Może uda mi się go przekonać, by wystartował i zawiózł nas całych i zdrowych na „Galaktykę”...

Chris wciąż patrzył w pustkę i od czasu do czasu poruszał ustami, prowadząc cichą rozmowę. W obcym mieście nie było żywego ducha, igloo zaś wyglądały jak opuszczone przed wiekami. A przecież van der Berg dostrzegł całkiem wyraźne ślady pozostawione przez mieszkańców.

Rakiety promu stopiły, co prawda, cienką warstewkę śniegu w miejscu lądowania, jednakże

reszta placu pozostała zaśniewiona. I oto Rolf miał przed sobą jakby wyrwaną z książki stronicę inkrustowaną jakimiś znakami i hieroglifami. Część z nich potrafił odczytać.

Niedawno przez plac ktoś ciągnął jakiś ciężki przedmiot – a może był to pojazd poruszający się niezdarnie dzięki własnemu napędowi? Do zamkniętych drzwi jednego z igloo prowadził niewątpliwie ślad kół. Dalej – za daleko, by można było rozróżnić szczegóły- leżał mały obiekt, coś jakby wyrzucony pojemnik. Ciekawe, czy Europejczycy śmieciłi tak samo jak ludzie...

Wszędzie były widoczne ślady życia, a van der Berg poczuł się tak, jakby obserwowały go tysiące oczu lub narządy innych zmysłów. Nie miał pojęcia, czy kierujące nimi umysły są przyjazne, czy wrogie. A może zachowują obojętność i czekają na odlot intruzów, by wrócić do swych tajemniczych zajęć?

Potem Chris odezwał się ponownie, rzucając w pustkę: – Do widzenia, dziadku. – Mówił cicho, jakby ze smutkiem. Zwracając się do van der Berga, dodał normalnym głosem: – Powiedział mi, że powinniśmy wracać. Myślisz zapewne, że oszalałem.

Najlepiej będzie zaprzeczyć – pomyślał van der Berg. Nie uczynił tego od razu, a po chwili miał już inne zmartwienia na głowie.

Floyd wpatrywał się z niepokojem w odczyty komputera pokładowego. Po chwili się odezwał: – Wybacz van, ale przy lądowaniu straciliśmy więcej paliwa, niż przewidywałem. Będziemy musieli zmienić profil misji.

Ciekawy sposób – myślał van der Berg – na powiedzenie mi, że nie wrócimy do domu! Z trudem powstrzymał cisnący się na usta okrzyk: „Niech szlag trafi twojego dziadka!” Zamiast tego spytał: – Co robimy?

Floyd uważnie badał jakiś wykres i wystukiwał liczby na klawiaturze.

– Nie możemy tutaj zostać... (Dlaczego nie? – pomyślał van der Berg. – Jeśli mamy umrzeć, moglibyśmy przed śmiercią dowiedzieć się czegoś pożytecznego.) ...musimy znaleźć miejsce, z którego zabierze nas prom z „Wszechświata”.

Geolog odetchnął z ulgą. Głupio, że sam na to nie wpadł. Poczul się jak ktoś, komu na szubienicy odczytano ulaskawienie. „Wszechświat” doleci na Europę za mniej więcej cztery dni. Warunki na promie na pewno nie są luksusowe, lepsze jednak to niż... Wolał nie myśleć o innych możliwościach.



– ...miejsce, gdzie znajdziemy lepsze warunki pogodowe, płaską, odporną na wstrząsy powierzchnię. Bliżej „Galaktyki”, choć to chyba bez różnicy. Tak, nie powinniśmy mieć z tym problemów. Paliwa starczy nam na pięćset kilometrów. Nie możemy jednak ryzykować przelotu nad oceanem.

Van der Berg pomyślał z żalem o Górze Zeusa. Ileż mogliby tam działać! Ale wstrząsy sejsmiczne – coraz silniejsze wraz ze zbliżaniem się koniunkcji Io – całkowicie wykluczały ten region. Zastanawiał się, czy instrumenty rozstawione u podnóża góry wciąż jeszcze działają. Sprawdzi to, zaraz gdy uporają się z pilniejszym zadaniem.

– Polecę wzdłuż wybrzeża aż do równika... To chyba najlepsze miejsce, przynajmniej dla promu. Mapy radarowe wskazują dosyć płaski obszar sześćdziesiąt kilometrów na zachód, w głębi łądu.

– Wiem, Płaskowyż Masada – powiedział van der Berg. (Kolejna szansa na badania – dodał w myślach. – Nie wolno tracić takiej okazji...)

– A więc niech będzie płaskowyż. Żegnaj, Wenecjo. Do widzenia, dziadku...

Gdy zamarł łoskot hamujących silników raketowych, Chris Floyd po raz ostatni zabezpieczył sekwencję startową promu. Potem rozpiął pasy i wyciągnął przed siebie ramiona i nogi w maleńkiej kabinie „Billy'ego Tee”.

– Niezły krajobraz jak na Europę – powiedział ochoczo. – Mamy cztery dni, by się przekonać, czy racje żywnościowe na promach zasługują na tak złą markę. Kto więc zaczyna mówić pierwszy – ja czy ty?

## 52. Na leżance<D>

Szkoda, że nie studiowałem psychologii – pomyślał van der Berg. – Byłoby mi łatwiej zbadać parametry jego omamów. W zasadzie sprawuje się całkiem normalnie i gdyby nie te złudzenia... Przy jednej szóstej grawitacji wszystkie siedzenia są wygodne, mimo to Chris rozłożył swój fotel do niemal poziomej pozycji i położył się z rękami za głową. Van der Berg przypomniał sobie, że tak właśnie kładli się pacjenci w czasie rozmów z psychiatrami w starych, dobrych czasach jeszcze nie całkiem zapomnianej freudowskiej psychoanalizy.

Z ochotą pozwolił Chrisowi, by mówił pierwszy – po części dlatego, że był bardzo ciekaw jego relacji, po części zaś z przekonania, że im szybciej Floyd wyrzuci z siebie te bzdury, tym łatwiej będzie go wyleczyć, a przynajmniej unieszkodliwić. Diagnoza Rolfa nie była optymistyczna: pilot musiał od dawna przeżywać skrywane głęboko problemy, które kumulując się w określonych okolicznościach, wywołały ostrą psychozę.

Niepokojące było jednak to, że Chris nieświadomie potwierdzał jego przypuszczenia, stawiając własną diagnozę.

– Po badaniach psychologicznych w firmie przyznano mi kategorię A.1 plus – mówił – to zaś oznacza, że mam prawo wglądu do swoich papierów. Tylko dziesięć procent pracowników ma ten przywilej. Jestem zdumiony nie mniej niż ty, ale nie ulega wątpliwości, że widziałem dziadka i rozmawiałem z nim. Nigdy nie wierzyłem w duchy – kto zresztą dzisiaj w nie wierzy? – ale to spotkanie może oznaczać tylko jedno: dziadek nie żyje. Szkoda, że nie znałem go bliżej, bardzo liczyłem na spotkanie z nim... Tak czy inaczej, zostawił mi coś, czego nigdy nie zapomnę...

– Opowiedz mi dokładnie, o czym rozmawialiście.

Chris uśmiechnął się słabo i odparł: – Wiesz, nigdy nie miałem niezawodnej pamięci, poza tym byłem tak zdumiony, że nie potrafiłbym przytoczyć ci jego słów... – Przerwał, a na jego twarzy pojawiło się zatroskanie.

– To dziwne. Ale kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że w ogóle nie używaliśmy słów.

Jest gorzej, niż myślałem – stwierdził w duchu van der Berg. - Telepatia i życie po życiu.

Wielopiętrowa psychoza.

– No cóż, w takim razie przedstaw mi ogólny sens tej... eee... rozmowy. Nie zapominaj, że ja niczego nie słyszałem.

– Fakt. Dziadek powiedział mniej więcej coś takiego: „Bardzo chciałem znów cię zobaczyć, teraz jestem szczęśliwy. Jestem pewny, że wszystko dobrze się skończy. Niedługo zabierze was «Wszechświat»,».

Duchy znane są z tego, że posługują się ogólnikami – pomyślał van der Berg. Nikt nigdy nie usłyszał od nich czegoś pożytecznego albo zaskakującego. Ich słowa zawsze odzwierciedlają obawy lub nadzieje rozmówcy. Zero informacji – tak brzmi komunikat nadawany przez podświadomość...

– Mów dalej.

– Wtedy zapytałem go, gdzie się podzieli mieszkańcy miasta, dlaczego puciekali. Roześmiał się i udzielił mi odpowiedzi, której wciąż nie rozumiem: „Wiem, że nie macie złych zamiarów, ale kiedy was zobaczyliśmy, ledwo starczyło nam czasu na sygnał ostrzegawczy. Wszystkie... – i użył słowa, którego nie potrafiłbym wymówić, nawet gdybym je pamiętał – pochowały się w wodzie. Poruszają się całkiem żwawo, kiedy muszą! Nie wyjdą, dopóki nie odleciecie. Muszą zaczekać, aż wiatr rozpędzi truciznę”. Nie wiem, o co mu chodziło. Przecież nasz odrzut to nic innego jak czysta para, której jest pełno w atmosferze.

No cóż, zamyślił się van der Berg, omamy – podobnie jak sny – są zazwyczaj bezsensowne. Być może „trucizna” symbolizuje jakąś głęboko zakorzenioną obawę, której Chris nie jest w stanie sprostować mimo doskonałych wyników testów psychologicznych. Tak czy inaczej, to nie moja sprawa. Trucizna, też mi coś! Paliwem „Billy'ego Tee” jest przecież najczystsza, destylowana woda z Ganimedesa...

Chwileczkę! Jaką temperaturę ma para odrzutu? Gdzieś czytałem, że...

– Chris – zapytał ostrożnie – czy po przejściu przez reaktor woda zamienia się w stu procentach w parę?

– A czy ma inny wybór? Och, zdarza się – przy mocno rozgrzanym silniku – że dziesięć, piętnaście procent odrzutu stanowią cząstki wodoru i tlenu.

Tlen! Van der Berg poczuł na plecach zimny dreszcz, chociaż w kabinie było przytulnie i ciepło. Floyd zapewne nie zrozumiał w pełni znaczenia swoich słów. Nie był ekspertem w tej dziedzinie.

– Czy wiesz, Chris, że dla niektórych prymitywnych organizmów, także żyjących na Ziemi, a z pewnością dla istot oddychających atmosferą Europy, tlen jest trucizną?

– Żartujesz?

– Mówię zupełnie poważnie. Tlen pod dużym ciśnieniem jest trujący nawet dla ludzi.

– Tak! Przypominam sobie. Mówiono mi o tym na lekcjach nurkowania!

– Twój... dziadek... mówił do rzeczy. Zdaje się, że nasz przelot wywołał podobne efekty jak spryskanie ziemskiego miasta gazem musztardowym. No, może przesadziłem – tlen łatwiej się ulatnia.

– Wierzysz mi teraz?

– Nigdy nie powiedziałem, że ci nie wierzę.

– Byłbyś szalony, gdybyś mi uwierzył!

Ostatnia uwaga Floyda przełamała napięcie. Wybuchnęli zgodnie śmiechem.

– Czy pamiętasz, jak był ubrany?

– Tak... Miał na sobie taki staroświecki garnitur, który nosił w czasach mojego dzieciństwa. Wyglądał całkiem normalnie.

– Jakieś inne szczegóły?

– Hm... Był chyba młodszy, miał więcej włosów niż wtedy, gdy widziałem go poprzednim razem. Nie mógł być – jak by to ująć...? – prawdziwy. Przypominał raczej hologram. Może obraz komputerowy...

– Monolit!

– Tak. Myślałem o tym. Słyszałeś tę historię o Bowmanie, który ukazał się dziadkowi na pokładzie „Leonowa”? Może teraz przyszła kolej na mnie? Ale dlaczego? Nie ostrzegął mnie przed niczym, w zasadzie nie powiedział nic konkretnego. Chciał się tylko pożegnać i życzył mi szczęścia...

Przez kilka długich sekund twarz Floyda przypominała tragiczną maskę. Opanowawszy się, Chris puścił oko do van der Berga.

– W porządku. Nagadałem się już. Teraz twoja kolej. Jeśli łaska, wyjaśnij mi, co robi ważący milion – milion! – ton diament na planecie lodowo-siarkowej? I tylko bez cudów!

– Bez nich się nie obejdzie – odparł van der Berg.

### 53. Piec ciśnieniowy<D>

– Kiedy studiowałem we Flagstaff – zaczął geolog – natknąłem się na stary podręcznik astronomii, w którym napisano: „Układ Słoneczny składa się ze Słońca, Jowisza i przeróżnych śmieci”. Niezły prztyczek w nos dla Ziemiaków, co? I czysta niesprawiedliwość wobec Saturna, Urana i Neptuna – trzech pozostałych gazowych gigantów, mniejszych od Jowisza zaledwie o połowę...

Zacznę jednak od Europy. Jak wiesz, przed powstaniem Lucyfera nie było tam nic oprócz lodu. Największe wzniesienie miało zaledwie kilkaset metrów. Kiedy lód zaczął się topić, krajobraz nie uległ zmianie. Większość wody przemieściła się po prostu na nocną stronę i tam znów

zamarzła. Od roku 2015 - kiedy rozpoczęliśmy szczegółowe obserwacje – do 2038 na Europie znajdowało się tylko jedno wyższe miejsce. Doskonale wiemy, jakie.

– Oczywiście! Ale muszę ci wyznać, że choć widziałem je na własne oczy, wciąż nie potrafię przyzwyczaić się do widoku Monolitu jako ściany. Zawsze nam go pokazywano w pozycji pionowej albo unoszący się w przestrzeni.

– Jak wiesz, Monolit może wszystko, a podejrzewam, że jeszcze więcej, niż sobie wyobrażamy... Tak czy inaczej, w roku 2037, w okresie między jedną obserwacją a drugą, wydarzyło się coś niezwykłego: pojawiła się nagle dziesięciokilometrowa Góra Zeusa.

– Wulkany o tych rozmiarach nie powstają w kilka tygodni. Poza tym Europa nie jest tak aktywna jak Io.

– Dla mnie jest aż nadto aktywna! – mruknął Floyd. – Czułeś ten wstrząs?

– Tak, ale do rzeczy. Gdyby to był wulkan, w atmosferze wykrylibyśmy olbrzymie ilości gazów. Stwierdzono pewne zmiany składu atmosfery, ale nie takie, by udokumentować teorię wulkaniczną. W sumie rzecz była wielce zagadkowa, a ponieważ baliśmy się zbliżyć do Europy i byliśmy zajęci innymi projektami, nie zrobiliśmy nic prócz wysunięcia kilku fantastycznych teorii, z których żadna nie okazała się tak fantastyczna jak moja...

Po raz pierwszy coś zaświtało mi w głowie jeszcze w 2057 roku, po kilku przypadkowych obserwacjach, których zresztą nie potraktowałem serio i odłożyłem <MI>ad acta<D> na kilka lat. Z czasem pojawiły się kolejne dowody, które byłyby w pełni przekonujące, gdyby nie chodziło o tak nieprawdopodobny fenomen.

Dlatego, nim zaryzykowałem twierdzenie, że Góra Zeusa to nic innego jak wielki diament, musiałem poznać przyczynę jego powstania, słowem – znaleźć wyjaśnienie! Dla każdego szanującego się naukowca – a śmiem się do takich zaliczać – nic nie jest faktem, dopóki nie wpadnie się na wyjaśniającą go teorię. Teoria może się okazać błędna – i często tak bywa, przynajmniej w szczegółach – ale powinna zawierać hipotezę roboczą.

Jak słusznie zauważyłeś, obecność ważącego milion ton diamentu na planecie składającej się głównie z lodu i siarki jest naprawdę czymś niezwykłym. Oczywiście teraz, gdy wszystko stało się jasne, mogę tylko współczuć sobie, że nie wpadłem wcześniej na rozwiązanie. Oszczędziłoby to wszystkim wiele kłopotów, a ta dziewczyna – mogłaby żyć...

Przerwał i zamyślił się, po czym zapytał nagle: – Czy mówi ci coś nazwisko Kreuger? Doktor Paul Kreuger?

– Nie. Dlaczego? To znaczy, coś słyszałem, ale nie z tych źródeł, o których myślisz.

– Po prostu byłem ciekawy. Nastąpiło mnóstwo dziwnych wydarzeń i nie wiem, czy kiedykolwiek poznamy prawdę. Będę z tobą szczerzy... Istnienie diamentu nie jest już tajemnicą, nikt więc nie może mi przeszkodzić. Jakies dwa lata temu wysłałem poufną wiadomość do Paula. Och, wybacz... Zapomniałem ci powiedzieć, że jest moim wujem. Wiadomość zawierała streszczenie moich odkryć i hipotezę roboczą. Poprosiłem go o przestudiowanie teorii i znalezienie dla niej potwierdzenia... lub wyrzucenie wszystkiego do śmieci.

Weryfikacja mojej hipotezy nie zajęła mu wiele czasu. Paul ma praktycznie nieograniczony dostęp do ziemskich baz danych. Niestety, nie zachował należytych środków ostrożności albo ktoś monitorował końcówkę jego komputera... Podejrzewam, że twoi przyjaciele – kimkolwiek są – wiedzą już, kto to zrobił. Zresztą mniejsza z tym... Po kilku dniach Paul dokopał się do artykułu sprzed osiemdziesięciu lat w naukowym piśmie „Nature” – wydawanym jeszcze na papierze! – gdzie wyjaśniano wszystko, to znaczy: prawie wszystko, na temat kosmicznych diamentów.

Artykuł napisał człowiek pracujący w jednym z dużych laboratoriów w Stanach Zjednoczonych... Ameryki, oczywiście. Stany Zjednoczone Afryki Południowej jeszcze wtedy nie istniały. W laboratorium pracowano nad bronią nuklearną, co wymaga pewnej wiedzy na temat wysokich temperatur i ciśnień...

Nie wiem, czy doktor Ross – tak nazywał się autor artykułu - miał coś wspólnego z bombami, w każdym razie zajmował się... teoretycznie... warunkami panującymi we wnętrzu gazowych olbrzymów. W artykule z 1984, przepraszam, 81 roku – nawiasem mówiąc, tekst zmieścił się na jednej stronie pisma - Ross wysunął kilka zaskakujących hipotez...

Wykazał, że we wnętrzu gazowych olbrzymów znajduje się mnóstwo węgla – w postaci metanu, CH<sub>4</sub>. Gaz ten stanowi nawet siedemnaście procent całkowitej masy planet! Obliczył, że przy temperaturze i ciśnieniu panującym w jądrze, ciśnieniu milionów atmosfer, węgiel oddziela się od wodoru i opada ku środkowi planety, po czym – jak się domyślasz – krystalizuje się!

Cudowna teoria! Biedny Ross nie mógł nawet marzyć o jej weryfikacji...

Na tym kończy się pierwsza część historii. Część druga jest jeszcze bardziej interesująca. Czy mógłbym dostać trochę kawy?

– Bardzo proszę. Wiesz, chyba domyślam się, co będzie w części drugiej... eksplozja Jowisza?

– Nie eksplozja, a implozja! Jowisz zapadł się do środka, a potem zapalił. Przypominało to detonację bomby nuklearnej, z tym że nowy Jowisz jest ciałem stałym, minisołncem.

Podczas implozji dzieją się bardzo dziwne rzeczy. Wygląda to tak, jakby cząstki mogły przechodzić jedna przez drugą i wylaniać się z tyłu. Dotyczy to również większych fragmentów materii. Zresztą mechanizm wydarzeń nie jest tu najistotniejszy. Dla mnie ważne jest to, że na orbitę Jowisza został wyrzucony fragment jego diamentowego jądra – wielkości Mount Everestu. „Odprysk” ten obracał się setki razy, jego trajektorię zmieniały pola grawitacyjne wszystkich satelitów, wreszcie po jakimś czasie spadł na Europę. Szczęśliwym trafem nie doszło do katastrofy... Zapewne jedno ciało wyprzedzało drugie i prędkość przy zderzeniu wynosiła zaledwie kilka kilometrów na sekundę. Gdyby doszło do zderzenia czołowego... No cóż, zapewne nie byłoby już Europy, o Górze Zeusa nie wspominając! Czasami śnią mi się koszmary o wielkim diamencie spadającym na Ganimesesa...

Nowa atmosfera satelity zredukowała szybkość odprysku, chociaż siła jego uderzenia musiała być potworna. Zastanawiam się, w jaki sposób odczuli zderzenie nasi europejscy przyjaciele? Z pewnością nie narzekali na brak wstrząsów tektonicznych... które wciąż jeszcze trwają.

– Nie zapominajmy o wstrząsach politycznych na Ziemi – dorzucił Floyd. – Właśnie zaczynam rozumieć implikacje odkrycia diamentu tej wielkości. Nic dziwnego, iż rząd Afryki Południowej bardzo się zaniepokoił.

– Nie on jeden.

– Ciekawe, jak wyobrażali sobie eksploatację diamentowej góry?

– To nie byłoby takie trudne. Spójrz na nasz skarb... – van der Berg pokazał próbki leżące z tyłu kabiny. – Poza tym liczy się również efekt psychologiczny. Przemysł i giełdy na pewno wpadną w panikę. Dlatego tak wielu ludziom zależało na potwierdzeniu prawdziwości mojej teorii.

– Teraz już wiedzą, a co dalej?

– Dzięki Bogu, to nie mój problem. Wystarczy mi świadomość, że przyczyniłem się do zwiększenia budżetu naukowego Ganimesesa.

O swoim własnym nie wspominając, dodał w duchu.

#### 54. Spotkanie<D>

– Jak mogłeś pomyśleć, że umarłem? – krzyczał Heywood Floyd. – Od lat nie czułem się tak wspaniale!

Zdumiony i przestraszony Chris wpatrywał się w siatkę głośnika. Poczuł ogromną ulgę, a także oburzenie: ktoś albo coś zadrwiło sobie z niego okrutnie... Ale dlaczego?

Heywood Floyd, oddalony od wnuka o pięćdziesiąt milionów kilometrów – a z każdą sekundą bliższy o kilkaset – nie krył lekkiego wzburzenia, lecz w jego głosie pobrzmiewały tony radości, a nawet szczęścia. Wiedział już, że wnuk jest bezpieczny.

– Mam dla was dobrą nowinę. Prom przyleci najpierw po was. Zrzuci trochę lekarstw „Galaktyce”, po czym zabierze was na pokład i w czasie następnego orbitowania dostarczy na „Wszechświat”. Po pięciu dalszych okrążeniach „Wszechświat” wyląduje na Europie. Powitasz przyjaciół już u nas.

Nie będę rozwodził się więcej... Chciałem ci jeszcze tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że się spotkamy. Jest tyle spraw do omówienia. Czekał na twoją odpowiedź za – niech no sprawdzę – trzy minuty.

Przez chwilę na pokładzie promu panowała absolutna cisza. Van der Berg nie śmiał spojrzeć na Floyda, który w końcu włączył mikrofon i powiedział wolno:

– Dziadku... Co za cudowna niespodzianka! Wciąż jestem zaszokowany. Wiem jedno: spotkałem cię na Europie i powiedziałaś mi – żegnaj... Nie oszalałem i nie wymyśliłem tego! Po... porozmawiamy o tym później. Pamiętasz, jak Dave Bowman rozmawiał z tobą na „Discovery”? Może przydarzyło mi się coś podobnego.

Nic nie możemy zrobić, jak tylko czekać na przybycie promu. U nas wszystko w porządku – od czasu do czasu trzęsie się grunt pod nogami, ale nic nam nie grozi. Do zobaczenia i... Kocham cię.

Nie był pewny, czy kiedyś mówił tak do dziadka.



Pierwszego dnia kabina promu zaczęła cuchnąć. Drugiego dnia, jeszcze tego nie czuli, ale zgodzili się, że jedzenie straciło smak. Mieli także kłopoty ze spaniem i oskarżali się nawzajem o chrapanie.

Trzeciego dnia, mimo częstych komunikatów z „Wszechświata”, „Galaktyki”, a nawet z Ziemi, zaczęli się nudzić. Jak długo można opowiadać sobie nieprzyzwoite kawały?

Na szczęście był to już ostatni dzień. Zanim dobiegnie końca, na Europie pojawi się „Lady Jasmine” szukająca zagubionego dziecka.

### 55. Magma<D>

– Baas\* – odezwał się mieszkaniowy zestaw komunikacyjny. - Nagrałem transmisję specjalną z Ganimedesa, kiedy pan spał. Czy życzy pan sobie teraz obejrzeć ten program?

\*Forma grzecznościowa w języku afrikaans, oznaczająca „panie”. Używana przez czarnoskórych mieszkańców RPA w stosunku do białych (przyp. tłum.).

– Tak – odparł doktor Paul Kreuger. – Przyspiesz dziesięć razy. I wyłącz dźwięk.

Na początku zawsze pokazują dużo śmieci, do których będzie mógł wrócić, jeśli okaże się to konieczne. Chciał możliwie szybko zobaczyć to, co najważniejsze.

Najpierw mignęły napisy. Potem ujrzał stojącego gdzieś na Ganimedesie Victora Willisa, który gestykulował dziko i otwierał usta niczym ryba. Doktor Paul Kreuger, jak wielu prawdziwych naukowców, był nieco uprzedzony do Willisa, choć zdawał sobie sprawę, że pełni on pożyteczną funkcję.

Willis zniknął nagle, a na ekranie ukazał się nieruchomy obiekt – Góra Zeusa. Prawdę mówiąc, góra zmieniała położenie szybciej niż jakikolwiek inny znany szczyt. Doktor Kreuger ze zdumieniem stwierdził, że wygląda zupełnie inaczej niż w czasie poprzedniej transmisji z Europy.

– Czas rzeczywisty – rzucił. – Dźwięk.

– ...prawie o sto metrów każdego dnia, a przechył zwiększył się o piętnaście stopni. W pobliżu odnotowano gwałtowną działalność tektoniczną, wokół podstawy góry zaś stwierdzono znaczny wpływ lawy. Jest ze mną doktor van der Berg. Van, co myślisz o tym wszystkim?

Bratanek wygląda zaskakująco dobrze – pomyślał Paul Kreuger. – Jeśli się uwzględni, przez co musiał przejść. Nasza krew, oczywiście...

– Warstwa wierzchnia nie jest w stanie utrzymać ciężaru Zeusa... Uległa naruszeniu podczas zderzenia i zapada się. Góra obsuwa się pod własnym ciężarem; proces ów trwa od samego początku, ale przez kilka ostatnich tygodni wyraźnie nabrał tempa. Zmiany położenia następują z dnia na dzień.

– Ile czasu upłynie, zanim góra zniknie z powierzchni Europy?

– Mówiąc szczerze, nie mogę uwierzyć, że do tego dojdzie...

W tym momencie pokazano kolejny widok góry, a zza kadru odezwał się Willis:

– Doktor van der Berg wypowiedział te słowa przed dwoma dniami. Van, co myślisz teraz na ten temat?

– No cóż, chyba nie miałem racji. Zeus opada z szybkością windy. Wydarzyło się coś zupełnie niesamowitego... Nad powierzchnią jest jeszcze tylko pół kilometra góry! Odmawiam jakichkolwiek prognoz...

– Całkiem słusznie, van. Cóż, tak sprawy miały się wczoraj. Teraz chciałbym zaprezentować państwu filmową sekwencję poklatkową, przedstawiającą proces zapadania się Góry Zeusa w przyspieszonym tempie. Niestety, nie udało się nam sfilmować całego procesu, nasza kamera bowiem uległa zniszczeniu.

Doktor Paul Kreuger pochylił się w stronę telewizora i z napięciem wpatrywał w ostatni akt długiego dramatu, w którym odegrał tak istotną, mimo że mało prawdopodobną rolę.

Nie musiał przyspieszać powtórki: film puszczano sto razy szybciej niż normalnie. Godziny zmieniały się w minuty, a przy tym ludzkie życie stawało się życiem motyla.

Patrzył na zapadającą się Górę Zeusa. Wokół szczytu szalało morze płynnej siarki, która gwałtownie tryskała ku niebu, tworząc świetliste, błękitne parabole. Obraz przypominał reportaż z katastrofy morskiego statku, który podczas burzy szedł na dno w otoczeniu ogni świętego Elma. Nawet efektowne wybuchy wulkanów na Io nie mogły równać się z tym pokazem siły.

– Największy z odkrytych przez człowieka skarbów znika nam z oczu – mówił Willis przyciszonym, pełnym szacunku głosem. – Niestety, nie możemy państwu pokazać finału. Oto dlaczego...

Film zwolnił do czasu rzeczywistego. Nad powierzchnią satelity widać było jedynie kilkaset metrów góry; erupcje wokół przebiegały jakby leniwiej.

Nagle cały obraz przechylił się. Stabilizatory kamery, toczące dotąd nierówny bój z wstrząsami sejsmicznymi, poddały się. Przez chwilę mogło się wydawać, że góra znowu rośnie – ale nic z tego, przewrócił się po prostu statyw kamery. Ostatnim obrazem z Europy było zbliżenie rozżarzonej fali siarki podpływającej do aparatu.

– Zniknęły na zawsze! – lamentował Willis. – Bogactwa nieskończenie większe od wszystkich zasobów kopalń Golconda i Kimberley! Cóż za niepowetowana, tragiczna strata!

– Co za idiota! – oburzył się doktor Kreuger. – Czy nie zdaje sobie sprawy...

Nadszedł czas, by napisać kolejny list do „Nature”. Tego sekretu już nie da się ukryć.

56. Teoria perturbacyjna<D>

Od: Profesora Paula Kreugera, FRS itd.

Do: Wydawcy NATURE , Bank Danych (dostępu publicznego)

TEMAT: GÓRA ZEUSA I JOWIAŃSKIE DIAMENTY

Powszechnie znany jest obecnie fakt, że fenomen geologiczny na Europie, nazywany Górą Zeusa, był początkowo częścią Jowisza. Hipoteza, w myśl której jądra gazowych olbrzymów mogą być diamentami, została wysunięta po raz pierwszy przez Marviną Rossa z Narodowego Laboratorium im. Lawrence'a Livermore'a przy Uniwersytecie Kalifornijskim, w klasycznym już artykule <MI>Złogi lodu na Uranie i Neptunie – czy diamenty na niebie?<D> („Nature” z 30 lipca 1981, t. 292, nr 5822, s. 435- -436). Ross nie przeprowadził, niestety, obliczeń dla Jowisza.

Zapadnięcie się Góry Zeusa wywołało powszechny, chociaż niczym nie uzasadniony i wręcz absurdalny lament wśród laików. Reakcja ta wymaga odpowiedzi i komentarza.

Bez zagłębiania się w szczegóły, które zostaną przedstawione w późniejszych rozprawach, można oszacować początkową masę diamentowego jądra Jowisza na  $10^{28}$  gramów. Masa ta jest dziesięć miliardów razy większa od wartości szacunkowych dla Góry Zeusa.

Choć większość składającego się na nią materiału została bez wątpienia zniszczona podczas implozji planety i formowania się sztucznego słońca, jakim jest Lucyfer, wydaje się wielce nieprawdopodobne, by Góra Zeusa była jedynym fragmentem, który przetrwał. Część odprysków zapewne spadła z powrotem na Lucyfera, lecz znaczny procent musiał przedostać się na jego orbitę – i tam pozostaje do tej pory! Elementarna teoria perturbacji uczy, że fragmenty te będą co jakiś czas wracać do punktu wyjścia. Nie jest oczywiście możliwe przeprowadzenie ścisłych obliczeń, szacuję jednak, że w pobliżu Lucyfera orbitują fragmenty diamentowego jądra o łącznej masie milion razy większej od wartości szacunkowych dla Góry Zeusa. Strata jednego małego odprysku, który znajdował się w bardzo niedogodnym dla nas położeniu na Europie, nie ma więc praktycznie żadnego znaczenia. Proponuję zorganizowanie w najbliższym czasie radarowego systemu kosmicznego, który podejmie poszukiwania orbitującego materiału.

Już w roku 1987 rozpoczęto produkcję na skalę przemysłową niezwykle cienkiej błony diamentowej, jednakże ze względu na ograniczone zasoby surowca nigdy nie osiągnęła ona znaczących gospodarczo rozmiarów. Dostępność diamentów w ilościach mierzonych megatonami całkowicie zmieniłaby wiele dziedzin przemysłu i stworzyła zupełnie nowe. Diament – jak wykazał Isaacs i in. przed niemal stu laty (vide „Science” 1966, t. 151, s. 682-683) – jest jedynym materiałem budowlanym, dzięki któremu można skonstruować tak zwaną kosmiczną windę, umożliwiającą rozwój transportu pozaziemskiego przy minimalnych kosztach. Diamentowe góry orbitujące teraz między satelitami Jowisza powinny się stać dla nas

kluczem do całego Układu Słonecznego. Jakże trywialne wydają się obecnie dawne zastosowania poczwórnice skrytalizowanej formy węgla!

Na koniec chciałbym wspomnieć o innym prawdopodobnym źródle olbrzymiej ilości diamentów – miejscu, które jest niestety jeszcze bardziej niedostępne aniżeli jądra gazowych planet...

Niektórzy badacze wysuwają hipotezę, iż powierzchnia gwiazd neutronowych składa się w znacznej części z diamentów. Ponieważ najbliższa znana gwiazda neutronowa jest odległa od Ziemi o piętnaście lat świetlnych, a na jej powierzchni utrzymuje się ciężenie siedemdziesiąt miliardów razy większe od ziemskiego, trudno ją uznać za ciało łatwo dostępne.

Z drugiej strony, któż mógłby jeszcze przed stu laty przypuszczać, że ludzie dotkną kiedyś samego jądra Jowisza?

#### 57. Interludium na Ganimesesie<D>

– Biedni, prymitywni koloniści – lamentował Michajłowicz. - To przerażające! Na całym Ganimesesie nie ma ani jednego koncertowego fortepianu! Oczywiście, mój optotroniczny syntezator odtwarza brzmienie każdego instrumentu, lecz Steinway zawsze pozostanie Steinwayem, a Strad zostanie Stradem.

Jego skargi, choć niezbyt poważne, wywołały niespodziewaną reakcję miejscowej inteligencji. Popularny program <MI>Poranny Med<D> komentował uszczypliwie: „Nasi wybitni goście, zaszczycając nas swoją obecnością, podnieśli – niestety chwilowo – poziom dobrego wychowania na obydwu światach...” Atak wymierzony był przede wszystkim w Willisa, Michajłowicza i pannę M'Bala, którzy może ze zbytnim entuzjazmem zabrali się za „oświecanie” zacofanych tubylców. Maggie M. wywołała skandal swoimi szczegółowymi opisami burzliwych romansów Zeusa-Jowisza z Io, Europą, Ganimesesem i Kallisto. Medeczykom niespecjalnie podobał się pomysł Zeusa, by pojawić się przed nimfą Europą w

postaci białego byka. Niespecjalnie też entuzjasmowali się żalonymi wysiłkami Gromowładnego, by chronić Io i Kallisto przed słusznym gniewem jego boskiej małżonki Hery. Lecz największe wzburzenie wśród miejscowej ludności wywołała wieść, że mityczny Ganimedes – pełniący funkcję podczaszego bogów – gustował w intymnych kontaktach z osobnikami wcale nie odmiennej płci.

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość przybyszom z Ziemi. Intencje kulturalnych ambasadorów – jak sami mówili o sobie - były chwalebne, chociaż niezupełnie bezinteresowne. Dowiedziawszy się, że przyjdzie im spędzić na Ganimedesie kilka najbliższych miesięcy, Ziemianie uczynili wszystko, żeby się nie nudzić, gdy już przywykli do nowych warunków życia. Postanowili także wykorzystać swe rozliczne talenty ku pożytkowi mieszkańców księżycy, z których część zresztą bądź nie chciała się tym interesować, bądź nie miała czasu, zajęta codzienną walką z trudnościami życia na wysuniętym przyczółku postępu technologicznego.

Yva Merlin doskonale przystosowała się do sytuacji i – wnosząc z jej zachowania – bawiła się świetnie. Mimo sławy, którą cieszyła się na Ziemi, słyszała o niej zaledwie kilku Medejczyków, dlatego też mogła swobodnie spacerować po publicznych pasażach i kopułach ciśnieniowych Centralnej Stacji Ganimedesa bez obawy, że swą obecnością wywoła sensację i zamieszanie. Rozpoznawana była wyłącznie jako jedna z osób przybyłych z Ziemi.

Greenberg, ze swą zwykłą skromnością i skutecznością działania, znalazł dla siebie miejsce w strukturze administracyjnej i technologicznej satelity. Po kilku dniach zasiadał w ponad dziesięciu organach doradczych. Jego pomoc okazała się tak cenna, że uprzedzano go o zatrzymaniu na stałe.

Heywood Floyd obserwował aktywność współuczestników rejsu z cichym rozbawieniem; sam nie uczestniczył w żadnym przedsięwzięciu. Jego główną troską było wznowienie kontaktów z Chrisem i pomoc w planowaniu przyszłości wnuka. Po bezpiecznym wylądowaniu „Wszechświata” (z zaledwie stoma tonami paliwa w zbiornikach) na Ganimedesie Floyd mógł się w końcu zająć sprawami rodzinnymi.

Wszyscy członkowie załogi „Galaktyki” żywili ogromną wdzięczność wobec ludzi z „Wszechświata”, toteż od samego początku nawiązała się między nimi prawdziwa przyjaźń i braterstwo. Po zakończeniu napraw, przeglądów i tankowania obydwie załogi powrócą razem na Ziemię. Wielką radość wywołała nowina, że sir Lawrence planuje wybudowanie „Galaktyki II”,

ulepszonej wersji pierwowzoru. Prace nad statkiem miały się rozpocząć z chwilą zakończenia przeciągających się dyskusji z Lloydem. Agencja ubezpieczeniowa w dalszym ciągu utrzymywała, że polisa nie obejmuje nie znanego dotąd rodzaju przestępstwa, czyli porwania pojazdu kosmicznego.

Jeśli chodzi o samą zbrodnię, nikt nie został skazany ani postawiony w stan oskarżenia. Z pewnością rzecz musiała być planowana latami przez dobrze zorganizowaną i nader majątną strukturę przestępczą. Stany Zjednoczone Afryki Południowej twierdziły, że są niewinne i chętnie zezwolą na oficjalne śledztwo na własnym terytorium. Oburzenie wyraził także Der Bund, który obarczał całą winą Shakę.

Doktor Kreuger nie zdziwił się, gdy zaczął znajdować w swej poczcie jadowite, pełne pogrózek listy, oskarżające go o zdradę. Anonimy pisano zazwyczaj w języku afrikaans, ale występujące w nich błędy gramatyczne i frazeologiczne wskazywały, że korespondencja jest częścią kampanii oszczerstw i dezinformacji prowadzonej przez siły nie związane z Afryką.

Po namyśle <MI>oom<D> Paul przekazał listy ASTROPOŁOWI, który „zapewne wie o wszystkim”. ASTROPOL podziękował mu i pozostawił sprawę bez komentarza.

Drugi oficer Floyd, pilot Chang i inni członkowie załogi „Galaktyki” otrzymywali „zaproszenia” na sute obiady w najlepszych medejskich restauracjach, gdzie byli gośćmi dwu tajemniczych Ziemian, z którymi Chris miał już wcześniej do czynienia. Potem okazało się, że uprzejmi „gospodarze” próbują zebrać dowody przeciwko Shace, śledztwo jednak zakończyło się fiaskiem.

Doktor van der Berg, sprawca całego zamieszania, wyszedł na nim doskonale zarówno pod względem zawodowym, jak i finansowym. Otworzyły się przed nim nowe możliwości i często rozważał, co z nimi zrobić. Otrzymał wiele atrakcyjnych propozycji od ziemskich uniwersytetów i organizacji naukowych, lecz jak na ironię – nie mógł z nich skorzystać. Zbyt długo mieszkał na Ganimesie, w warunkach jednej szóstej normalnego ciężenia, by z medycznego punktu widzenia jego organizm mógł sprostać powrotowi na Ziemię.

Miał jednak przed sobą Księżyc i stację Pasteura, o której wspominał mu Floyd.

– Próbujemy założyć tam uniwersytet kosmiczny – wyjaśniał Heywood. – Ludzie z innych światów, którzy nie tolerują normalnego ciężenia, mogliby tam uczyć się i kontaktować z Ziemią w czasie rzeczywistym. Będziemy mieć sale wykładowe, pokoje konferencyjne,

laboratoria... niektóre tylko w hologramach, ale tak rzeczywiste, że nikt się nie zorientuje. Mamy też do zaoferowania wideozakupy na Ziemi. Z łatwością pozbędziesz się u nas swojej „diamentowej” fortuny.

Ku swemu zaskoczeniu Floyd nie tylko odzyskał wnuka, ale zaadoptował bratanka w osobie van der Berga, z którym łączyły go – podobnie jak z Chrisem – wspólne przeżycia. Przede wszystkim tajemnicza zjawia z opuszczonego europejskiego miasta wznoszącego się w cieniu Monolitu.

Chris nie miał żadnych wątpliwości: – Widziałem cię i słyszałem tak samo dobrze jak teraz – tłumaczył dziadkowi. – Wprawdzie nie poruszałeś ustami, lecz – i to jest najdziwniejsze - wcale mnie to nie zaskoczyło! Uważałem, że to normalne. Całe spotkanie miało w sobie jakiś... spokojny nastrój. Trochę smutny... nie, lepszym słowem byłoby: tęskny, a może nawet melancholijny.

– Rozmawialiśmy często o twoim spotkaniu z Bowmanem na pokładzie „Discovery” – dodał van der Berg.

– Przed wylądowaniem na Europie wysłałem do niego komunikat drogą radiową. Wydawało mi się to dość naiwne, ale nie mieliśmy wyjścia. Jestem pewny, że Dave w takiej czy innej postaci mieszka na Europie.

– Czy odpowiedział na twoją wiadomość?

Floyd zawahał się. Czyżby zawodziła go pamięć? Nie, nagle przypomniał sobie z całą wyrazistością ową noc, gdy w kabinie pojawił się Minimonolit.

Nic się wtedy nie wydarzyło, ale od tamtej chwili był pewien, że Chrisowi nic nie grozi i że znów się zobaczą.

– Nie – odparł z namysłem. – Nigdy nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Bo przecież mógł to być tylko sen.



## Królestwo siarki

### 58. Ogień i lód

Przed epoką badań planetarnych, zapoczątkowaną w późnych latach dwudziestego wieku, niewielu naukowców byłoby w stanie uwierzyć, iż życie może powstać w świecie tak bardzo odległym od Słońca. A jednak osłonięte morza Europy od pół miliarda lat stanowiły siedlisko wielu istot, których liczba dorównywała populacji ziemskich oceanów.

Przed zapaleniem się Jowisza gruba pokrywa lodowa chroniła europejskie życie od wpływu kosmicznej próżni. Lód miał najczęściej grubość wielu kilometrów, czasem jednak pękał, tworząc szerokie szczeliny. Tam właśnie toczyła się walka pomiędzy dwoma wrogimi żywiołami, które nigdzie indziej w całym Układzie Słonecznym nie stykały się ze sobą bezpośrednio. Wojna między morzem a kosmosem zawsze kończyła się patem. Odkryta, poddana działaniu próżni woda jednocześnie wrzała i zamarzała, tworząc kolejną lodową zbroję. Gdyby nie wpływ bliskiego Jowisza, morza Europy już dawno zamarzyłyby na dobre. Siły grawitacyjne gazowego olbrzyma mieszały jednak nieustannie jądro małego księżyca. Były to te same moce, które targały wnętrzem Io, choć tutaj ich potęga wyrażała się z mniejszą gwałtownością. Przeciąganie liny pomiędzy planetą a satelitą wywoływało wciąż podmorskie wstrząsy i lawiny sunące z niewiarygodną szybkością przez głębinowe równiny.

Na równinach tych rozrzucone były niezliczone oazy, każda zajmująca nie więcej niż kilkaset metrów wokół rogów obfitości - mineralnych solanek tryskających z wnętrza księżyca. Związki chemiczne odkładające się w masie poplątanych kanałów i kominów tworzyły niekiedy naturalne imitacje zburzonych zamków lub gotyckich katedr, z których wypływały w wolnym, pulsującym rytmie czarne, gorące płyny pompowane biciem potężnego serca. I podobnie jak krew, one też były oznaką życia.

Wrzące płyny odpychały śmiertelne zimno napływające z góry i tworzyły wyspy ciepła na oceanicznym dnie. Przede wszystkim jednak niosły z wnętrza Europy chemiczne pierwiastki życia. Tutaj, w surowym środowisku morza, nie brakowało energii ani pożywienia. Podobne wentyle geotermalne odkryto w ziemskich oceanach w tej samej dekadzie, w której ludzie po raz pierwszy ujrzeli z bliska jowiańskie satelity.

W tropikalnych strefach w pobliżu źródeł żyło mnóstwo delikatnych, pająkowatych stworzeń podobnych roślinom, lecz zdolnych do przemieszczania się. Pośród nich pęzały przedziwne

ślimaki i glisty, z których część żywiła się „roślinami”, a część pobierała pokarm bezpośrednio z wody bogatej w minerały. Dalej od źródła ciepła – podmorskiego ognia, którym ogrzewały się wszystkie europejskie istoty – żyły większe, silniejsze organizmy, podobne do krabów i pajaków. Tysiące biologów miałyoby co robić, badając życie jednej małej oazy. W przeciwieństwie do ziemskich oceanów ery paleozoicznej ukryte morza Europy nie były stabilnym środowiskiem, toteż ewolucja przebiegała tam szybciej, tworząc mnóstwo fantastycznych form. Większość z nich żyła w ciągłym zagrożeniu. Prędzej czy później każda fontanna życia słabła i umierała – wraz ze zmianą położenia napędzających ją sił. W otchłani nie brakowało dowodów dawnych tragedii – cmentarzysk, na których spoczywały szkielety i mineralne skorupy stworzeń na zawsze wymazanych z księgi życia.

Olbrzymie muszle, przypominające trąby większe od człowieka. Małże o wielu kształtach, dwu-, a nawet trójcyfonowe. Spiralne, wielometrowej średnicy odbicia w kamieniu, niemal identyczne z pięknymi ziemskimi amonitami, które tak nagle zniknęły z oceanów pod koniec okresu kredowego...

W wielu miejscach otchłani płonęły ognie, gdy rzeki rozżarzonej lawy wlewały się w podmorskie doliny. Ciśnienie w głębinach było tak duże, iż woda w zetknięciu z rozpaloną magmą nie mogła wyparować i dwa stany płynne istniały obok siebie w niełatwej koegzystencji. Tutaj, na obcym świecie i z obcymi aktorami, rozgrywała się jakby historia Egiptu przed nadejściem człowieka. Rzeki ciepła – podobnie jak Nil niosący życie wąskiej wstędze pustyni - ożywiały europejskie głębiny. Wzdłuż ich brzegów, na pasach nie dłuższych niż kilometr, ewoluowały poszczególne gatunki. Trwały, rozmnażały się, a potem przemijały. Niektóre zostawiły po sobie pomniki w formie skalnych kopców lub wyżłobionych w morskim dnie parowów.

Na wąskich pasach żyznej ziemi pośród pustynnego oceanu powstawały i upadały całe kultury i prymitywne cywilizacje, o których nie wiedziała reszta ich świata, oazy ciepła bowiem oddzielało – niczym próżnia odległe planety – lodowate morze. Stworzenia, które ogrzewały się w ciepłe rzeki lawy i żywiły u gorących źródeł, nie były w stanie przebyć wrogiej pustki między wyspami życia. Jeśli miały historyków i filozofów, musieli oni głosić, że ich kultura jako jedyna istnieje we Wszechświecie.

Wszystkie oazy czekała zagłada. Źródła energii były coraz słabiej i często zmieniały położenie; co gorsza, napędzające je siły pływów grawitacyjnych zdawały się zamierać. Nawet gdyby na Europie powstała prawdziwa inteligencja, nic nie uratowałoby jej od zguby. Oceany zamarzały na zawsze.

Istoty z małego księżycy żyły schwyte w pułapkę między ogniem a lodem. Dopiero wybuch Lucyfera na ich niebie otworzył przed nimi nowy Wszechświat.

A na brzegu nowo powstałego kontynentu wyłoniła się ogromna prostokątna płyta czarna jak noc.

### 59. Trójca<D>

– Świetna robota. Teraz już nic nie będzie ich kusiło, by tu powrócić.

– Uczę się wielu rzeczy, ale wciąż tęsknię za dawnym życiem.

– To minie. Ja również tęskniłem. Wróciłem nawet na Ziemię, by popatrzeć na tych, których kochałem. Teraz wiem, że są sprawy większe od miłości.

– Jakie?

– Współczucie. Sprawiedliwość. Prawda. I wiele innych.

– Tak, z tym mogę się zgodzić, choć zrozumiałem to dosyć późno. Byłem bardzo stary, jak na istotę mojego gatunku, i namiętności wieku młodzieńczego od dawna miałem za sobą. Co się stanie z... prawdziwym Heywoodem Floydem?

– Obaj jesteście prawdziwi. Ten pierwszy niedługo umrze, nawet nie wiedząc, że stał się nieśmiertelny.

– Brzmi to paradoksalnie, ale rozumiem. Jeśli zdołam zachować część dawnych uczuć, może będę wdzięczny. Powinienem dziękować tobie czy Monolitowi? David Bowman, jakiego znałem przed laty, nie dysponował taką potęgą.

– Istotnie. Wiele się wydarzyło od tamtej pory. Hal i ja nauczyliśmy się wielu rzeczy.

– Hal?! Czy on też jest tutaj?

– Jestem, doktorze Floyd. Nie spodziewałem się spotkania z panem. Szczególnie w takich okolicznościach. Stworzenie pańskiego echa okazało się interesującym problemem.

– Echa? Ach, rozumiem! Dlaczego to zrobiliście?

– Po otrzymaniu twojego komunikatu Hal i ja doszliśmy do wniosku, że możesz nam pomóc.

- Pomóc... – wam?
- Tak, chociaż w tej chwili może ci się to wydawać dziwne. Masz wiedzę i doświadczenie, którego nam brakuje. Nazwijmy to mądrością.
- Dziękuję. Czy postąpiłem mądrze, pojawiając się przed wnukiem?
- Nie, spowodowało to wiele zamieszania. Jednakże działałeś kierowany współczuciem, a to równoważy twój błąd.
- Powiedziałeś, że potrzebujecie mojej pomocy. W jakim celu?
- Nauczyliśmy się wiele, wciąż jednak nie ogarniamy wszystkiego. Hal rysuje mapy wewnętrznych systemów Monolitu. Opanowaliśmy już prostsze z jego funkcji. Monolit jest narzędziem wielofunkcyjnym. Ale przede wszystkim odgrywa rolę katalizatora inteligencji.
- Tak. Domyślałem się tego, lecz nie miałem dowodu.
- Dowód istnieje. Spoczywa w jego pamięci, która staje się naszą. Przed czterema milionami lat Monolit ukazał się w Afryce gromadzie głodujących małp. Dodał im bodźca i dzięki temu powstał rodzaj ludzki. Teraz powtórzył swój eksperyment tutaj... ale znacznie większym kosztem.
- Kiedy Jowisz zamienił się w słońce, by ten świat mógł zrealizować swój potencjał, uległa zniszczeniu inna biosfera. Spójrz, pokażę ci to, co sam kiedyś widziałem...

*Opadając w samym środku Wielkiej Czerwonej Plamy, otoczony wyladowaniami elektrycznymi burz szalejących na obszarach wielkości kontynentu, wiedział, dlaczego Plama istnieje od wieków, mimo że tworzyły ją gazy lżejsze od tych, które występują w ziemskich huraganach. Powoli zanurzał się coraz bardziej, ucichło wycie wodorowego wicheru, a z chmur zaczął sypać woskowy śnieg, który zbijał się w duże grudy węglowodorowej piany. Było już dostatecznie ciepło, by woda mogła istnieć w stanie płynnym, ale nigdzie nie dostrzegł jej śladów; czyste gazowe środowisko było zanadto niestabilne nawet dla płynów.*

*<MI> Mijał kolejne warstwy chmur, aż wreszcie znalazł się w obszarze o takiej przejrzystości, że nawet ludzkie oko ogarniałoby powierzchnię tysiąca kilometrów, był to niewielki wir w potężnej nawałnicy Wielkiej Czerwonej Plamy. Zawierał jednak tajemnicę, której ludzie się domyślali, ale nie potrafili rozszyfrować.*

<MI>U podnóża olbrzymich gór płynnej piany znajdowały się miriady niewielkich chmur o podobnie wyrazistym kształcie, nakrapianych czerwonymi i brązowymi plamami. Wydawały się małe w stosunku do potwornych, nieludzkich wymiarów otoczenia, w rzeczywistości ich wielkość można było porównać z obszarem sporego miasta.

<MI>Chmury żyły. Poruszały się wzdłuż brzegów pienistych gór, niby owce na gigantycznym pastwisku, a nawoływały głosem przenoszonym przez fale radiowe. Ich słabe wołania, mimo że ledwie słyszalne, wyraźnie różniły się od radiowych trzasków skowytu samego Jowisza.

<MI>Żywe torby gazu pływały w wąskiej strefie pomiędzy lodowatymi górnymi warstwami atmosfery a jej dolną gorącą częścią. Strefa ta, pomimo relatywnie niewielkiego obszaru, znacznie przerastała całą biosferę Ziemi.

<MI>Chmury nie były same. Wśród nich poruszały się szybko inne stworzenia – tak małe, że można je było przeoczyć. Niektóre kształtem przypominały ziemskie samoloty, miały również podobne wymiary. Z pewnością jednak były żywe. Mogły to być drapieżniki, a może pasożyty, mogli to być nawet pasterze.

<MI>...widział odrzutowe torpedy podobne do ziemskich kałamarnic, które polowały na olbrzymie gazowe chmury i pożerały je. Toczyła się walka, gazowe torby nie były bezbronne. Raziły piorunami i ostrymi jak piły parzydełkami o długości kilku kilometrów.

<MI>Dostrzegł także stworzenia o jeszcze dziwniejszych kształtach, korzystających z każdej możliwości, którą stwarza geometria: przezroczyste latawce, sześciiany, kule, wieloboki, spiralnie poskręcane gazowe wstęgi... Gigantyczny plankton atmosfery Jowisza snuł się jak nici babiego lata w powiewach wznoszących prądów w oczekiwaniu na moment sprzyjający reprodukcji, po której opadał w głębiny atmosfery, gdzie był zwęglany i powielany w kolejnych pokoleniach.

Badał obszar sto razy większy od powierzchni Ziemi, nic jednak nie wskazywało, że występuje tu jakaś forma inteligencji. Radiowe nawoływania gazowych toreb były wyłącznie okrzykami strachu i ostrzeżeniami. Nawet myśliwi nie wykazywali wyższego stopnia organizacji, zachowywali się jak rekiny w ziemskich oceanach, byli bezmyślnymi automatami.

<MI>Pomimo niespotykanych rozmiarów biosfera Jowisza była nader nietrwałym środowiskiem, miejscem, gdzie gromadziły się mgły i piana, które powstawały z delikatnych, jedwabistych nici i cienkich jak bibułka tkanek ciągle padającego śniegu. Życie na tym obszarze

*miało – by tak rzec – konsystencję i trwałość mydlanych baniek. Nawet najbardziej przerażające drapieżniki uległyby i dały się rozerwać na strzępy swoim ziemskim odpowiednikom...*

– I wszystkie te cuda przepadły wraz z powstaniem Lucyfera?

– Tak. Na jednej szali złożono biosferę Jowisza, na drugiej - biosferę potrzebujących wsparcia Europejczyków. Przeważyli ci drudzy. Gazowe środowisko Jowisza było nazbyt nietrwałe, żeby mogła się w nim rozwinąć prawdziwa inteligencja. Czy dlatego zasłużyło na zagładę? Hal i ja wciąż próbujemy znaleźć odpowiedź na to pytanie – z tego powodu jest nam też potrzebna twoja pomoc.

– Ale kimże ja jestem wobec potęgi Monolitu, który zniszczył Jowisza?

– Monolit jest tylko narzędziem, prawdziwie inteligentnym narzędziem, lecz nieświadomym. Nie obawiaj się jego potęgi. Ty, Hal i ja mamy nad nim władzę.

– Trudno mi uwierzyć. Przecież ktoś... coś musiało go stworzyć.

– Spotkałem ich podczas misji „Discovery”... poznałem na tyle, na ile potrafiłem zrozumieć. W takiej postaci, jaką mam teraz, odesłali mnie, bym służył pomocą ich zamierzeniom wobec tych światów. Od tamtej pory nie miałem z nimi kontaktu. Jesteśmy sami... przynajmniej teraz.

– Uspokoiłeś mnie. Tak, Monolit nam wystarczy.

– Mamy jednak pewien problem. Coś poszło nie tak, jak powinno.

– Myślę, że chyba już nie umiem odczuwać strachu.

– Posłuchaj, kiedy na Europę spadła Góra Zeusa, księżycowi temu groziła zagłada. Siła uderzenia była ogromna, a my nie mogliśmy jej przewidzieć. W takich sytuacjach na nic są wszelkie obliczenia. Góra zniszczyła znaczne obszary dna morskiego Europy, zgładziła wiele żyjących tam gatunków, co do których mieliśmy swoje plany. Obaliła nawet Monolit! Kto wie, czy nie uległ uszkodzeniu, czy sprawne są nadal jego programy. Twórcy Monolitu nie byli w stanie przewidzieć wszystkiego. Zresztą jest to niemożliwe w nieomal nieskończonym Wszechświecie, w którym przypadek także potrafi zrujnować najbardziej precyzyjne plany.

– To prawda... W odniesieniu zarówno do ludzi, jak i do Monolitów.

– We trójkę staniemy się administratorami nieprzewidywalnego i strażnikami tego świata.

Spotkałeś już Płazińców, poznasz jeszcze uzbrojonych w krzemowe pancerze Szperaczy z

magmowych rzek i Pływaków uprawiających morza. Naszym zadaniem jest pomóc im w odnalezieniu właściwej drogi rozwoju – jeśli nie tu, to gdzie indziej.

– A co z ludźmi?

– Kiedyś mnie kusiło, by zająć się ludzkimi sprawami, ale obowiązuje mnie zakaz. Ten sam, który zabrania ludziom ingerować w sprawy Europy.

– Zdaje się, że nie przestrzegaliśmy go ściśle.

– Ale dostatecznie. Tymczasem mamy mnóstwo pracy, nim skończy się krótkie europejskie lato i znów nadejdzie długa zima.

– Ile zostało nam czasu?

– Niezbyt dużo... Jakies tysiąc lat. I nie wolno nam zapomnieć o mieszkańcach Jowisza!

3001

60. O północy na Placu<D>

Przez tysiąc lat samotny gmach wznoszący się dumnie nad lasami Centralnego Manhattanu zmienił się tylko nieznacznie. Był częścią historii i chroniono go z czcią. Jak wszystkie historyczne pomniki został pokryty mikronową warstwą diamentowej błony, która uczyniła go właściwie nieczułym na skutki upływu czasu.

Uczestnikom pierwszej sesji Zgromadzenia Ogólnego, trwającej w nowym gmachu, jego obecny widok z pewnością nie pozwoliłby się domyślić, że od tamtej pory minęło ponad dziewięć stuleci. Zdziwiłby ich natomiast widok gładkiej, czarnej płyty ustawionej pionowo na Placu – będącej odwzorowaniem kształtu samego gmachu ONZ. Gdyby spróbowali – jak wszyscy przybysze – dotknąć Monolitu, poczuliby pod palcami niezwykłą gładkość hebanowej powierzchni.

Zdziwiliby się jeszcze bardziej – kto wie, czy nawet nie przestraszyli? – zmianami, które zaszły na niebie...

*<MI>Ostatni turysta odjechał przed godziną i Plac był zupełnie pusty. Na bezchmurnym niebie świeciło kilka jaśniejszych gwiazd; reszta pozostawała niewidoczna w blasku maleńkiego słońca jarzącego się o północy.*

*<MI>Światło Lucyfera obmywało czarne szyby antycznego budynku i załamywało się w wąskiej srebrzystej tęczy, spinającej południowy nieboskłon. Wzdłuż i wokół tęczy poruszały się inne światła – transportowano ludzi i towary między światami Układu Słonecznego i jego dwiema gwiazdami.*

*Jeśli wyteżyło się wzrok, stawała się widoczna cienka nić Wieży Panamskiej – jednej z sześciu diamentowych pępowin łączących Ziemię z jej rozbieganymi dziećmi – strzelającej nad równikiem dwadzieścia sześć tysięcy kilometrów wwyż i łączącej się tam z Pierścieniem Okalającym Świat.*

*Nagle Lucyfer zaczął przygasać, znikał niemal tak szybko, jak powstawał. Na niebie znów zagościła noc, której ludzie nie znali od trzydziestu pokoleń. Powróciły z wygnania gwiazdy. Monolit obudził się po raz drugi od czterech milionów lat.*

## Podziękowania

Składam wyrazy wdzięczności zwłaszcza Larry'emu Sessionsowi i Gerry'emu Snyderowi za udostępnienie mi pozycji komety Halleya podczas jej następnego przelotu. Obaj panowie nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za orbitalne perturbacje, które wprowadziłem do tej książki. Jestem wielce zobowiązany Melwinowi Rossowi z Narodowego Laboratorium im. Lawrence'a Livermore'a za jego zaskakującą koncepcję diamentowych jąder gazowych olbrzymów, a także za przysłanie mi egzemplarza historycznego (mam nadzieję) artykułu na ten temat.

Ufam, że mój stary przyjaciel doktor Luis Alvarez ucieszył się moją szaloną ekstrapolacją jego badań, i dziękuję za pomoc oraz inspirację, których mi nie szczędził przez ostatnie trzydzieści lat.

Specjalne podziękowania jestem winien Gentry'emu Lee z NASA, współautorowi

*<MI>Kołyński<D>*, który własnoręcznie przeniósł z Los Angeles do Kolombo lap-top Kaypro



2000. Dzięki temu urzędzeniu mogłem pisać swą książkę w przeróżnych egzotycznych miejscach i – co ważniejsze – odciętych od świata.

Podrozdziały: 5, 58 i 59 są częściowo oparte na materiale z <MI>Odysei kosmicznej 2010<D> (jeśli to plagiat, przepraszam samego siebie).

Wreszcie mam nadzieję, że kosmonauta Aleksiej Leonow wybaczył mi już, że umieściłem jego nazwisko obok nazwiska doktora Andrieja Sacharowa (przebywającego na wygnaniu w Gorkim, gdy dedykowałem <MI>Odyseję 2010<D> obydwu tym wybitnym osobistościom). Wyrażam też szczerzy żal, że przysporzyłem sporo kłopotów mojemu wspaniałemu moskiewskiemu gospodarzowi i wydawcy, Wasilijowi Żarczence, zapożyczając i umieszczając w poprzedniej książce nazwiska znanych rosyjskich dysydentów – którzy, o czym z radością informuję, w większości nie przebywają już w więzieniach. Mam nadzieję, że któregoś dnia prenumeratorzy „Techniki Młodjoży” przeczytają rozdział <MI>Odysei 2010<D>, który zaginął w tajemniczych okolicznościach...

Arthur C. Clarke<D>

Kolombo, Sri Lanka

25 kwietnia 1987 r.

### Uzupełnienie

Od zakończenia pracy nad manuskryptem wydarzyło się coś dziwnego. Zdawało mi się, że pisząc pozostaję w świecie fikcji, chyba się jednak myliłem. Zechciejcie rozważyć i zwrócić uwagę na następujące wydarzenia:

1. W powieści <MI>Odyseja kosmiczna 2010<D> statek kosmiczny „Leonow” miał silnik – jak to nazwałem – z „napędem Sacharowa”.
2. Pół wieku później, w <MI>Odysei 2061<D>, w podrozdziale 8, statki kosmiczne są napędzane silnikami wykorzystującymi katalizowaną mionowo reakcję „zimnej syntezy”, którą odkrył w latach pięćdziesiątych Luis Alvarez i in. (vide jego autobiografia <MI>Alvarez<D>, NY: Basic Books, 1987).
3. Według pisma „Scientific American” z lipca 1987 r. doktor Sacharow pracuje obecnie nad zagadnieniem produkcji energii nuklearnej opierając się na „katalizowanej mionowo «zimnej

syntezie», która wykorzystuje właściwości egzotycznej, nietrwalej cząstki podstawowej związanej z elektronem... Zwolennicy «zimnej syntezy» wskazują, że kluczowe dla niej reakcje przebiegają w sposób optymalny w temperaturze zaledwie 900 stopni Celsjusza...” (cyt. za londyńskim „Timesem” z 17 sierpnia 1987).

Z ogromnym zainteresowaniem oczekuję komentarzy akademika Sacharowa i doktora Alvareza...

Arthur C. Clarke<D>

10 września 1987 r.